

# Dzieci ulicy



JANUSZ KORCZAK

# Dzieci ulicy

## I. NABYWCA DZIECI

W pogodny dzień jesienny Alejami Ujazdowskimi w Warszawie sunęły tłumy ludzi. Spieszno było mieszkańcom miasta nacieszyć się ciepłem, słońcem i czystym powietrzem. Toż niezadługo trzeba się będzie ukryć w mieszkalnych klatkach, wśród murów, i czekać całe pół roku, nim spod grubej warstwy brudnego śniegu ukazą się kamienie, a nędzne miejskie drzewka pierwsze puszczą pędy wiosenne.

Środkiem toczyły się karety, powozy i dorożki, jedne wolniej, drugie szybciej, mijając się, krzyżując. W powozach panie, postrojone w jedwabie i koronki, w kapeluszach bogato przybranych kosztownymi piórami, panowie w modnych strojach z cieniutkimi laskami zdobnymi w srebrne rączki. Tu przesunął się zgrabny wolant<sup>1</sup> hrabiego Wikcia, tam ciężkie lando<sup>2</sup> bankiera Totengelda, ówdzie leciutki kabriolet znanej Ziuty, przyjaciółki hrabiego Zdzisia. W dorożkach dwukonnych siedzieli paniczykowie z nogami bardzo wytwornie pokrytymi pledami imitującymi tygrysie skóry. W jednokonkach znów spokojne mieszczaństwo używało przejażdżki w towarzystwie żon i licznej czeready pociech. A trotuarami rozwijał się długim węzłem nieskończony, różnobarwy sznur pieszych.

Między bogatymi sukniami pań, ciemnymi paltami panów kręciło się wiele dzieci, zachęcając natarczywie do kupna wiązanek. Kwiaty tych bukietów były tak samo bezbarwne i smutne jak blade twarze sprzedawców.

— Niech pan kupi kwiaty.

— Niech pan kupi bukiet dla tej pani.

— Nie potrzeba.

— Jak to nie potrzeba? Taka śliczna pani.

— Nie potrzeba, powtarzam wam raz jeszcze.

— Proszę pana, dla narzeczonej o! widzi pan, narzeczona się uśmiecha.

— Kiedy to wcale nie narzeczona, to żona.

— Proszę pana, ja chcę zarobić na chleb. W domu matka, proszę pana, chora.

I do ręki dziecka pada miedziana moneta, a kwiatek wędruje do rąk towarzyszki szcudrego młodziana.

— Ile dał?

— Dychę.

— Pi, to ci dopiero, no!

— Golec.

— A ino.

— O patrz, ten kupi. Proszę pana, niech pan kupi kwiatek dla tej ślicznej narzeczonej. Proszę pana, ojciec chory, spadł z drabiny.

— A czym jest ojciec?

— Mularzem<sup>3</sup>, proszę pani. Matka w szpitalu. Chcę zarobić na kawałek chleba.

Wśród tłumu osób szedł człowiek, który baczynym okiem śledził działalność żebraczej gromady. Szedł sam jeden, w palcie z podniesionym kołnierzem, z cienką laską w ręce. Spozna binokli spoglądało na dzieci dwoje dziwnych oczu przenikliwych. Czasem tylko

<sup>1</sup>wolant — lekki, dwuosobowy powóz bez budy. [przypis edytorski]

<sup>2</sup>lando — rodzaj czteroosobowego powozu konnego z opuszczaną budą po dwóch stronach, o przednim i tylnym siedzeniu jednakowej szerokości. [przypis edytorski]

<sup>3</sup>mularz (daw.) — murarz. [przypis edytorski]

Miasto, Warszawa

błysły tam jakieś złowrogie ogniki gniewu, czasem błyskawica się na chwilę zapaliła płomieniem i znów były to oczy tylko przenikliwe, badawcze i chłodne.

— Mańka, Mańka, chodź no to!

Oczy przechodnia spoczęły na postaci Mańki i jej towarzyszu.

Dziewczynka mogła mieć lat dziesięć, choć drobna, chuda, na twarzy nosiła odcień powagi cechującej wiek starszy. W wytartej sukni nieokreślonego koloru, podartej i poplamionej, w podartym czarnym fartuchu, w bucikach wykrzywionych, które z przodu widać było aż do wysokości podartej pończochy, z tyłu i z boków zasłonięte ogonem sukni do kostek. Na talerzyku leżały w wodzie wiązanki kwiatów. W jej wielkich czarnych biegających oczach widniała przedwcześnie rozwinięta powaga, jakaś ciekawość niezdrowa i gniew niemy.

— Czego chcesz, czego się drzesz?

— Ten pan jest!

— E, jest? Aaa! widzę, widzę.

Przybiegła do pana w żółtych bucikach i lśniącym cylindrze.

— Dzień dobry panu.

— A, już mnie znalazłaś. I czego chcesz?

— Pan kupi kwiatek dla tej pani.

— Kiedy nie mam pieniędzy.

— E, pan ma.

— A skąd wiesz, że mam?

— Bo pan bogaty.

— A to co za znajomość? — zapytała oparta o jego ramię pani w wielkim kapeluszu z piórami.

— To moja nadworna kwiaciarka.

Pani uśmiechnęła się niedbale.

— Czy jesteś o nią zazdrosna? — spytał.

Pani obrzuciła go pogardliwym spojrzeniem.

— Wiesz, też masz pomysły.

— No, Mańka, dasz mi kwiatek na kredyt?

— Dlaczego nie?

— Chcesz różę? — zapytał towarzyszki.

— Dziękuję — rzekła z niechęcią i podrażnieniem w głosie.

Pan dał Mańce srebrną monetę, wiązanki nie przyjął.

— Innym razem — rzekł z dygnitarskim ruchem ręki.

— Dziękuję panu.

— Ile ci dał, co?

— Dał czterdziestaka.

— Daj mi dychę.

— Ciekawam za co?

— Zawołałem cię.

— Ja bym sama go zobaczyła.

— Nie dasz? No, zobaczysz, pożałujesz.

— Masz, masz, naźrej się.

— Tylko się nie rzucaj tak bardzo.

Wziął dziesiątkę, pochwycił niedopałek papierosa, którego rzucił jakiś przechodzień i zaciągnął się.

— Antek — zawołała nagle Mańka.

— Czego ci się chce?

— Patrz, tamten znów się tu kręci.

Antek rzucił papierosa, zmierzył groźnie przeciwnika.

— Poszedł won! Tu nasze miejsce.

— Kupiłeś?

— A kupiłem, tobie co do tego? Zmiataj, mówię ci, pókim dobry.

Chłopiec zmierzył Antka od stóp do głowy.

— A boję się ciebie, myślisz?

— A myślę.

I Antek zbliżał się powolnym krokiem do chłopca, zachodząc z boku.

— Pójdziesz?

— Nie pójdę!

Antek pchnął chłopca bokiem, wystawiwszy łokieć. Uderzenie było silne; chłopcu spadła z głowy czapka.

— Poczekaj, dam ja ci.

Ale Antek miał przewagę pierwszego udanego ruchu. Zręcznie podniósł czapkę z ziemi, nasunął mu ją aż na nos i rzekł, pchając go przed sobą.

— Ruszaj, skądeś przyszedł.

Walka była nierówna. Antek był silniejszy:

— Poczekaj, jak będę z Wickiem, to pomówimy dziś jeszcze.

— Oj! oj! boję się Wicka tyle, co i ciebie.

— Zobaczymy.

— Ano.

— Pies szczeka, wiatr wieje.

Antek przyskoczył do przeciwnika z zaciśniętymi pięściami.

— Słuchaj, powiedz no jeszcze co.

— A powiem.

Rozległ się odgłos uderzenia.

Do walczących zbliżyła się Mańka.

— Antoś, przestań już — prosiła.

— Wynoś się, o! — rzekł zirytowany Antek.

— Patrzcie, jak się o niego boi. Narzeczona! — szydził pokonany zapaśnik.

Antek puścił się za nim w pogoń, lecz chłopiec uciekł.

Środkiem Alej płynęły powozy, dorożki; trotuarami sunęły tłumy. Piękne stroje tworzyły barwny dywan utkany z kosztownych tkanin.

— Proszę jaśnie pana, niech pan kupi bukiet. W domu matka chora, ojciec, sześcioro dzieci małych.

Pan w palcie z podniesionym kołnierzem, w ciemnych binoklach, usiadł na ławce, patrzył on na cały przebieg walki spokojnie i ciekawie.

Antoś zauważył go i zbliżył się z uśmiechem.

— Niech pan, proszę łaski pana, kupi bukiet.

— Ile kosztuje?

— Co łaska, proszę pana.

— A co ja będę robił z kwiatami?

— Podaruje pan ładnej pani. Niech pan kupi. Chcę zarobić na chleb i na lekarstwo dla ojca. Matka mnie wysłała.

— Ty prawdę mówisz czy kłamiesz? — oczy nieznajomego głęboko zatopiły się w oczach Antka.

— Prawdę, proszę pana — odpowiedział, patrząc śmiało.

— Słuchaj, jeżeli powiesz mi prawdę całą, to ci dam rubla.

— Ja prawdę mówię, proszę pana.

Niebieskie oczy Antka ciekawie obejmowały postać nieznajomego. Przybrał pokorną postawę.

— Masz rodziców?

— Mam matkę chorą, proszę pana, ojciec zmarł.

— Jak dawno?

— Przed miesiącem, proszę pana.

— Mówiłeś przed chwilą, że ojciec jest chory.

— To ojczym, proszę pana.

— Więc matka już za męża wyszła?

— A cóż miała robić, proszę pana? Zostało nas siedmioro, toby nie poradziła!

— Ojciec w szpitalu jest?

— Tak, proszę pana.

— Więc po co żebrzesz na lekarstwo? W szpitalu dają lekarstwa.

— Dla siostry, proszę pana.

Miasto, Bieda

- Mówiłeś, że dla ojca musisz kupić lekarstwo?
- Nie, proszę pana, dla siostry. Ojciec w szpitalu.
- W którym szpitalu?
- U Dzieciątka Jezus, proszę pana.
- Mańka jest twoją siostrą?
- Jaka Mańka?
- Ta, która sprzedaje tam kwiaty.
- Nie, to nie siostra.
- A co ona za jedna?
- Jej rodzice... Ona jest... My mieszkamy w jednym domu.
- A czym jest jej ojciec?
- Ona nie ma ojca.
- A matkę ma?
- Ma albo nie ma.
- Co to znaczy?
- E, pijaczka, po całych dniach nie ma jej w domu. I chora.
- Prawdę mówisz?
- A co miałbym kłamać?
- A gdzie ty mieszkasz?
- Na Szulcu.
- Pod którym numerem?
- Pod piętnastym.
- Jutro będę u was.
- Kiedy ja, proszę pana, mam kupić lekarstwo.
- To chodź ze mną, zaprowadź mnie teraz.
- E, teraz nie mogę.
- Kłamałeś?
- Ano, kłamałem.
- I nie powiesz mi prawdy?
- A nie.
- Dlaczego?
- Bo nie.

Antoś oddalił się rozgniewany.

— Coś z nim mówił? — pyta go Mańka.

— E, trajlował<sup>4</sup> tam.

— A co mówił?

— Pytał się o mnie i o ciebie.

— A co on chciał?

— Choroba go wie. Chodź stąd, bo się jeszcze będzie czepiał.

Wieczór zapadał. Aleje powoli pustoszały. Rodziny z dziećmi powracały gromadnie do domu, powozy rozprysły się. Chłodny wieczór jesienny rozpędził ostatki spacerujących. Niebo się zachmurzyło, powiał wiatr silny. Liście z głuchym szelestem opadały z drzew na ziemię.

Mali roznosiciele kwiatów, drząc z chłodu, tym natarczywiej ofiarowywali swój towar.

Czasem policjant zamajaczył na tle wilgotnego wieczoru, a wtedy dzieci na dane hasło kryły się za drzewa, lub przebiegały przez środek ulicy.

Wreszcie ucichło zupełnie.

Antoś wracał z Mańką; zimno im było w mgle jesiennego wieczoru. Szczególniej chłopiec w swych dziurawych spodniach i jakiejś przezroczystej bluzie, narzuconej na koszulę, czuł chłód dotkliwy.

— Poczekaj, kupię papierosów.

Antek wszedł do sklepiku, kupił kilka sztuk papierosów, dla Mańki serdelek i czekoladę w srebrnym papierze.

— Masz.

Zapalił papierosa.

---

<sup>4</sup>trajlować — gadać zmyślane historie. [przypis edytorski]

- Ile tam masz? — zapytał Mańkę Antek.
- Brakuje mi ośmiu kopiejek.
- Masz, niech cię tam. Czort go wie, w jakim on dziś humorze.
- Dziękuję ci. A ty?
- O, ja swoje zawsze zarobię. Żeby nie ten stary grzyb, to bym miał rubla dla siebie.
- Ty tak jakoś umiesz.
- Owa, wielka sztuka. Żebym to ja był dziewczyną, tobym jeszcze więcej zarobił!
- A jakże. Lepiej być chłopcem.
- Co ty tam wiesz... Dlaczego ty nigdy w rękę nie całujesz?
- Bo nie chcę i nie będę.
- Fi, takaś harda. W interesie tak nie można.

Biegli w stronę Wisły.

Gdyby się Antek albo Mańka byli obejrzeni, ujrzeliby idącego krok w krok za nimi w palcie z podniesionym kołnierzem i w binoklach ciemnych mężczyznę. Śledził on tę parę przez cały wieczór, szedł za nią, czekał, aż Antek wyjdzie ze sklepiku, a teraz zmierzał w stronę Wisły. Mocniej nasunął on kapelusz na czoło, czasem przystawał na chwilę, cofał się o kilka kroków i znów szedł za dziećmi, przyciskając w prawej ręce błyszczący przedmiot.

— Słuchaj, Antos — zapytała nagle Mańka — czy ty się nie boisz Wicka?

— Co się mam bać?

— A jak on cię zbije; on silniejszy, a może i innych namówić.

— Już ja sobie poradzę. Nie takich rydów widziałem.

Domy były coraz mniejsze; parkany oddzielały pojedyncze zabudowania, bruk stawał się coraz nierówniejszy, a latarnie coraz mniej rozpraszały ciemności.

Na zakręcie ulicy ukazało się dwóch chłopców.

— Antos, patrz — zawołała z trwogą dziewczynka, chwytając Antka za rękę.

— Puść, głupia.

— Uciekajmy.

— Ja bym uciekł, ale ty?

— To weź moje pieniądze i leć.

— Głupia jesteś.

Ciemne sylwetki chłopców znaczyły się coraz wyraźniej.

— Dobry wieczór — zawołał ironicznie czternastoletni Wicek.

W ręce Antka błysnął jakiś przedmiot niewielki.

— Tylko się zbliżcie.

— Fi! fi! ja się twojego noża nie zleknię.

— Zobaczymy.

— Więc nożem mi grozisz?

— A nożem.

— E, rzucisz go zaraz.

— Antek! — zawołała Mańka.

— Nie rzucę. Cicho bądź.

— E, rzucisz.

Walek cisnął w przeciwnika kamień. Antek odskoczył w bok i w mgnieniu oka rzucił się i powalił chłopca na ziemię.

Drugi chłopiec nadbiegł z tyłu, ale Mańka pochwyciła go za ucho i ciągnęła z całych sił.

— Puść mnie.

Z dala dały się słyszeć czyjeś kroki.

— Ratunku! — zawołał Walek, który aczkolwiek silniejszy, nie był tak zwinny jak Antek.

Chłopiec zerwał się, cisnął nóż za parkan, a sam rzucił się do uciezki.

W tej chwili ukazała się postać policjanta. W dwóch skokach dogonił Mańkę i pochwycił ją.

— Co ty tu robisz?

— Idę do domu.

— Do domu? A może byś do cyrkułu<sup>5</sup> ze mną poszła?

— Proszę pana, za co?

— A czego krzyczałaś?

— Bo chłopak chciał mi odebrać pieniądze. Jest tu za parkanem.

Za parkanem dały się słyszeć głośne kroki, jednocześnie rozległo się szczekanie psów i szamotanie się z nimi chłopca.

Policjant przesadził parkan. Mańka pędem puściła się przed siebie.

Kto by widział, że z ukrycia, z wgłębienia między murem i parkanem, wyszedł człowiek i pobiegł za Mańką, ten by mógł sądzić nie bez powodu, że jest to winowajca istotny tej walki nocnej.

Mańka biegła szybko. Krople potu spływały jej z czoła. Strach przed tym cyrkułem, który знаła ze słyszenia, był nad wyraz wielki. Ileż to razy już miała się tam dostać, ale wypłakała, wymodliła się lub uciekła w drodze. A ten cyrkuł, jak widmo groźne, jak upiór straszny, ścigał ją w sennych marzeniach i na jawie.

Na rogu dwóch ulic, które się krzyżowały, stał domek drewniany, a w nim szynk z pozaklejanymi od ulicy szybami. Dalej ciągnął się już tylko szereg parkanów, w dali w ciemności majaczyła Wisła.

Do tego szynku wbiegła Mańka; przebiegła szybko pierwszą i drugą izbę, otworzyła drzwi, które prowadziły na korytarz długi, na końcu którego znajdowały się schody.

— No, jesteś? — zapytał z góry Antos.

W tej chwili drzwi się otworzyły, jasna smuga światła na chwilę rozproszyła ciemności.

— Kto to? — zapytała z niepokojem Mańka.

Nie było odpowiedzi.

— Czy to ty, Szmul?

Milczenie.

Mańka przebiegła schody, słysząc za sobą w ciemności czyjeś kroki niepewne.

— Kto to? — zapytała raz jeszcze, a nie otrzymawszy odpowiedzi, wbiegła na poddasze do pokoju razem z Antosiem i zamknęła drzwi na klucz.

— Czego hałasujecie tak? — ozwał się z wnętrza ostry głos męski. — Nie możecie wejść spokojnie.

— Bo... bo... tam ktoś jest.

— Jaki ktoś?

— Jest tam; nie wiem, słyszałam, widziałam, jak wchodził.

— Nie łżyj tylko, rozumiesz?

— I ja widziałem — dodał Antek.

— Czy jeden?

— Zdaje się, że jeden.

Dało się słyszeć otwieranie i we drzwiach z lampą w ręce stanął mężczyzna.

— Kto to?

— Ja — rzekł nieznajomy w palcie z podniesionym kołnierzem, w binoklach.

— Czego pan chce?

— Chcę wejść.

— Jakim prawem?

— Mam do pana interes.

— Ja w nocy nie załatwiam interesów.

I mężczyzna z lampą w lewej ręce począł się powoli przysuwać do nieznajomego. Nagle zatrzymał się, ujrawszy wymierzoną w siebie lufę rewolweru.

Stał chwilę, drżąc wobec niebezpieczeństwa i patrząc ze strachem w oczy utkwione w niego jak dwa ostrza, spoza binokli.

— Coś pan za jeden? — wybąkał — ja pana nie znam.

— I nie masz pan potrzeby mnie znać. Czy mogę wejść do pokoju?

— Proszę.

Cała ta scena trwała zaledwie chwilę. Nieznajomy pewnym krokiem wszedł do izby. Duży pokój z nierównym sufitem, z małym oknem. Żelazne łóżko stało przy drzwiach;

---

<sup>5</sup>cyrkuł (daw.) — posterunek policji. [przypis edytorski]

w łóżku leżała jakaś dziewczyna z młodą, ale zniszczoną twarzą, pokrytą gęstą warstwą jakiejś taniej farby.

— Ach! — krzyknęła, okrywając się kołdrą.

— Milczeć! — rzekł groźnie gospodarz mieszkania.

Postawił lampę na stole sosnowym, założył ręce na piersiach i zapytał krótko:

— Więc?

— Czy to pana dzieci?

— Co to pana obchodzi?

— Chcę wiedzieć!

— W jakim celu?

— Chcę od pana te dzieci kupić.

— One nie są do sprzedania.

— Ile pan żądasz?

— Chce pan je kupić?

— Mów pan, ile pan chcesz rubli za Antka i Mańkę?

Antek i Mańka stali nieporuszenie.

— Ile chcę? Po co panu te dzieci?

— Potrzebne mi są.

— Na co?

— Rozmowa nasza trwa zbyt długo.

Na zwiędłej twarzy opiekuna dzieci widać było jakąś walkę. Był nietrzeźwy i trudno mu było zebrać myśli.

— Ja mam z nich duży dochód — rzekł wymijająco.

— Więc policz pan więcej.

— Tysiąc rubli pan da?

— Za dwoje czy za jedno?

— Za... no tak, za jedno; rozumię się, że za jedno.

— Więc dwa tysiące rubli?

— Hm, Mańka nie jest moją córką, ale...

— Ale?

— Ale ja mogę pomówić z jej matką. Może się zgodzi.

— Kiedy pan pomówi?

— Jutro.

— Ja chcę rzecz załatwić od razu, teraz.

— Trzy tysiące pan da?

— Dam!

— Zaraz?

— W tej chwili. Pan ma papiery dzieci przy sobie?

— O, papiery w porządku.

Nieznajomy sięgnął do kieszeni.

— Panie, ja panu ufam.

W tej chwili przez drzwi wsunęła się ruda głowa Żyda.

— Czy?...

— Precz, wynoś się... Antek, patrz, żeby nie podsłuchiwał.

Dało się słyszeć szamotanie za drzwiami, przytłumione wymysły, wreszcie wszystko ucichło; Antek wrócił.

— Ufam panu — ciągnął nieznajomy — że pan mnie śledzić nie będzie, gdy wyjdę, że dzieci te będzie pan uważał z chwilą otrzymania pieniędzy za moją własność.

— O, masz pan na to słowo honoru — rzekł z teatralnym gestem pijak.

— Sto, dwieście, trzysta, czterysta, pięćset — liczył przybyły, układając nowe sturubłówki.

Pijał brał je między palce, patrzył pod światło.

— Czy pan jest właścicielem cyrku?

— Może.

— O, to pan dobry interes robi.

— Ja nigdy złych nie robię.

— Napije się pan ze mną?

Ojciec



— Dziękuję.  
 — Gardzi pan?  
 — Tu jest całe trzy tysiące. Proszę o papiery.  
 — Proszę bardzo: metryki, świadectwa pochodzenia, nic więcej nie potrzeba.  
 — Za godzinę wyjeżdżam za granicę... Dzieci, idziemy.  
 — No, chłopcze, sprawuj się dobrze. Widzisz, ten pan bogaty, wyrób się, pamiętaj, a o ojcu nie zapominaj, jak ci będzie dobrze.  
 — Idziemy — powtórzył nieznajomy.  
 Antek i Mańka szli jak uśpieni. Ojciec sprowadził ich na sam dół aż do ulicy.  
 — No, Szmul, dawaj spirytusu.  
 — Niech no mi pan Andrzej powie, co on chciał? Po co on tych małych wziął?  
 — Ano, kupił ich.  
 — Jak to kupił?...  
 — Kupił, zapłacił 3000 rubli gotiu<sup>6</sup>. O, patrzaj, Żydzie.  
 — Co, 3000? Czy on wariat?  
 Szmul wybiegł przed szynk, ale Andrzej pochwycił go za kołnierz i wciągnął na powrót do sklepu.  
 — Dałem mu słowo honoru, że go śledzić nie będę.  
 — No, to niech pan nie śledzi. Ja słowa honoru nie dawałem.  
 Szmul wyrwał się, wybiegł na ulicę. Było pusto. Biegł najbliższą drogą w stronę miasta, wołał, biegał. Nikogo nie było.  
 — Aj! aj! Trzy tysiące. Dlaczego pan nie żądał sześć albo osiem?  
 — Wystarczy i trzy.  
 — A może to fałszywe?  
 — Kupisz je za połowę ceny?  
 — Dlaczego nie?  
 — No, to przynieś mi kolację na górę, tylko pamiętaj, dobra żeby była.  
 Andrzej wyszedł ze sklepu do siebie. Szmul zamknął szynk, zaniósł wódkę, kielbasę i jajecznicę na poddasze i wziął się do liczenia kasy:  
 — Oj! oj! dziecko sprzedał, dziecko sprzedał. Czy on jest człowiek?  
 Wszedł do alkowy, ucałował po kolei swoje śpiące w miękkich betach bachory i rozbierając się, myślał dużo. A potem położył się i długo nie mógł zasnąć, bo nie wiedział, co to za pan, co to za pieniądze i co to za ojciec, który dzieci swoje sprzedaje.  
 A pan Andrzej, podnosząc w górę kieliszek i uderzając nim o kieliszek ulicznej dziewczyny, wołał:  
 — Za zdrowie Antka!  
 A potem, spluwając, dodał:  
 — Psia krew! To ci dopiero jestem bogaty teraz!

## II. CO TO BĘDZIE?

Antek i Mańka szli spokojnie, trzymani mocną ręką mężczyzny.

Antek myślał z trudem.

Przed godziną chodził w Alejach i sprzedawał kwiaty, potem spotkał tego pana, ten pan tak dziwnie z nim mówił, potem Antek odszedł sobie, znów sprzedawał kwiaty, potem kupił papierosy, bił się z Wickiem, uciekał, potem...

„Co teraz będzie z nami?” — zadał sobie pytanie.

Może ojciec wziął pieniądze i odbije go teraz? A może, nie czekając na pomoc niczyją, uciec samemu wyrwać się i uciec? A jeżeli ucieknie, co się stanie z Mańką?

Próbował wysunąć rękę. Nie można. Ręka przewodnika trzyma go silnie.

Nie, uciekać nie warto. Trzeba zobaczyć jeszcze. Uciec ma czas. Mańki nie zostawi. Mańka — dziewczyna, głupia — sama sobie nie poradzi. A może mu lepiej tam będzie?

E, chyba lepiej to mu nie będzie. Wywiezie go nieznajomy z Warszawy, a w Warszawie jest dobrze, wesoło. Dawniej, to co innego. Nie umiał Antek „chodzić koło interesu”,

<sup>6</sup>gotiu (gw. warsz.) — gotówka. [przypis edytorski]

wstydział się jakoś, mało zarabiał i brał od ojca *wnyki*<sup>7</sup>. Ale teraz. Zawsze miał swojego rubla, papierosy, piwo stawiał kolegom, a Saska Kępa, a cyrk...

A może ten pan jest właścicielem cyrku? Antek zna cyrk. Wielka sala. Tysiące ludzi. Światła się pałą. Arena wysypana żółtym piaskiem. Muzyka gra. Lokaje stoją we frakach, w rękawiczkach, mają złote pasy przy kieszeniach. Tyle złota, tyle jasności, tak głośno. Biją wszyscy oklaski, a jeździec wyjeżdża na koniu w trykotach, z aksamitną przepaską, z różnego koloru blaszkami. Jeździec kłania się, a wszyscy klaszczą. Muzyka zaczyna znów grać. Błazen coś mówi, przewraca się, kręci, woła lokajów, bije ich po twarzy, ale tylko tak, naumyślnie. Taki śmieszny. Wszyscy się śmieją. Jeździec zacina konia. Koń śliczny, tłusty, ma cienką szyję i tak stawia nogi jakoś dziwnie, ale ślicznie. Zaczyna się przedstawienie. Siodło na koniu płaskie. Skoczek staje na koniu. Rzuca piłki i chwytą je w powietrzu. Przeskakuje przez koła z bibułą, przez szerokie szarfy. Orkiestra wygrywa coraz głośniej. Koń pędzi prędko, przechyla się do środka areny. A ten nie spada.

Ach, jak to pięknie.

Albo ci na trapezach. Ten pan pewnie dlatego właśnie kupił go z Mańką, żeby nauczyć ich na trapezach robić sztuki. Widział jeszcze mniejsze dzieci. Ach, jak to ślicznie.

Antek przyśpiesza kroku. Już kończy się Powiśle. Za chwilę wejdą na ulicę śródmieścia.

Dokąd on ich prowadzi?

Nieznamy idzie miarowym krokiem, nie patrząc na swoich więźniów.

Antek myśli dalej.

Czy on też prędko nauczy się tak przeskakiwać z trapezu na trapez? W cyrku biją. A ten go przecież kupił. Dlaczego ojciec go sprzedał? Ba, trzy tysiące rubli. Teraz ojciec jest bogaty. Może kupi sobie powóz i karetę.

Antek zrobił rozpaczliwy ruch. Dziecko Powiśla lękało się śródmieścia o tej porze. Ale dłoń nieznanego ścisnęła jak żelazna obręcz jego drobną rękę. Tylko kości trzeszczały w stawach.

Ulica zalana potokami światła. Pieszycy nie ma, ale powozy wśród głośnych okrzyków i śmiechów pędzą środkiem „po kawalersku”.

— Ja nie chcę iść — mówi Antek.

— Boisz się? — pyta nieznamy.

— Nie.

— A dlaczego nie chcesz iść?

— Bo nie chcę.

— Będziesz mógł wrócić do ojca, jak nie zechcesz zostać u mnie.

— Prawda była.

— Nie wierzysz mi?

— A tak. Jak nas pan wywiezie, to nas już sam diabeł nie znajdzie.

— Mówię ci, że będziesz mógł wrócić.

— Pan myśli, że „fater”<sup>8</sup> panu odda pieniądze?

— Chodź, w hotelu pomówimy jeszcze.

— No, dobrze — zgodził się chłopiec.

Na rogu ulicy wznosił się hotel.

— A daleko to? — zapytał jeszcze Antek.

— O, tu naprzeciwko.

Przeszli środkiem ulicy. Weszli do wielkiej bramy; na lewo prowadziły schody. Schody były wysłane dywanami. Na półpiętrze lśniło wielkie lustro. Jasno jak w cyrku. Antek rozgląda się swobodnie. Mańka lękliwie stąpa w swych zabłoconych bucikach po miękkim dywanie.

Portier tak groźnie spojrzął na dzieci, gdy wchodziły.

Już są w numerze.

Na progu wita ich stary lokaj zapewne, bo zdejmuje przybyłemu palto. Obecność dzieci nie zadziwia go. Starzec jest wzrostu wysokiego, ma siwe przygasłe oczy, wielkie białe brwi i wąsy, a włosy mu błyszczą jak srebrne. Nie mówi nic.

<sup>7</sup>*wnyki* — lanie. [przypis edytorski]

<sup>8</sup>*fater* (gw. warsz.) — ojciec. [przypis edytorski]

— Idź, Macieju, zapłać rachunek i zamów karetę.

— Słucham jaśnie pana.

Zrobił zwrot wojskowy i wyszedł.

— Idźcie do pokoju.

Antek wchodzi do sąsiedniego pokoju, za nim Mańka. Antek rozumie, że dziewczyna widzi w nim opiekuna i to go napęła dumą.

— Niech pan powie, co pan chce z nami zrobić?

— Dowiesz się niezadługo, teraz nic wam nie powiem.

— To my nie pojedziemy.

— To ja każe aresztować was. Widziałem waszą walkę na noże.

— Nieprawda, ja nie miałem noża — zaprzeczył żywo Antek.

— Widziałem. A teraz idźcie się naradzić. Ze mną albo do więzienia.

Wśród towarzyszy Antka niejeden już „doił kozę”<sup>9</sup>; dumni byli z tego chłopcy, opowiadali o tym. Była to arystokracja wśród chłopców. Ale Antek... jeszcze bał się murów więziennych i krat żelaznych.

Nieznajomy zamknął drzwi za dziećmi.

— Wiesz Mańka, jeść mi się chce — zaczął Antek, nadrabiając miną.

— I mnie też — rzekła Mańka.

— Niech nam da coś jeść.

— Przecież mu nie powiesz?

— Dlaczego nie? A co mi zrobi? Jak miał pieniądze na kupienie nas, to niech teraz żreć daje.

— Antoś, nie rób tego.

— A właśnie, że zrobię.

I Antek, nie bardzo wiedząc, co robi, otworzył drzwi i rzekł:

— Proszę pana, nam się chce jeść.

— W mojej torbie podróżnej jest jedzenie, leży na kanapie — odpowiedział spokojnie gospodarz.

— No, Mańka, wsuwajmy. Patrz, Mańka, *fajne*<sup>10</sup> jedzenie. O, kiełbasa, o, chleb. No, wcinaj.

Zaczęli jeść. Antek pierwszy napakał sobie pełne usta.

— Więc, widzisz, ja sobie myślę tak: bogaty to on jest. Grosze ma. Krzywdy sobie zrobić nie damy. Co szkodzi spróbować. Może się uda. Albo drapniemy do domu, albo gdzie indziej. Wszędzie sobie zarobimy przecież. Co? Jeszcze lepiej będzie; co zarobimy, to będzie dla nas. A tu musimy starym oddać. Co?

— Ja nie wiem — odparła Mańka.

— Ty nic nie wiesz — zachnął się niecierpliwie Antek. — Widzisz, ci bogaci to mają, mówię ci, złote życie. Patrz, jakie łóżko, co? Pewnie i my będziemy mieli takie łóżka. Ja bym tam ciągle tylko leżał sobie i leżał... Bo ci bogaci to wstają, mówię ci, dopiero po obiedzie, albo jak. Co to szkodzi? Ale po co on fatrowi płacił, kiedy mógł sobie nabierać tych bacherów nad Wisłą za darmo, co?

— Nie wiem.

— Głupia jesteś. Więc ja jadę. A ty?

— Ja także.

— Poczekaj, nie leć tylko. Czy ty umiesz włązić na dach albo na drzewo, albo przez okno wyskoczyć? Ja co innego.

W oczach Mańki zabłyśły jakieś ponure światełka.

— Ja nie chcę wracać do domu — rzekła z mocą.

— Bo co?

— Bo nie chcę.

— A źle ci było?

— Źle.

— A czego ci brakowało?

Mańka nie odpowiadała.

<sup>9</sup>koza — tu: więzienie. [przypis edytorski]

<sup>10</sup>fajny (z jidysz *fajn*) — w porządku. [przypis edytorski]

- A jak ci będzie jeszcze gorzej?
- To się powieszę.
- A jakże.
- A Staśka się wieszala przecież.
- Staśka co innego. I odcięli ją przecież.

Wszedł lokaj z siwymi wąsami, zebrał rzeczy, powkładał do walizki, nie mówiąc ani słowa. Zebrał resztki jedzenia, włożył do torby podróźnej.

— Jedziemy — rzekł nieznajomy.

Wziął dzieci za ręce. Zeszli po tych samych schodach, po których weszli. Znow to samo lustro, chodniki, płomienie gazowe, znow lokaj z groźnym spojrzeniem.

W bramie czeka karetka.

Wsiadli. Zatrzaśnięto drzwiczki. Antek za żadne skarby nie przyznałby, że dreszcz strachu przebiegł jego członki. Chłopiec miał dopiero lat dwanaście. Co teraz będzie?

Przejechali szeroką ulicę, jasno oświetloną. Znow wjechali w ciemne ulice. Potem przejechali most żelazny. Złoty wąż latarni nadrzecznych odbijał się, kołysząc w falach rzeki. Miasto czarnymi konturami rysowało się na tle ciemnego nieba. Koła powozu tłukły mocno o żelazny bruk mostu.

Potem Praga, park po lewej stronie, niskie domy, place puste, jakieś zabudowania, skwer, ceglany dom fabryczny, parkany.

I oto wznosi się wielka budowla; z okien płyną strumienie światła. Dworzec kolei.

Wychodzą na peron. Milczący sługa śpieszy do kasy po bilety. Idą po kamiennym bruku dworca. W dal ciągną się szyny. A tu wagony. Siadają na wózku do przewożenia rzeczy. Pan w binoklach trzyma ich za ręce.

Antoś zapada w półsen. Widzi cyrk wielki, gmach więzienny, izbę szynkową, gdzie ojciec odbiera od niego pieniądze w ciągu dnia wyżebrane, widzi wielki hotel i poddasze, i swoje posłanie na tapczanie, widzi surowego portiera i stróża, który go bije, widzi milczącego starca, gromadki grających nad Wisłą w karty, sam gra w pasek<sup>11</sup>, a oto Saska Kępa; Wicek mu wygraża pięścią, jakaś pani w pluszowej rotundzie kupuje cały pęk kwiatów, daje mu rubla, Wicek rzuca się na niego, a on go nożem uderza. Wicek pada, robi się zbiegowisko i oto zjawia się żandarm w ciemnych binoklach, w palcie z podniesionym kołnierzem. Chwyta go wpół, rzuca do Wisły. Antek nie tonie, ale płynie, płynie...

Mańka nie spała. Jej wielkie czarne oczy błędziły po niebie, po gwiazdach. Nie myślała w tej chwili o niczym. Była zmęczona i śpiąca.

Antek drgnął. Jakiś huk głośny rozległ się tuż nad jego głową. Męczące widzenia przysły.

Pierwszy dzwonek.

Z sykiem zbliża się lokomotywa do sznura wagonów. Stuk, wagony uderzają wzajemnie, cofają się gwałtownie, świst lokomotywy, para bucha z komina. Zbliża się konduktor, obrzuca gromadkę zdziwionym wzrokiem: wytwornie odzianego pana z dwojgiem obdartych dzieci.

Co go to obchodzi? Dostał trzy ruble, więc daje osobny przedział.

— Proszę za mną.

Wchodzą do przedziału pierwszej klasy. Znow miękkie kanapy jak w hotelowym pokoju; siedzenia pokryte pluszem. Na podłodze cerata. Nad głowami siatki do rzeczy. W szklanych kloszach płonie równe światło, przez otwarte okienko wdziera się chłodne nocne powietrze. Na niebie lśnią gwiazdy.

Dzieciom zimno. Starzec wyjmuje z pasków pled i podaje im.

— Masz, Mańka — mówi Antek — okręć się.

— A ty?

— Mnie ciepło — dowodzi, szczękając zębami Antek i staje przy oknie.

Drugi dzwonek. Na stacji ruch się wzmagą. Przedział ich wygląda jak mały pokój. Ciemne sylwetki osób snują się na peronie. Migają latarki konduktorów. Czerwona czapka naczelnika stacji znaczy się na żółtym tle okna trzeciej klasy. W sali, za szybami

<sup>11</sup>gra w pasek — uliczna gra hazardowa polegająca na rzucaniu nożem w rzemień. [przypis edytorski]

okien, jacyś ludzie śpią na ziemi, z głowami opartymi o tłumoki. Są tam mężczyźni, dzieci i kobiety. Zapewne czekają na ranny pociąg. Antek widzi to wszystko jak przez mgłę. W uszach słyszy szum.

Trzeci dzwonek. Gwizdka ostra, krótka, rozkazująca. Lokomotywa odpowiada przeciągle, ochryple, niedbale. Na okrągłej żelaznej beczce podnosi się młotek i opuszcza, wydając dziwny dźwięk. Pociąg cofa się, zatrzymuje i poczyna posuwać się naprzód.

Jadą.

Koła wagonu biją głośno o żelazne szyny. Wagon się lekko kołysze na osiach jak łódka na Wiśle, gdy statek przepływie. Jakiś domek, obok stoi człowiek z czerwoną latarką. Dalej znów słup, a w górze latarka czerwona. Wagon głośnieję uderzył.

Jadą. Ani jednego domu. Księżyc białym sierpem znaczy się na niebie. Półmrok panuje nad polami. Tu drzewa dumają, zwiesiwszy swe sztywne, nagie ciała nad rowem.

Służący z siwymi włosami siedzi w rogu, przymknął oczy i drzemie. Wygląda jak umarły. A ten pan, który ich kupił, siedzi w drugim rogu przedziału i przygląda im się uważnie. Ten jego wzrok stalowy biega po ich postaciach, mierzy ich od zwichrzonych włosów do zabłoconych dziurawych trzewików. Wzrok ten ciąży na malcach.

Dzieci ogarnia lęk przed tym wzrokiem, z którego idzie dziwna siła.

Poła szepcą cichą modlitwę. Dzieci jej nie słyszą, nie rozumieją. One znają mowę miasta, tę mowę złą, głośną, cyniczną, szydzącą i zabiegliwą: mowę rozpustnika, który chce używać. Są i w mieście inne odgłosy, odgłosy pracy dla postępu, lecz tej dziecko ulicy nie słyszy.

Przeciągły gwizd i pociąg zwalnia w biegu. Dłużej teraz wzrok zatrzymuje się na sośnie z igłami, na chacie. Z dala idą światła. To fabryka płonie szeregami kwadratowych okien.

Pociąg zatrzymuje się. Dzwonek, nawoływania, ostatni sygnał. Znów ruszają.

Wszystko to jak za mgłą gęstą widzą dzieci.

— Połóżcie się spać — mówi pan.

Są mu posłuszne. Siwy sługa rozciąga na siedzeniu pled, kładą się. Myśli wikłają się, kłębią, na pół jasne, na pół świadome. Chłodny powiew idzie od okna. Pan zasunął na latarkę pokrycia płócienne. Ciemno. Dzieci zasnęły.

On wstał, cicho zbliżył się do okna, wychylił głowę i patrzy na zmieniającą się panoramę. Wargi jego poruszają się miarowo. Czy oblicza zyski, jakie mu kupione dzieci przyniosą, czy spowiada się z jakiegoś cierpienia, które mu piersi tłoczy, czy postanawia coś, czy się modli?

Słupy telegraficzne jak szereg żołnierzy, olbrzymów na warcie, przesuwają się przed oczami. Siatka drutów jak jedwabne sieci pajęczne snuje się bez przerwy.

Iskra pada do przedziału. Zasuwa on okno i siada. A tam za szkłem, tysiące płomienistych miga błyskawic.

Pociąg zatrzymuje się. Dzwonki, głosy, gwizdki — i znów pędzi dalej.

A żółty świt mglisty ukazuje się na skraju horyzontu. Leniwie wychodzi jesienne słońce. Chmury stroją się w żółtoróżowe kolory, grają karminem, złotem i srebrem.

— Dzieci, wstawajcie!

— Co? — pyta Antek nie otwierając oczów.

— Wstawajcie. Zaraz wysiadziemy.

— Mhm.

Przeciera oczy, rozgląda się. Więc to nie jego strych?

Przypomniał sobie wszystko. Trącił Mańkę. Mańka zerwała się.

— Już, już, zaraz!

Otwiera oczy i dziwi się.

I dwoje dzieci obdartych, wystraszonych, siedzi na aksamitnych poduszkach pierwszej klasy w oświetleniu wschodzącego jesiennego słońca.

Sprzedane...

— Wysiadamy.

Siwy starzec pakuje rzeczy, zdejmując torbę podróżną z siatki.

Pociąg staje.

Jest to mała stacyjka położona na szczerym polu. Gdzieś z dala czernią się lasy, a tu wokół nic prócz pól z ostrymi jak szczecina lodygami zżętego zboża. Całe morze pól

rozległe, poważne, spokojne. Naczelnik stacji uchyla czapkę przed opiekunem Antką i Mańką i ciekawym wzrokiem obejmuje przybyszów.

Przed stacją czeka bryczka. Siadają.

Woźnica bez słowa powitania bierze w ręce cugle. Ruszają. Pociąg idzie z nimi równoległe, prześciga ich i, wyrzucając kłęby dymu, pędzi i niknie na zakręcie za skrajem lasu.

Bryczka kołysze się na drodze, konie pędzą szybko. Lipy przydrożne dwoma szeregami dzielą obszar pól szeroki. Słońce rzuca skośne promienie.

Antek rozgląda się i nie rozumie.

— Więc tu mają mieszkać? A cyrk, a światła, a ulice, a domy, a powozy, a latarnie gazowe, a tłumy rozbawione?

Spojrzał na Mańkę.

Dziewczynka rozglądała się ciekawie, a twarz jej smagła, zarumieniona od chłodu, wyrażała jakby uwielbienie, jakby tęsknotę.

Zatrzymywała się wzrokiem na każdym drzewie, śledziła każdy kamień szosy, zdawała się słać pocałunek tej naturze tak jej nieznaną, tak obcej.

Budziło się w duszy dziecka uczucie nieokreślone, podobne do uścisku serdecznego dla czegoś, co wschodzi, co ukazuje się mu w marzeniu sennym.

Oto wieś. Chałupy jak ogniwa łańcucha ciągną się, przeplatane sadami wzdłuż drogi. Oto kościół. Dzwonek lekki, srebrny, płynie w niebo. Kościół wznosi się nad wioską.

Wózek się zatrzymał.

Wszyscy czworo skierowali swe kroki do wejścia. Przez białe szyby pierwsze czerwone promienie słońca wlewały się, spływając na skromny ołtarz.

Uklękli pan i Mańka.

Antoś rozglądał się.

„Tu brzydko — myślał chłopiec. — W Warszawie w kościele jest inaczej. Tam dzwoni tak się donośnie rozlega, tam tyle złota i tylu ludzi. A tu pusto i biednie. I organy ładniej tam grają”.

Mężczyzna ukrył twarz w dłoniach i nieruchomo klęczał na kamiennej posadzce. Mańka klęczała obok, spuściła głowę na piersi i ciężko westchnęła, i coś szeptała. Antoś był zły: czuł, że między nim i tą dziewczyną stanął jakiś mur wysoki, jakaś przepaść nieprzebyta. Ona klęczała i modliła się, on gotów był śmiać się i drwić, ona z zachwytem szła naprzeciw temu nowemu życiu, które ją czekało, on był zagniewany i znudzony.

Wyszli. Siedli do bryczki.

I znów chałupy wiejskie. Środkiem drogi ciągnie sznur gęsi, kołysząc się na niezgrabnych nogach. Tu i ówdzie leży świnia w błocie i ryjem swym kopie ziemię. To pies szczeknie, to gęsi przestraszone zagęgają. Chłopiec idzie za krową i pogania ją wtką.

Antek rozmyślał:

„Nie będę tu mieszkał. Jak jechać, to jechać do dużego miasta. Żeby to do Chin albo do Turcji, albo gdzieś... Pożałuje ten pan, że mnie tu zataszczył. Albo będę mu ciągle wymyślał, albo wezmę i ucieknę”.

Znów wieś drugą mijali. Znów ten sam widok.

— Ja chcę papierosa zapalić — odezwał się nagle jak mógł najgłośniejszy, chcąc, żeby mu zabroniono.

Wtedy powie całą prawdę: „A co to pan mój ojciec, czy co? Ojciec mi pozwalał palić, a pan nie? Kupił mnie pan? Czy to ja bydlę, żeby mnie kupować, czy co? Na rzeź mnie pan wiezie, czy co? Nie chcę dalej jechać i już”.

Dobrze, niech go zmusi, niech spróbuje. Krzyku takiego narobi, policjant przyjdzie, a ten ananas pewnie się boi policjanta. Musi, jest w tej całej historii jakaś krętanina.

— Ja chcę papierosa zapalić — powtórzył Antek.

— Ty palisz? — zapytał pan.

Stary sługa, który drzemać się zdawał, otworzył oczy.

— Co nie mam palić? — rzekł śmiało Antek.

— Ja nie mam papierosów — rzekł pan.

— Ale ja mam — odparł chłopiec.

— To zapal sobie.

Antek nie wiedział czemu, ale się zawstydził. Nieśmiało i jakoś niezręcznie wyjął papieros, kilka zapalek mu zgasło. Czuł na sobie wzrok opiekuna spokojny, myślący, smutny.

Puścił pierwszy łyk dymu, przy drugim zaciągnął się i zakasłał.

Złość go ogarnęła wściekła.

— Mańka, nie pchaj się, siedź spokojnie.

— Siądź tu, Maniu — rzekł pan, wziął Mańkę za rękę i posadził ją między sobą i starym sługą.

— Nie wiem, po co ja z panem jadę? — zaczął Antek, mrużąc pod nosem jakieś przekleństwa — i tak tu mieszkać nie chcę. Ja łaski nie potrzebuję ani opieki. Jeszcze sam ojca utrzymywałem w Warszawie. Może pan sobie Mańkę zatrzymać, jeżeli jej się tu podoba.

Antek zrobił jedno ważne spostrzeżenie: ten pan widać go bić nie będzie. Więc trzeba z tego skorzystać.

Okolica stawała się górzysta. To tu, to tam wznosiła się pod lasem na wzgórze chata wieśniacza. Słońce wyżej się podnosiło, ale mgła gęstymi szmatami zaścielała jeszcze pola.

Jechali tak długo, aż oto zamajaczył w dali jakiś mur wyniosły, porosły zielenią. Zza muru wystawał tylko dach budowli. Wiał stamtąd jakiś chłód dziwny i tajemnicza powaga. Mur był odosobniony, wieś ciągnęła się znacznie dalej, za rzeczką, która przepływała za murem domu.

Bryczka stanęła. Wszyscy czworo wysiedli. Powożący uchylił czapki, trzasnął batem i pojechał dalej.

Zbliżali się teraz do dziwnego domu. Droga prowadziła przez boczną aleję lipową; przystanęli przed zardzewiałą żelazną bramą. Dzwonek rozległ się głucho. Czekali długą chwilę, nim usłyszeli łoskot opadającego żelaza i wąska furtka żelazna sama się otworzyła. Na obszernym dziedzińcu nie było nikogo. Z prawej strony dziedzińca było wąskie przejście, które prowadziło do ogrodu. Prócz tego przejścia całą szerokość zajmowała murowana budowla, opatrzona wielkimi ciężkimi dębowymi drzwiami.

„Hm, jakoś mi się to nie podoba” — pomyślał Antek i mimo woli obejrzał się poza siebie.

W tej chwili żelazna brama zatrasnęła się głuchym łoskotem.

Znów rozległ się stuk i drzwi dębowe otworzyły się lekko.

— Za mną, dzieci — rzekł nieznajomy.

Mańka pochwyciła Antka za rękę, jakby szukając w nim pomocy.

— Poszła precz! — syknął Antek.

### III. HRABIA ZARUCKI

Opiekun, czy też nabywca Antka i Mańki, był hrabią Zaruckim.

Stary hrabia miał brata, z którym zerwał wszelkie stosunki od czasu ostatniej ich rozmowy, której treści nikt nie znał, a która zakończyła się podobno bardzo burzliwie. Wówczas to hrabia Stefan Zarucki wraz z żoną i dwójkiem dzieci przeniósł się do Zarucaju i nikt go już więcej nie widział.

Prowadził on życie zamknięte w opuszczonym starym pałacu zaruckim, nigdzie nie wyjeżdżając, dnie na samotnych przechadzkach po parku i na czytaniu pism i książek, których każda poczta dostarczała mu w dużej ilości.

Gdy w dwa lata później umarła hrabiemu Stefanowi żona, poświęcił się wychowaniu dzieci. Nauczyciela nie trzymał, sam je uczył, kształcił, rozwijał.

Lekcje zimą i latem zaczynały się o szóstej rano. Tak syn, jak i córka wstawać musieli o piątej z rana i po szklance mleka i kromce razowego chleba, szli do kaplicy, która była poprzednio sypialnym pokojem zmarłej hrabiny.

Po modlitwie wspólnej przechodzono do biblioteki, gdzie pośród wielkich szaf z książkami, mapami i globusami stały dwa stoły: jeden dla syna, drugi dla córki.

Nauka trwała do godziny jedenastej, potem następowało drugie śniadanie składające się z krupniku z chlebem lub z jajecznicą. Po śniadaniu w specjalnym pokoju odbywała się gimnastyka i szermierka. Potem czytano pisma razem, potem obiad, po obiedzie znów czytanie. Punkt o szóstej wieczorem zjawiał się rządca, z którym hrabia rozmawiał

godzinę. Omawiano tu wszelkie sprawy gospodarcze, projekty ulepszeń, odbierano rachunki. Przy rozmowie tej dzieci musiały być obecne. Hrabia prowadził gospodarstwo mleczne, zarybił sadzawkę, urządził ogród owocowy i zajmował się pszczelnictwem. Dochody z tych przedsięwzięć z powodu znacznego oddalenia od stacji kolei były bardzo niewielkie.

O godzinie ósmej wieczorem dzieci szły spać, a hrabia do biblioteki, gdzie często długo w noc przygotowywał się do następnej lekcji z dziećmi.

W niedzielę szedł z nimi do kościoła stary sługa Grzegorz, hrabia przepędzał ranne godziny w swej kaplicy domowej.

Grzegorz był ciekawą postacią w tym niezwykłym domu. Syn nieznanego ojca i matki — biednej dziewczyny, która pewnego zimowego wieczoru, zziębnięta, chora przywlekała się do pałacu i tu w malignie zmarła — od urodzenia wychowywał się razem z hrabią Stefanem, młodszy od niego o dwa miesiące. Do lat dwunastu uważał się za brata hrabiego Stefana; gdy jednak, jak to bywa, odkrył mu ktoś niebaczny tajemnicę jego pochodzenia, Grzesz nie chciał przebywać w pokojach, usunął się do oficyny i żadne namowy nie mogły go skłonić, by zajął dawne swe stanowisko. Z wiekiem stawał się coraz małowówniejszym i prócz krótkich odpowiedzi nie mówił nigdy i z nikim. Stał się najwierniejszym sługą, niczym więcej być nie chciał.

Dla dzieci hrabiego Stefana był już opiekunem poniekąd, opiekunem czujnym i równie milczącym.

Tak rzeczy stały aż do chwili, gdy syn hrabiego Stefana, młody hrabicz Zarucki, ukończył lat dwadzieścia, a siostra jego lat dwadzieścia trzy.

Stary hrabia zachorował. Próbowano go skłonić, by wezwał lekarza. Pytano, czy nie zechce pogodzić się z bratem. Odmówił. Napomknięto o księdzu. Hrabia zgodził się na odwiedzinę księdza. Był to pierwszy gość, prócz rządcy, który od lat piętnastu odwiedził zamek.

Ksiądz długo rozmawiał z chorym i wyszedł cicho, jak był wszedł do tego milczącego przybytku.

Dziwny był stosunek chłopów do hrabi. Szanowali go, naśladowali jego ulepszenia w swych małych gospodarstwach, ale stronili od parku, stronili od pałacu, bali się nie tylko samego hrabiego, nie tylko jego domu, ale bali się i starego Grzegorza, i rządcy, który codziennie chodził do hrabi.

Gdy wieść o chorobie pana rozeszła się po wsi, więcej z ciekawością niż z niepokojem, więcej ze zdziwieniem niż ze współczuciem, przewidywali śmierć jego. Tak im się dziwnym wydawało, że hrabia może umrzeć. Czekano na nią tydzień, dwa, trzy tygodnie. I oto zamiast śmierci, dowiedzieli się, że hrabia będzie otaczał murem swój pałac. Zaczęła się praca. Park odcięto od zabudowań. Pozostał tylko pałac i podwórzec. Z Warszawy przywieziono wielką żelazną bramę, którą przemocowali sprowadzeni z miasta robotnicy. Praca trwała miesiąc niespełna i znów ucichło wszystko. Tylko lud bardziej jeszcze unikał czerwonego muru, po którym pięły się pierwsze pędy zasadzonego dzikiego wina.

Mówiono o tym wiele wśród ludu, mówiono w okolicy, ale że nowych wieści nie było, więc rozmowy ucichły.

I rządcą nie przychodził teraz do dworu, tylko stary Grzegorz odbierał od niego raz na tydzień rachunki.

Hrabia podobno znalazł w rękach syna list od stryja; list ten wręczył mu rządcą, dlatego obmurowano dziedziniec i rządcy zamknięto wstęp do pokojów.

W ogrodzeniu pozostał stary hrabia, syn i córka, Grzegorz i kucharka głucha zupełnie, więc nieszkodliwa.

Minęły dwa miesiące i brama żelazna otworzyła się w dzień niezwykły.

Młody hrabicz wyszedł sam i końmi rządcy pojechał na stację.

Gruchnęła wieść, że syn nie chciał złożyć ojcu przysięgi, iż po jego śmierci nie wyjedzie z Zaruczaju i nie przeprosi się ze stryjem. Więc ojciec kazał mu natychmiast usunąć się z domu.

Młody Zarucki przyjechał do stryja. Stryj kilka razy próbował pogodzić go z ojcem. Pisał listy — wracały nieodpiecztowane. Wysłał list do Grzegorza — nie otrzymał odpowiedzi. Sam pojechał — nie otworzono mu bramy.



Po trzech tygodniach bezskutecznych prób pogodzone się z myślą, że hrabia Stefan skutkiem silnych wstrząśnień, jakie przeżył, zachorował na umysł i cierpieniem swym chce zgubić dzieci.

Stryj postanowił pokazać światu bratanka. Gdy pragnął go wziąć do siebie, sądził, że będzie musiał go przygotować odpowiednio, że pracy będzie miał wiele. Zdziwił się niepomernie, zobaczywszy, że młody Zarucki jest nie tylko człowiekiem wykształconym, nie tylko zna języki i ma obszerne wiadomości ze wszystkich gałęzi wiedzy, ale posiada oryginalne wyrobione zdanie o wszystkim, czego nie mógł znać, żyjąc w pustelni: dokładnie zna całą literaturę bieżącą, zna z najdrobniejszymi szczegółami cały ruch umysłowy świata i Warszawy.

Niezwykle dzieciństwo i okres młodzieńczy młodego hrabi, a także i wieść, że ma on zostać spadkobiercą olbrzymiej fortuny bezdzietnego stryja, dodawały mu uroku. Przyjęto go jako króla sezonu. Był rozrywany, uwielbiany. Pokazywano go sobie na ulicy. Bogaty stryj, opiekun, dumny się czuł ze swego bratanka, dzięki któremu sam nabrał znaczenia i rozgłosu. Nie żałował też młodemu niczego, pozwalał mu na wszystko.

A młody Zarucki z cichej, bezludnej, więziennej celi, ze spartańskiej wstrzemięźliwości dostał się w wir zabaw i uciech. Rzucił się on z całym zasobem zdrowia, inteligencji i środków materialnych w to nowe dla niego życie.

W miesiąc niespełna wchłonął w siebie wszystko, co go otaczało, powiązał to, co widział, z tym, co wiedział — szalał nadmiarem sił młodości.

Od balowej sali, gdzie nęciły go urocze uśmiechy i nagie ramiona, biegł do warsztatu rzemieślnika, by przyjrzeć się jego pracy, od fabryki wyrobów żelaznych biegł do klubu, z teatru szedł do schronienia dla nędzarzy, zwiedzał kolejno gabinety pierwszorzędných restauracji i sale szpitalne, i wszystko go jednakowo zajmowało.

Jeśli był wszędzie, jeśli widywano go na przemian na ulicach Powiśla i w gronie wesołej młodzieży na przedstawieniu w tingel-tanglu<sup>12</sup>, to wypytującego kasjera o stosunki banku, to znów rozmawiającego z posłańcem o jego dziennym zarobku, to pocieszającego jakieś biedne dziecko, które zgubiło dziesiątkę, daną mu na kaszę — czynił on to nie dla zyskania sobie popularności, ale dlatego, że chciał wszystko słyszeć i widzieć, i pracować — działać, czynić.

Ale trujące wyziewy miasta nie mogły nie oddziaływać na tę duszę dziewczęcą, wrażliwą. Liściki bezimienne, które otrzymywał w wonnych kopertach, zalotne spojrzenia, sieci, które zastawiano na jego młodość i majątek, atmosfera zbytku, którą go stryj otoczył, miękką pościel i zapach perfum, trunki słodkie, łagodne zda się, a tak niebezpieczne, odejmujące rozum — uczyniły szczyby w jego charakterze.

Stąd pochodziło właśnie, że mógł on dnia jednego złożyć znaczną sumę na nową instytucję dobroczynną, dopomóc stolarzowi do wykupienia się z długów lichwiarskich i przegrać potrójnie wielką sumę w karty.

A stryj nie bronił mu niczego. Sam stary zniszczony, chory, wiecznie duszący się w napadach astmy, ożywał się życiem młodości, to mu sprawiało ogromne zadowolenie.

Co myślał sobie stary hrabia Stefan Zarucki, gdy dochodziły go za pośrednictwem prasy niektóre szczegóły z życia syna?

Jednakże zaszedł wypadek, który zmusił stryja do postawienia swego zakazu. Młody Zarucki zakochał się w jakiejś dziewczynie, którą spotkał gdzieś na poddaszu podczas swoich wycieczek, i postanowił z nią się ożenić. Próżno stryj tłumaczył mu i przekładał, że on tego nie powinien i nie może zrobić. Należało chwycić się ostatecznego środka: wyjechać za granicę. Tak też uczynił.

I znów młody Zarucki podziwiał cuda natury i cuda ludzkiego talentu i pracy, a stary był zdumiony. Gdy wchodzili do galerii obrazów, młody hrabia dokładnie wiedział, jakie tu mieścić się powinny znakomite dzieła. Gdy zwiedzali starożytną świątynię, opowiadał mu jej historię. Stary Zarucki rozumiał, że brat jego musiał być znakomitym nauczycielem, prawdziwym wychowawcą. Nie tracił on czasu nadaremnie i w ciszy pustelnej prawdziwie kształcił swe dzieci.

<sup>12</sup>tingel-tangel (daw.) — podrzędna kawiarnia lub restauracja z występami tancerzy, kabaret. [przypis edytorski]

W Rzymie otrzymali wiadomość o śmierci starego hrabi. Syna piorunem razila straszna wiadomość. Czy uczuł wielkie wyrzuty sumienia, czy kochał starego ojca, dziwaka, czy przywykł do myśli, że ten złamany, wyniosły, wspaniały starzec, uczony, marzyciel, musi żyć wiecznie — dość, że rozpacz jego cicha, zamknięta w sobie, granic nie miała. Noc całą siedział nad fatalną gazetą, która mu wieść tę zwiastowała, siedział z głową opartą na dłoniach, z oczami utkwionymi w czarne czcionki nekrologu.

Pisano o ojcu niewiele i wstrzemięźliwie. Dodawano, że wiadomość o zgonie jest spóźniona o tydzień, co należy tłumaczyć odosobnionym życiem, jakie hrabia prowadził.

Młody Zarucki rozumiał, że na pogrzeb jest już za późno.

W rzeczy samej, gdy przyjechał ze stryjem do Zaruca, ujrzał już na cmentarzu świeżą mogiłę.

Zwykła bryczka, którą stary Grzegorz jeździł po gazety, wiozła Zaruckiego do mogiły. W okolicy o śmierci jego dowiedziano się dopiero w dniu pogrzebu.

Trumny zamawiać nie było potrzeba, gdyż hrabia spał w trumnie od lat wielu...

Zakołatano do żelaznej bramy. Nikt nie otwierał. Stukano kilka razy, nie było odpowiedzi. Młody Zarucki napisał list do siostry, błagał, by wyszła z tego kamiennego grobu, by nie poddawała się chorobliwym zakłębom zmarłego. Nic nie pomogło. Odpowiedź była krótka, ale jasna:

„Zostaję wierna pamięci ojca, ty idź swoją drogą. Irena”.

Wyjechali.

I znów ani chłopci, ani sąsiedzi nie mieli tematu do gadaniny. Czerwony mur zarastał winem i cisza panowała głucha. Tylko, mówiono, w nocy hrabia wychodzi z grobu i pilnuje bramy. Podobno wielu go tam widziało. W poniedziałek rano Grzegorz wyjeżdżał swą bryczką na pocztę, brał od rządcy rachunki i nic więcej. Straszono dzieci tymi murami, a pastuszkowie omijali łąkę, która dotykała parku.

Młody Zarucki wyjechał znów za granicę, ale nie szukali już teraz miast, lecz obrali sobie siedzibę w uroczej miejscowości nad morzem.

Hrabia po śmierci ojca zmienił się nie do poznania. Pierwsza chwila oszołomienia minęła, nastąpił zwrot. Ta cisza całego dzieciństwa, praca ciągła i życie proste, potem nagły hałas, wir, gorączka życia po grobowej ciszy, moc wrażeń po jednostajności — nie mogły nie wywrzeć wpływu na młodym człowieku, nie mogły nie nadszarpnąć jego nerwów.

Przycichł teraz, szukał spokoju.

I stała się rzecz dziwna, nieprzewidziana: młody Zarucki zakochał się nagle w pięknej żonie węgierskiego magnata.

Miłość zaczęła się od spotkania, po którym nastąpiła długa rozmowa. Trzeba wiedzieć, że hrabią interesowano się niezmiernie, gdyż i tu już dosięgły pogłoski o jego ojcu pustelniku i o nim. Żona magnata może zainteresowała się nim, może poszukiwała rozrywki pod nieobecność męża, a może chciała zaimponować damom, że to jej pierwszej udało się wyrwać hrabię z ukrycia, w którym chciał przebywać po śmierci ojca.

Młodzieniec zakochał się. Była to miłość silna, miłość człowieka, któremu obce było dotychczas to uczucie, gdyż nie można liczyć miłości chwilowej dla jakiejś prostej dziewczyny z poddasza. Po raz pierwszy dopiero ukazała mu się kobieta owiana czarem niezmiernym, kobieta — pokusa.

Zarucki nie posiadał daru kłamstwa, które wyrabia życie i styczność z ludźmi. Nie krył się ze swym uczuciem. Pokochał ją, więc jej nie odstępował, bywał z nią na koncertach, w teatrze i na balach. W swym pięknym salonie urocza kusicielka wśród wybuchów śmiechu uczyła go sztuki tańca. A uczeń był dziwnie pojętny.

Zarucki nie rozumiał, że miłość swą dla mężatki należy ukrywać. Ona śmiała się: bawił ją ten tryumf.

I tym razem stryj próbował stłumić uczucie synowca, ale gdy się spostrzegł, było już zbyt późno.

Tymczasem historia stawiała się głośnie, zjawił się mąż pięknej Węgierki.

Zarucki był szczerzy jak dziecko, Węgier był obłudny. Zarucki serdecznie ścisnął dłoń człowieka, który był mężem jego ideału.

Magnat ścisnął jego dłoń, a przygotowanym był uczynić podłość.

Miłość

Umówili się razu pewnego w klubie. Grano w karty. Węgier przegrywał, był błądy i rozdrażniony. Zarucki, wiedziony przecuciem ludzi nerwowych, rozumiał niebezpieczeństwo grożące. Był smutny, niespokojny.

Wreszcie postanowił rozmówić się z rywalem.

Gdy oddalili się od grających i siedli pod cieniem palm przy stoliku, gdy Zarucki wypił parę kieliszków szampana, zaczął mówić pierwszy.

— Pan wiesz, żem pokochał pańską żonę.

— Wiem o tym. Ale po co pan mi to mówisz? — zapytał obojętnie.

— Bo żona pańska również mnie kocha.

— O tym nie wiedziałem jeszcze. — Oczy mu błyszczały, silił się na spokój. — Czy pan przekonany jest o tym?

— Tak, panie.

— Czy ona to panu mówiła?

— Nie, ale to się czuje.

— Za mało pan zna jeszcze kobiety, by móc o tym sądzić — zawołał dość głośno Węgier.

— Panie, pan tak dziwnie mówi.

— Ja sądzę, że to pan raczej dziwnie mówi.

— Dlaczego?

— Opowiada pan mężowi, żeś romansował z jego żoną.

— Przepraszam, ja nie romansowałem.

— Tylko?

— Tylko... my się kochamy.

— Ależ raz jeszcze pytam: skąd pan wie, że ona pana kocha?

— Pocałowała mnie w usta.

— To jeszcze niczego nie dowodzi — rzekł z uśmiechem Węgier.

— Jak to, pan żartuje?

— Śmieszny pan jest.

— Więc dobrze: jeśli pan się przekona, że ona mnie kocha, czy pan zgodzi się, bym...

— Oddać ją panu na własność?

— No, tak...

— A jeśli ja ją kocham także?

— Nie, pan jej nie kocha.

— Dość tej paplaniny — przerwał Węgier. — Wróćmy do kart.

Węgier śmiał się, żartował. Gdy kolej do rozdawania kart doszła do Zaruckiego, Węgier ucichł, nagle pochwycił go za rękę i zawołał:

— Jesteś pan oszustem.

Dzień pojedynku oznaczony został na rano następujący, by nikt nie mógł mu przeszkodzić. Wybrano sekundantów, broń, umówiono się co do warunków. Nasamprzód pałasze<sup>13</sup>, nie dłużej nad pięć minut. Potem broń palna. Podobno obaj zapaśnicy władali bronią doskonale.

Hrabia oka nie zmrzążył tej nocy. Nie obawa spać ma nie dawała, ale jakieś myśli straszne, gdzie występował i ojciec, i siostra, i ta Warszawa hałaśliwa, i galerie obrazów, i brama żelazna w Zaruczaju, i wspaniałe hotele, i ona, ta cudna, i on jej mąż, i ten policzek, i to oskarżenie nikczemne.

Przybył na plac błądy i chory.

Niedbale wziął do ręki pałasz i niedbale, nie poruszając się z miejsca, odbijał wściekle uderzenia Węgra. Widać było, że nie napada, że się nawet nie broni, lecz machinalnie, z myślą o czym innym, powtarza wyuczony ruchy i obroty. (Ojciec musiał być doskonałym nauczycielem). Węgier wpadał we wściekłość, Zarucki poczynał się nudzić. Coraz mniejsze ruchy robiła jego ręka. Sekundanci nie pamiętali podobnego pojedynku. Zdawało się, że Zarucki opuści broń lada chwila.

— Koniec! — rozległa się komenda.

Węgier zrobił ostatnie pchnięcie. Ostatni raz rozległ się chrzęst żelaza.

Hrabia zachwiał się nagle i upadł.

<sup>13</sup>pałasz — broń biała o długiej, prostej klindzie. [przypis edytorski]

— Raniony?

— Nie, zemdlął tylko.

Zawieziono go do hotelu, wezwano lekarza, Stryj niczego nie pominął, aby ocalić swą dumę, swego ulubieńca.

Młody chorował ciężko i długo. Jakieś majaczenia straszne, jakieś widma go nawiedzały. Zrywał się, mówił, wołał, to błagał ojca o przebaczenie, to wzywał jakąś dziewczeczkę, którą porzucił bezlitośnie, to całował usta cudnej Węgierki, to znów zrywał się, rzucał, wywijając ręką jak w pojedynku.

Gdy się zbudził z maligny po wielu tygodniach, oczy jego patrzyły mętnie, nieśmiało.

I gazety rozniosły wieść, że bohater historii romantycznej, która tak zainteresowała świat cały, młody hrabia Zarucki — zwariował.

Czy to był obłąd? Trudno odpowiedzieć. W każdym razie był to jakiś dziwny stan. Chwilami hrabia wpadał we wściekłość, tłukł, łamał, krzyczał, ale miał świadomość zupełną swych czynów i słów. To znów następował stan osłupienia, bezgranicznego smutku.

— Nie powinienem był opuszczać mego grobu. Tylko spoza murów kamiennych człowiek może przypatrywać się rozumnie tej tragikomedii, która zwie się życiem. Brać udział w tym lichym przedstawieniu, serce w nie kłaść, duszę nie warto.

To znów zrywał się do działania:

— Nie wolno usuwać się, nie wolno robić sobie widowiska z łez i cierpień ludzkich. Należy wejść między ludzi, cierpieć, a pracować, cierpieć i łzy ocierać.

Wówczas brał garść srebra, wychodził z lekarzem na miasto i rozdawał jałmużnę.

I znów następowało zniechęcenie.

— Nie, jałmużna, złoto to nie działanie. Kto tak rozumie swoje obowiązki, ten źle je rozumie, nie pojmuje ich wcale. Od razu należy oddać cały majątek i później w nędzy na chleb zarabiać, i wówczas czynić dobrze.

A nad wszystkimi uczuciami górowała tęsknota za siostrą.

— Stryju, musisz mnie pogodzić z siostrą. Ja chcę ją widzieć, inaczej zwariuję. Toż dwadzieścia lat jeden grób nas ukrywał, ja nie mogę, nie mogę jej nie widzieć dłużej.

W okresie choroby poznał był Zarucki młodego lekarza, Polaka, przywiązał się do niego całą duszą i wymógł obietnicę, że się nie rozłączą.

W tym właśnie czasie, kiedy Zarucki przychodził do zdrowia, nawiedził stryja trzeci atak apoplektyczny i stary w kilka godzin umarł, pozostawiając bratankowi ogromny majątek.

I znów nawiedzały młodego hrabię dawne lęki. Lekarz nie odstępował go ani na chwilę.

— Gdzie się obróć, wszędzie groby, groby, groby — wołał, trzęsąc się z trwogi. — Nic dziwnego, w grobie wychowany, śmierć niosę, zarazę. Zabijcie mnie, spalcie, a prochy moje ukryjcie głęboko, by z nich zaraza nie powstała.

A w chwilach smutku szeptał bezradnie:

— Ja chcę do siostry. Ja tęsknię.

I znów mały świeatek zaruczajski wstrząśnięty został do głębi.

— Młody wariat ma przyjechać — gruchnęła wieść z początku wśród chłopów, potem w okolicy. — Hrabianka zgodziła się go przyjąć, bo ukazał jej się podobno nieboszczyk ojciec i powiedział, że młodemu rozum wróci, gdy znów zamieszka w Zaruczaju.

Na dnie każdej gadaniny, choćby najgłupszej, jest jakiś okruch prawdy.

W rzeczy samej, pewnego pięknego poranku zajechali przed bramę pałacu hrabia i jego doktor na wynajętym wózku chłopskim.

Gdy wysiedli przybyli, chłopiec zaciął konie i co tchu uciekał, i opowiadał potem, że czuł jakieś dziwne zimno, że widział cień starego, choć to był ranek jasny, a nieboszczyk tylko w nocy przecież wychodzi z grobu.

— Widać na spotkanie syna wyszedł.

I znów cisza zapanowała we dworze, i jeszcze staranniej mur obrośnięty winem omijano. Raz krowa się tam zabląkała i poczęła dawać krwawe mleko. Kobieta pewna słyszała jakieś jęki idące ode dworu. Prawda i to, że krowa dawno już była chora, a kobieta, która słyszała jęki, była nałogową pijaczką i kazała sobie niejedną kieliszek postawić, nim wszystko dokładnie opowiedziała. A gdy już sądzono, że nic więcej powiedzieć nie może, dodawała stale:

Szalerństwo

Szaleniec, Grób, Theatrum mundi

Grób

— A jak postawicie, kumie, jeszcze jeden *barak*<sup>14</sup>, to wam najciekawsze opowiem.

I niby to ludzie nie wierzyli słowom pijaczki, mimo to *barak* jej stawiali.

Znów czasu sporo upłynęło, aż tu dnia pewnego hrabia młody z Grzegorzem i doktorem wyjechali. W parę dni później doktor wrócił z robotnikami z Warszawy. Robotnicy kilka dni coś tam majstrowali, na wieś ani razu nie wychodzili, a potem razem z doktorem („czy kto go tam wie” — jak mówiono) wyjechali na stację.

Doktor wrócił, a w trzy dni później hrabia z Grzegorzem i dwojgiem dzieci przyjechali do Zaruczaju. Wiadomość ta jak grom uderzyła w świat zarucki.

— Co to za dzieci? skąd? jak? co z nimi zrobią?

Jakkolwiek Antoś i Mańka nic nie wiedzieli o dziwnej historii ich nowego mieszkania, ani o ich nowych opiekunach, jednakże mocno serce im biło, gdy wchodzili przez wielkie drzwi dębowe do ciemnego korytarza.

#### IV. ZWIERZENIA

Nazywaliśmy kilkakrotnie grobem pałac w Zaruczaju. Wstąpmy więc wraz z Mańką i Antkiem do tego grobu i przyjrzyjmy się mu szczegółowo.

Korytarz, jak się rzekło, był ciemny i długi; po obu stronach korytarza były drzwi, które prowadziły do pokojów. Pokojów tych było po trzy z każdej strony: biblioteka, sala gimnastyczna, stołowy, dwa mniejsze pokoje i gabinet hrabiego. W bibliotece, która mieściła się w ogromnej sali z wielkimi oknami wychodzącymi na ogród, nie było szaf, tylko półki, na półkach ponumerowane książki, a numerów tych było z górą pięć tysięcy. Sala do gimnastyki prócz przyrządów, zawieszonych na suficie sznurów, kólek, trapezu, drygów i porozwieszanych na ścianie szpad, rusznic i masek drucianych — nie zawierała nic. W stołowym środek pokoju zajmował wielki stół dębowy, przy nim krzesła; pod ścianą stał wielki kredens dębowy, na ścianach portrety przodków rodziny Zaruckich. Gabinet hrabiego posiadał biurko wielkie, fotel, ceratą kryty, globusy, mapy, książki, papiery i wielką ogniotrwałą kasę.

A do dwóch małych pokojików wprowadzono osobno Antosia i Mańkę.

Mańka, pozostawszy sama, usiadła na krześle i senna, znużona, oparła głowę na dłońiach i zamyśliła się.

Za to Antoś rozglądał się po swym pokoju uważnie.

„Pi! pi! Jest łózko, szafka, stół, dwa krzesła, umywalka. Okno wychodzi na ogród, Wcale nieźle. Tylko że tu chyba będzie piekielnie nudno — pomyślał sobie. — Ano, zobaczymy”.

Ta cała awantura zaczynała mu się teraz podobać. Gdyby to towarzysze z Warszawy wiedzieli o jego przygodzie, dopieroż by się zdziwili — dopieroż by on urósł w ich oczach, no, no!

W szafce tkwił klucz; otworzył ją. Pół szafy zajmowały półki, na których poukładana była bielizna.

— Pi! pi! dwanaście czystych koszul — powiedział półgłosem — to ci pycha dopiero. Ciekawym, czy mi to pozwolą zabrać ze sobą.

Drugą połowę szafy zajmowały ubrania: palto, spodnie, bluza.

— Wcale nieźle, wcale nieźle — ciągnął Antoś — tylko warto by coś zjeść przecież.

W tej samej chwili wszedł stary Grzegorz i na tacy przyniósł mu dzbanek mleka, chleb i cukier.

— Pan prosił, żebyś się umył przed śniadaniem — rzekł służący i wyszedł.

— Ano, umyć się to umyć. Zabawna historia sobie. Tylko mogłoby tu być trochę ciepłej.

Antek umył ręce i twarz (szyi i uszów nie mył prawie nigdy) i zasiadł do śniadania.

— Dobrze mleko, jak prababkę kocham. A chleb jaki, phi!

Położył się w ubraniu na łóżku:

— Fu, twarde łózko. A ja myślałem, że tu będą ci takie puchy, jak u szynkarza, albo i lepsze. No, trudno.

Wyjął ostatni papieros, który mu pozostał z wczorajszego zakupu, i zapalił.

— Życ nie umierać. Tylko żeby tak zawsze było. I żeby tu znaleźć kolegów jakich.

<sup>14</sup>*barak* (ar. *arak*) — napój alkoholowy z ryżu lub trzciny. [przypis edytorski]

Z zagasłym papierosem w ustach Antek usnął.

I Mańka spała.

W jednym z górnych pokoiów zebrali się tymczasem: hrabia, hrabianka, lekarz — i radzili.

— Dzieci te pochodzą z najgorszej rodziny pijackiej — mówił hrabia — wpływy miały jak najgorsze. Charaktery ich są zupełnie różne. Dziewczynkę łatwo nam będzie wprowadzić na odpowiednią drogę, ale z chłopcem, zdaje mi się, nie poradzimy sobie tak łatwo. Jest zepsuty, zdaje się, że mu nieźle było w domu, i jest uparty, samodzielny.

— Co robić teraz? — zapytał lekarz.

— Ja sędzę — zaczęła hrabianka — że należy pozostawić je przez pewien czas samym sobie: niech rozmyślają, rozważają. I tak nagle zmiana musiała podzielać na nie silnie.

— I ja tak sędzę — rzekł lekarz — ale jeśli zauważymy, że samotność i bezczynność im ciąży zbyttnio.

— Ja twierdzę — rzekł hrabia — że przede wszystkim należy je obserwować nieustannie.

— To było już postanowione.

— I tego trzymać się musimy ściśle. Więc kto z nas idzie na wartę?

— Ja pójdę — rzekł lekarz i wszedł do sąsiedniego pokoju, z którego przez dwa niewielkie otwory widać było cały pokój Mańki i Antosia.

Hrabianka udała się do kaplicy na modlitwę, hrabia zeszedł do swego gabinetu, i na przygotowanych dwóch grubych zeszytach położył dwa napisy: na jednym Antoś, na drugim: Mania.

Potem wziął pierwszy i równym drobnym pismem zaczął kreślić historię spotkania i kupna Antosia, historię, która znana jest czytelnikom z pierwszego i drugiego rozdziału niniejszej powieści.

Zejdźmy do pokoju Mani i przyjrzyjmy się śpiącemu tam dziecku.

Mania spała niespokojnie. Wzdychała ciężko, jakieś urywane wyrazy wybiegały z jej ust, ręką przyciskała czoło, na policzki jej wystąpiły rumieńce. A jednak się nie budziła.

O zmierzchu do pokoju jej weszła kobieta, zapaliła lampę wiszącą wysoko i zbudziła ją.

— Niech się Mania rozbierze i położy.

— Co? — zapytała Mańka, szeroko otwierając oczy. — Gdzie ja jestem?

— Proszę do mnie nie mówić, bo jestem głucha.

— Ale gdzie ja jestem?

— Nie słyszę. Proszę się rozebrać i położyć.

I wyszła.

Dziewczyna usiadła na łóżku i przypominała sobie z trudnością całą historię dnia ubiegłego.

— Ach, tak!

Przypomniała sobie.

Ale co jej ta kobieta mówiła?

— A, prawda, mam się rozebrać.

Rozebrała się ze swych łachmanów, zarzuciła je na poręcz łóżka, położyła się, ale już zasnąć nie mogła.

Zegar wybił godzinę dziewiątą. Lampa, przyćmiona zielonym kloszem, słabo rozpraszała ciemności. Manię przestraszył dźwięk zegara. Nakryła się kołdrą na głowę.

Jest sama! Tam, w Warszawie, miała matkę pijaczkę, a teraz nie ma nikogo.

Było jej gorąco. Wysunęła głowę spod kołdry i wzrok jej padł na krzyż, który zawieszony był nad łóżkiem.

— Co matka sobie myśli? Dostała przecież pieniądze. Pewnie ją ojciec Antka oszukał. Dziewiąta godzina... Pewnie jest w szynku. Co to za głucha kobieta tu była? Gdzie Antoś? Co z nim zrobili? Dlaczego go nie widziała tu w pałacu? Antek palił papierosa. Ten pan tak strasznie patrzył. Ojciec Antka — pijak.

Myśli jej się wikłały, zapadała w ten stan, który poprzedza sen, ale nie zasypiała.

Zdawało jej się, że wiszą nad nią dwie olbrzymie donice piasku i jakaś niewidzialna ręka przesypuje piasek z jednej donicy do drugiej. Za każdym razem część piasku wysypuje się na nią, piasek jest gorący i ciężki, i lada chwila całą ją przysypie.

Przecucie, Sen

To znów starała się połknąć kawał drzewa, który miała w ustach.  
Zegar wydzwonił dziesiątą. Drgnęła, obudziła się. Pot kroplisty spływał jej z czoła.  
— Spała czy nie spała?  
Nie, nie spała. Przecież i teraz nie śpi, a jednak widzi to wszystko tak wyraźnie, słyszy tykanie zegara.  
I nagle usłyszała jakiś szepcący cichy i rozróżniła płynące ku niej z góry wyrazy:  
— Idź do niej!  
To wstrząsnęło nią, Kto to mówi? Do kogo? Do niej, Mańki. A do kogoż ona ma iść?  
I dziecię matki-pijaczki, dziecię, przez występłą, upadłą matkę katowane, jęknęło boleśnie i bezradnie:  
— Mamo!  
I przeraziło się dźwięku swego głosu, obcego mu i jakby pchane siłą wyższą, znów zawołało:  
— Mamo, mamo, mamo!  
Łzy puściły się Mańce z oczu strumieniem.  
W tej chwili drzwi się cicho otworzyły i we drzwiach stanęła hrabianka Irena w czarnej obcisłej sukni, i wzrok jej łagodny spotkał się z rozognionym wzrokiem Mańki. Kobieta ta dziwnie podobną była do tego pana, który ją tu przywiózł.  
„Może to on zamienił się w kobietę?” — przemknęło przez myśl dziecku w gorączce.  
Hrabianka zbliżyła się do łóżka Mańki, uklękła przy nim, jedną rękę wsunęła pod poduszkę, a drugą otoczyła drobną postać Mańki.  
Dziewczynce oddech zamarł w piersi.  
— Maniu, dlaczego nie śpisz? — szepnęła cicho.  
— Bo się boję, strasznie się boję.  
— Czego się boisz, Maniu?  
Jakiś smutek i wielka życzliwość, i pieczołowitość dźwięczały w głosie kobiety.  
— Nie, Maniu, nie należy się bać. Jesteś wśród dobrych ludzi, dziecko moje. Uspokój się, zaśnij.  
— Nie mogę.  
Złożyła na rozpalonej główce dziecka, cichy pocałunek.  
— Biedne, dobre dziecię moje.  
Mania wstrząsnęła się.  
— Dlaczego mnie pani całuje?  
— Bo cię kocham.  
— A za co mnie pani kocha?  
— Za to, że cierpisz, dziecino.  
— A skąd pani wie?  
— Czuję to, maleńka moja.  
Te trzy pytania Mańka wyrzuciła ze siebie jednym tchem prawie, rzucając je jedno po drugim.  
— Co pani za jedna? — zapytała znów Mania.  
— Jestem tą, która pragnie zastąpić ci matkę.  
— Ja przecież mam matkę.  
— Ale twoja matka jest nieszczęśliwa.  
Po długiej chwili milczenia Mańka mocnym, stanowczym głosem rzekła:  
— Moja matka nie jest nieszczęśliwa, ale jest podła i ja jej nienawidzę. Ja bym... ja bym ją... ją... zamordowała. Ona...  
— Nie mów, Maniu, teraz. Staraj się usnąć. Pomówimy o tym jeszcze. Śpij, Maniu.  
— Ale pani tu zostanie?  
— Zostanę.  
— Całą noc?  
— Całą.  
— Niech się pani położy tu przy mnie.  
— Nie, Maniu, mnie tak dobrze.  
— Ale pani nie pójdzie, bo ja się boję.  
— Zostanę tu przy tobie.

Zamknęła oczy i starała się usnąć, ale myśl, że znów zostanie sama, odganiała sen z jej powiek.

Po długiej chwili ciszy otworzyła znów oczy i spotkała się ze wzrokiem nowej opiekunki. Usta kobiety poruszały się w szepcie.

— Co pani mówi?

— Modlę się.

— O co?

— O twoje szczęście.

— Nie o swoje?

— Nie.

— I ja się modliłam dzisiaj, ale o swoje szczęście. Prosiłam pana Jezusa, żeby ten pan, z którym jadę, dał mi bardzo dużo pieniędzy i żeby mogła matce rzucić w twarz jakieś sto albo tysiąc rubli i bić ją, bić, aż by krew płynęła. O, za pieniądze ona pozwoliłaby się bić.

— Maniu, twojej modlitwy pan Jezus nie wysłuchał.

— Dlaczego?

— Bo to była zła modlitwa.

— To są złe i dobre modlitwy?

— Tak.

— A dlaczego to była zła modlitwa?

— Pomyśl sama.

— Pewnie dlatego, że chciałam bić matkę.

— Tak, dziecko.

— O, pani nie zna mojej matki

Mańka oparła głowę na dłoniach, uniosła się na poduszce i mówiła.

— Pani nie wie, że matka zabiła ojca mojego. Nie znałam ojca, bo umarł, kiedym miała trzy lata. Wcale go nie pamiętam. Ale ona mi to sama mówiła. Mówiła mi: „Ty gadzino, ty duszo podła, ja ciebie tak zatłukę jak twego ojca zatłukłam”. A wie pani, za co matka mnie biła? Bo jak ojciec umarł, to matka wyszła za męża za innego. I ten był taki sam, jak ona. Bili się ciągle i mnie bili. Potem on gdzieś się podział. Ale było jeszcze gorzej, bo potem matka miała znów innego męża, potem znów innego. Ja miałam siedem lat. Musiałam im usługiwać. A ona chciała, żeby ich ojcami nazywała, a ja mówiłam, że nie chcę. To mnie biła i głodziła. Wyganiała mnie, żebym żebrała. Ojciec jak umierał w szpitalu, to ciągle tylko prosił, żeby mnie u niej nie zostawiono. Ale do kogo miałam iść, co? Jakem już była duża, to mnie się bała. Jak przyszła pijana tak, że nie miała sił się ruszyć, to ja ją biła.

Ale czy ona wiedziała, co się z nią dzieje? I co ja jej tam mogłam zrobić? Drapać bałam się, bo by się domyśliła, że to ja jej zrobiłam, a tak to myślała, że się przewróciła i uderzyła. Ale i tak potem biła mnie. Wie pani, ja chciałam się powiesić. Już przystawiłam stołek, ale był za mały, więc poszłam po Antka, żeby mi pomógł stół przystawić. On się zaraz domyślił, bo niby to nic, pomógł i wyszedł. Ale stał przy drzwiach i patrzył przez dziurkę od klucza. On mi mówił później... Postawiłam stołek na stole, uwiązałam sznurek i już wchodziłam, a on wpadł i zawołał:

„Mańka, co ty robisz?”. Złękłam się i spadłam na ziemię. Wtedy Antek poszedł do ojca i powiedział mu. Właśnie od tego ojca Antka to ten pan nas kupił. Ojciec Antka przyszedł i powiedział matce: „Słuchaj, powiada, jak jeszcze raz ją ruszysz, to cię na policję oddam”. Matka się z nim kłóciła, ale się złękła. Bo ona w cyrkule to ze sto razy siedziała. Ach jaka ja wtedy byłam szczęśliwa! Ale podobno za to bicie mnie mogła iść do prawdziwej kozy z kajdanami. Więc potem prosiła, żeby nic nie mówił. Bo i sąsiedzi wdali się w to. Jeden mieszkał w naszym domu stolarz, taki poczciwy, jak pewnie był mój ojciec. To ten stolarz mówił, że on będzie świadczył. Tylko żona jego odciągała i mówiła: „Co będziesz się po sądach włóczył, tyle ta dziewczyna warta, co i matka”. Bo ona była zła na mnie.

Więc potem to ojciec Antka zaczął płacić za mnie mojej matce dwa złote dziennie, a ja jemu oddawałam to, co zarobiłam. Musiałam pół rubla zarobić, bo on chciał mieć na mnie czterdzieści groszy dziennie. On ciągle się z matką kłócił, bo matka wiedziała, że ja więcej zarabiam. Ale on groził matce kryminałem, więc matka tylko na mnie się mściła. Ale potem to i mnie się bała, bo mówiłam także, że ją oddam do sądu. A ojciec Antka to

Modlitwa

Dziecko, Pijaństwo, Bieda,  
Cierpienie, Samobójstwo,  
Matka



mnie tylko za uszy targał albo dał szturchańca, albo rękę wykręcał. Ale w twarz nie bił, bo nie chciał, żebym miała sińce. Bo jak byłam ładniejsza, to więcej dawali mi za kwiaty.

Czasem mu oddawałam wszystko, a czasem jak zarobiłam więcej, to kupowałam pierniki, czekoladę i karmelki. Ale jak miałam mniej, to Antek mi zawsze dawał, bo on mnie kocha i ja jego także. Chociaż on już teraz nie jest taki, jak dawniej. Mówił mi to sam: „At, śmieją się ze mnie tylko przez ciebie; nawet się pocałować nie dasz, jak jaka hrabina albo co”. Ale ja sobie myślałam zawsze, że to nic nie szkodzi, bo jak on pójdzie ode mnie, to się powieszę i już.

Mańka skończyła. Oczy jej lśniły jak dwie główne, z twarzy krew zdawała się tryskać; przez dziury podartej koszuliny widać było dziecięcą pierś, falującą mocno. Było to dziecię-kobieta. Dojrzała ona przedwcześnie w tym zgniłym życiu i miała zginąć w zgniliznie.

Nie, Mańka znalazła obronę przeciw tej nędzy, która ją w życiu czekała; tej nędzy, co się tuła pomiędzy cyrkułem, szpitalem i kryminałem: miała sobie życie odebrać.

Oto pierwsze dziecko ulicy z szeregu, który oczom waszym przedstawię.

Mańka była podniecona swym opowiadaniem do najwyższego stopnia. Patrzała w światło zielone lampy, jakby widziała w nim to wszystko, co opowiedziała i czego nie opowiedziała, bądź przez zapomnienie, bądź ze wstydu.

Gdyby Mańka była patrzyła nie na światło lampy, ale na twarz swej słuchaczki, byłaby się przeraziła. Wyczytałaby w tej twarzy na przemian pogardę dla siebie, bezgraniczną miłość, podziw, rozpaczliwą litość, szalony ból, a potem wyraz jakiegoś strasznego znużenia po wielkiej wewnętrznej walce.

W czasie opowiadania Mańki hrabianka nie odezwała się ani jednym słowem, choć dusza jej krzyczała w głos; gdy Mańka ucichła, hrabianka kilka razy otwierała usta, by coś powiedzieć, ale nie mogła, bo czuła w gardle ucisk straszny.

Wreszcie przycisnęła dziecko do piersi, chciała je pocałować, ale w tejsze chwili straciła równowagę i runęła bez zmysłów na ziemię.

Mańka krzyknąć nie zdążyła, gdy już wszedł do pokoju jakiś pan nieznajomy, wziął dzbanek wody, przysnął zemdłonej wodę na twarz; i hrabianka otworzyła oczy.

— Odwagi, odwagi! pani — rzekł lekarz.

— Już nic. Może pan odejść.

Nieznajomy wyszedł.

Mańka nic z tego zrozumieć nie była w stanie. Jedno pojmowała: że jeśli jest otoczona duchami, to duchami dobrymi.

— Co pani się stało? — zapytała Mańka.

— Nic, dziecko moje. Znużona jestem.

— Bo pani klęczała tak długo. Niech się pani przy mnie położy. Może pani się mnie brzydzi, może mnie pani już nie kocha?

— Kocham cię, dziecko, kocham jeszcze bardziej.

Usiadła na krześle, oparła głowę o poduszkę Mańki i powiedziała:

— Śpij, Maniu.

I dziecko zasnęło, trzymając jej dłoń w swojej ręce.

Nazajutrz hrabianka usiadła w gabinecie nad zeszytem, który nosił tytuł: Mańka. Streściła w nim swoją rozmowę i trzy razy odkładała pióro, bo ręka jej drżała. Sprawozdanie swe zakończyła uwagą:

„Sądzę, że brat się myli. Nie, z tych dzieci nic się nie da zrobić, bo we krwi noszą zarodki zepsucia i przez pierwsze lata nasiąkły nim tak, że nic ich nie uleczy”.

A pod tą uwagą hrabia zrobił swoją:

„Wierzę, że dla odrodzenia tych dzieci potrzebna tylko wielka dla nich miłość i wielka praca”.

Późno już otworzyła Mańka oczy. Rozejrzała się po swym pokoju, powoli uprzytomniała sobie ostatnie wypadki, przypominała sobie zwierzenia nocne przed nieznajomą i poczuła nagle gniew silny.

„Po co ja jej wszystko gadałam? — myślała. — Co ją może obchodzić, jaka jest moja matka? Ja nie chcę, żeby ona tu przychodziła, żeby do mnie mówiła, żeby ze mną rozmawiała. Nie trzeba mi żadnej opieki, nic mi nie trzeba. Antoś ma słuszność: trzeba uciec. Trzeba się z nim zobaczyć, przygotować się. Ja chcę wrócić. Teraz jesteśmy wolni, mogę

Praca u podstaw

nie pokazywać się matce. Kiedy nas sprzedali, a my dostaniemy papiery wszystkie, co oni nam zrobią?”

Hrabianka weszła do pokoju i z nienaturalnym uśmiechem na bladej twarzy, zapytała, zbliżając się do Mańki.

— Dobrze spałaś?

— Dobrze — odparła dziewczynka, patrząc w ziemię.

— Czy gniewasz się na mnie?

— A co mam się gniewać?

— Ja, wiem, Maniu, że ty masz żal do mnie. Sama prosiłam cię, żebyś mi nie opowiadała historii swego życia, nim nie poznasz mnie dokładnie, nim się nie przekonasz, że ci dobrze życzę. Prawda, że cię prosiłam, co?

— Tak — mruknęła Mania — Ja chcę widzieć się z Antkiem.

— Antoś śpi jeszcze, ale zaraz tu przyjdzie do ciebie. Ubierz się, Maniu. Czy chcesz, żebym stąd wyszła?

— Wszystko mi jedno.

— Nie, Maniu, mów szczerze do mnie. Czy chcesz zostać sama?

— Tak.

— Więc wyjdę. Pamiętaj, Maniu, my możemy pokochać się tylko w tym razie, jeśli będziemy zawsze mówili, co myślimy, co czujemy. Ja cię już kocham, dziecko moje, a pragnę, byś i ty mnie polubiła. Czy teraz wcale mnie nie lubisz jeszcze?

Mania milczała:

— Powiedz mi, Maniu, cichutko, do ucha.

— Nie — szepnęła Mania — ale może później polubię. Ja teraz nikogo nie mogę lubić... prócz Antka — dodała po chwili.

## V. UCIECZKA

— Panie Antoś, niech pan wstaje, śniadanie przyniosłem.

Antoś otwiera oczy.

Śniadanie mu przynieśli? Mleko? Pii! Gołnąłby kieliszek wódki na wzmocnienie kości. Ach, jak pysznie wyspał się; to ci było dopiero prawdziwe spanie. Przynieśli mu śniadanie i ten stary powiedział: „panie Antoś”, a nie „Antek”. Od razu wyszedł na pana. Ach, gdyby to było tak właśnie, jak jest, ale inaczej. Bo że tu będzie nudno, to i gadania nie ma. Jakieś osady rolne albo więzienie, albo lichy wie co, dość, że nudno i już.

A Antek czuł w sobie zapas świeżych sił. W taki dzień on mógł zarobić dwa albo i trzy ruble; w takie dni właśnie przychodziły mu na myśl najlepsze „kawały”, pełno go było na wszystkich ulicach, zaczepiał każdego, nawet z „strucla<sup>15</sup>” umiał sobie zakpić porządnie. Ale tu?... A potem, po takim dniu krzątania — wieczór wolny, jak znalazł. Szło się do Stacha na karty, stawiało się sznapę<sup>16</sup>, fundowało się i opowiadało się sobie różne kawałki z polityki i z innych rzeczy. A, wesołe życie! Ale tu?... I wszystko przez Mańkę, sam nie dałby się tak zawieźć jak baran; byłby czmychnął choćby z bryczki jeszcze. A bo to raz uciekał? Dwóch stróży macha co sił, jeszcze tam jakiś pędzi, a on to tu, to tam, za róg, w ulicę i ani śladu. Nie darmo bo mówi zawsze Broniek, że z babami dobrze, ale z daleka. I cóż on teraz zrobi?

— Tak czy tak, trzeba raz skończyć — powiada Antek i wstaje. — Ho, ho! nowe ubranie, a jakie *galantne*<sup>17</sup>.

Stare gdzieś sprzątnęli. Bardzo się mylą, jeżeli myślą, że go *wezmą* na to. Gałgany dobre dla bab, ale nie dla niego. Antka i tak znają dobrze. Tam kto funduje, ten pan, kto dobrze wali, ten górą. Ale Wicka spraj należyście. I teraz właśnie, kiedy mógł korzystać ze swego zwycięstwa, zbierać laury swego tryumfu, akurat ten stary dureń wywiózł go lichy wie po co.

— Dziś jeszcze umknę — postanowił Antek.

Mleko mu dają, także mi rarytas. Co to on przy piersi, żeby mleko pił? Jeszcze mu każą tu pewnie uczyć się stolarstwa jak Jankowi, ale Janek co innego; on z wyroku był

<sup>15</sup>*strucel* (gw.) — stróż, dozorca. [przypis edytorski]

<sup>16</sup>*sznapa* (gw., z niem. *Schnaps*) — wódka. [przypis edytorski]

<sup>17</sup>*galantny* (gw. warsz.) — ładny. [przypis edytorski]

wzięty na osady, bo okradł zegarmistrza, u którego pracował, ale jego, Antka, jeszcze nikt nie złapał na kradzieży.

— Drapnę stąd, jak Bóg na niebie — mruknął chłopiec.

Nie mógł wybrać hrabia Zarucki mniej odpowiedniej chwili na odwiedzenie swego więźnia.

— Dzień dobry — rzekł, wchodząc.

— Dzień dobry. Doskonale, proszę pana, że pan tu przyszedł, bo ja chcę się z panem rozmówić. Tylko niech pan nie patrzy tak na mnie, bo ja się nie zleknię... Proszę pana, niech mi pan powie, co pan chce ze mną zrobić?

— Dowiesz się niezadługo.

— Ja chcę zaraz wiedzieć, bo ja chcę wrócić do ojca.

— Czy ci tu źle?

— Źle nie źle, a ja chcę, proszę pana, wrócić i już. Tam, w Warszawie, mam robotę...

— I tu pracę znajdziesz.

— Ja tam takiej pracy nie chcę. Ja nic nie mówię: może pan chce dla mnie bardzo dobrze, ale ja, proszę pana, nie mogę tu być i już. Może pan chce nas na własność, może panu własne dzieci umarły. Bo to była jedna dziewczucha u nas, to ją jakaś pani wzięła do siebie, i teraz ciągle jeździ z tą panią jak jaka pani. Niech sobie pan zatrzyma Mańkę, a jak panu potrzebny chłopak, to ja panu stu nastreczę, ale ja tu być nie mogę. Jest tam u stróża jeden zdechłak, jak raz na pańskie dziecko, bo to i nad książką ciągle siedzi, mało mu matka uszów za to nie poobrywa, i takie to jakoś całkiem głupie, *rychtyg*<sup>18</sup> jak hrabiątko jakie; Marcin ma ich siedmioro; jak się dowie, że u pana będzie Jędrkowi dobrze, to go panu da na chowanie albo na własność i za darmo nawet. Ale ja panu mówię uczciwie, że to nie dla mnie. Ja lubię mieć chłopców, ja lubię sobie zafundować i innym jeszcze funduję, ja łaski nie potrzebuję, bo mogę sobie zarobić! Wczoraj to się iryutowałem, ale teraz mówię, proszę pana, bez gniewów żadnych, bo wiem, że jak pan zrozumie, proszę pana, że to ani dla pana interes, ani dla mnie, pan sam puści. A przecież pan dał słowo honorowe, że jak nie będę chciał tu być, to mnie pan puści. Po co pan ma mieć kram tylko z policją? Bo ja ucieknę i jak mnie zapytają o papiery, to powiem, że pan nie chce mi oddać, i już. Mnie tylko ojciec ma prawo gwałtem trzymać, a pan nie. A ojcu nie wolno mnie sprzedawać. Panu się zdawało, że ja taki głupi, oho! ja tylko udaję głupiego, jak chcę, ale ja jestem *cwaniak*<sup>19</sup>, proszę pana, tak!... Z panem mogę mówić po ludzku, bo się domyślam, że pan albo jest dobry jaki człowiek, albo panu klepki brak w głowie.

Zarucki, który oparł głowę na dłoniach, spojrzał przy ostatnich słowach na Antka.

— Przepraszam pana, ja wcale tak nie myślałem, tylko... No, bo ja wiem, może pan jest bardzo bogaty, to pan może tyle płacić za jakichś tam... Więc jak będzie z nami?

— Zostań tu, Antosiu, choć przez zimę.

— Chybabym zwariował. Teraz najlepsze zarobki. I cyrk jest, i wszystko. Ja chcę koniecznie dziś wrócić do domu.

— To niemożliwe.

— Dlaczego niemożliwe? Ano, jak pan chce.

Antek czuł, że gniew w nim wzbiera, ale tłumił to uczucie głęboko. Doznawał rozczarowania i niechęci, że nie udało mu się *ocyganić* tego pana.

„*Cwana* sztuka — pomyślał — ale nie poradzi nic ze mną”.

— Musisz zostać chociaż kilka dni.

— Nie chcę.

— Dlaczego, Antosiu?

— Bo nie chcę i już.

— A gdybym cię bardzo prosił.

— Nie zostanę i basta. Mówię, że nie, to nie.

— Będzie ci dobrze u mnie.

— To niech sobie będzie. Pan powiedział, że będę mógł sobie pójść, gdyby mi się nie podobało; taki, co łamie słowo honoru, e! to na nic.

— Ja ciebie proszę tylko.

<sup>18</sup>*rychtyg* (gw., z niem. *richtig*) — zupełnie jak. [przypis edytorski]

<sup>19</sup>*cwaniak* (gw. warsz.) — spryciarz. [przypis edytorski]

— A ja nie chcę.  
 — Więc zostań tydzień choćby. Pomyśl, przecież Mania sama tu będzie; wy się lubicie.  
 — A co ona mnie obchodzi? Takich jak ona, to sobie sto znajdę. Co Mańka? Głupia i już. Jak sobie chce, to niech zostaje; ja jej nie bronię. I tak przez nią to wszystko.  
 — Czy chcesz się z nią zobaczyć?  
 — Wszystko mi jedno.  
 Zarucki skierował się ku drzwiom, Antek wysadził za nim język i zagrał mu na nosie. Widziała to z pokoju na górze hrabianka Irena i głęboko westchnęła.  
 Antek siadł na łóżko i patrzył przez okno.  
 Może by i został jeszcze, ale kiedy ten go tak prosi, właśnie na złość nie zostanie. I kto go wie? Mogą tak człowieka oplątać, że potem i naprawdę zostanie. Może on i wariat? Jak mu o tych klepkach powiedział, tak strzelił oczami, że aż ciarki przeszły po skórze.  
 Do pokoju weszła nieśmiało Mańka.  
 — Ho! ho! to i ciebie na facetkę<sup>20</sup> przeszwabili<sup>21</sup>. I fartuch, i buciki. Dobrze, bądź sobie panią, kiedy chcesz.  
 Umyślnie drwił z Mańki, żeby nie poznała, że jej ubiór czysty i gładko uczesane włosy zrobiły na nim małe wrażenie.  
 Uśmiechnięte oczy dziewczynki zamglily się smutkiem.  
 — Czego ty chcesz ode mnie?  
 — Nic nie chcę, tylko ci wieszczę, że na panią wyszłaś.  
 — Przecież i ty masz nowe ubranie.  
 — Oddam im je. Ja tam nie potrzebuję łaski. Jak sobie zarobię, sam sobie kupię. Musiałem włożyć, bo mi zabrali moje ubranie, i już.  
 Przyjęcie to zmroziło Mańkę. Stała na środku pokoju i nie miała odwagi się ruszyć.  
 — Zostajesz tu? — spytał chłopiec.  
 — A ty?  
 — A jakże. Dziś się wynoszę.  
 — Dokąd?  
 — Zobaczę, dokąd, byle nie tu.  
 — A źle ci tu?  
 — Doskonale. Co za dobre, to niezdrowe. Ale ty sobie zostań, będą ci tu „panienka” mówili.  
 — Czego ty się mnie czepiasz?  
 — Wiem, wiem. O! znam ja ciebie. Jak ci była bieda, toś się lizała, ale teraz tyś taka sama pani, jak ja pan. Głupia jesteś, mówię ci, i już.  
 — Dlaczego?  
 — Bo cię wysłali, żebyś mnie namawiała. Ja wszystko wiem, bo mam „nos” od tego. Tobie się zdaje, że ja nie wiem, a ja wszystko dobrze wiem.  
 — Wcale mnie nikt nie wysyłał.  
 — Kłamiesz.  
 — To ty kłamiesz.  
 — Słuchaj, Mańka, nie irytuj mnie, bo cię lunę w zęby.  
 — Spróbuj.  
 — No i co mi zrobisz? A tak, prawda, teraz masz lepszego opiekuna jak ja. Ten pan to taki opiekun, jak ten gruby z Felką w Alejach, co to wiesz.  
 — Antek, ty nie zaczynaj ze mną — zawołała ze łzami prawie dziewczynka.  
 — A nie, nawet nie dotknę ciebie, nie ruszę cię. Zostań tu sobie zdrowa.  
 Dzieci (jeśli można nazwać je tym imieniem) klóciły się nieraz i gorzej nawet, ale nigdy w słowach ich nie przebijało tyle niechęci, co dzisiaj. Przepaść, jaka dzieliła ich charaktery, połączona była kładką wspólnej niedoli i silnej inteligencji, pewnym wspólnym odcieniem duchowym; dziś przepaść ta stała się widoczną dla obojga.  
 Nastąpiła chwila milczenia, które przerwało wejście hrabianki Ireny.  
 — Chodźcie, dzieci, ze mną, opowiem wam powiastkę.

<sup>20</sup> *facetka* (gw. warsz.) — lekceważąco o kobiecie eleganckiej, która jednak nie jest damą. [przypis edytorski]

<sup>21</sup> *szwabić* — okpiwać, oszukiwać. [przypis edytorski]

— Ja tam nieciekawaj bajek — rzekł półgłosem Antek, ale poszedł za przewodniczką. Po przejściu korytarza wszyscy troje znaleźli się w pokoju, gdzie tylko jedna lampa, przysłonięta ciemnym abażurem nikły utrzymywała półcień. O kilka kroków od krzesłek, na których usiadły dzieci, rozpostarte było płótno, na którym jedno tylko wielkie koło było oświetlone.

— Przedstawienie jakies — mruknął chłopiec — na takie kawały chcą mnie znów wziąć. No, jazda.

Hrabianka ukryła się za płótnem.

Po chwili na miejscu jasnego koła ukazał się pierwszy obraz. Przedstawiał on dwoje dzieci, chłopca i dziewczynkę. Siedzieli oni pod drzewem i patrzeli na wielkie miasto, które w dali strzelało w niebo tysiącem kominów, wież i gmachów.

Spoza płótna odezwał się głos Ireny:

— Siedzi dwoje dzieci małych pod drzewem, dwoje dzieci opuszczonych, dzieci-sierot. Siedzą one pod drzewem i patrzą w dal, a tam miasto, do którego wejść mają, którego nie znają. Ciekawość, niepokój i radość przepelnia serca dzieci. Jak zwie się to miasto? Imię jego: „Życie”. Co im to miasto-życie w darze przyniesie?

Na jasnym kole płótna ukazał się obraz drugi: przed dziećmi stało sześć postaci. Starzec z długą siwą brodą, z łagodnym wejrzeniem, z księgą w dłoni. Dziewica w białej sukni, z wzrokiem w niebo utkwionym, z krzyżem w ręce. Młodzieniec z błyskawicą w oczach, z twarzą wyniosłą i piękną. Chłopię z gałązką zieloną, jasnym wzrokiem, wpatrzonym w dzieci. Kowal z młotem w potężnej ręce wzniesionej. Dzieweczka z liliowym wieńcem na skroniach.

— Jestem Wiara — zaczęła dziewczica — wierzę w Boga dobrego miłosiernego, Opiekuna sierot i opuszczonych, Pocieszyciela nieszczęśliwych; wierzę w Odkupiciela grzesznych, Sędzię występnych, Mściciela podłych. Wierzę w Prawdę i Dobro.

— Jestem Miłość — rzekł młodzieniec — kocham ludzi: kocham tych, którzy godni miłości, współczuję z tymi, których kochać nie mogę. Miłością jestem, dzieci.

— A ja — Nadzieją jestem — mówi chłopię. — Mam przekonanie, że ludzie coraz lepsi będą, coraz szczęśliwsi; mam przekonanie, że wiara i miłość muszą zapanować w sercach ludzi, że „do światła wiedzie nasza ścieżka”<sup>22</sup>.

— Cnotą mnie nazwano — mówi dziewczę z wiankiem liliowym na skroniach — Wiara, Miłość i Nadzieja to siostry moje młodsze. Kto ze mną, ten z nimi.

— Nauka — miano moje — szepce starzec — jam brat przyrodni tych czworga, jam ojciec ich i syn, jam bez nich zerem, i zerem oni beze mnie. Jam wiedza, jam światło, a oni są ciepłem moim. Czym byłoby słońce, gdyby tylko blaski dawało, a nie nieciło ciepła; czym byłoby słońce, gdyby ciepło dawało, a światła nie nieciło? Myśmy słońce duszy ludzkiej.

— Nazywam się Praca — mówi kowal — jam niewolnik, przyjaciel, towarzysz i wychowawca moich poprzedników. Pracą jestem, zawsze z nimi, przy nich.

Znikł obraz i jego miejsce zajął trzeci portret; przedstawiał on też sześć postaci. Na pierwszym planie stara żebraczka w lachmanach, z fioletową twarzą, szyderczo przymrużonymi oczyma; jedną ręką uniosła wyżej kolan szmatę i brudną nogę ustawiła jak w tańcu. Obok niej mężczyzna bladej, zniszczony, z opiłą twarzą i nienawistnym spojrzeniem. Dalej dziewczyna w brudnym odzieniu, z wzrokiem bezmyślnym i uśmiechem nieokreślonym na ustach. Wyrostek pijany z czapką z oderwanym daszkiem na bakier, z rękami w kieszeniach podartych spodni. Dziewczynka w lachmanach. Mężczyzna w kajdanach, w szarym aresztanckim ubraniu. Chłopiec z papierosem w ustach.

— Jestem niewiara — zaczyna żebraczka — w nic nie wierzę, wszystko jest wymysłem, ot, drwię z was i siebie, z lachmanów moich i nędzy, ot, tańczę sobie.

— Jestem nienawiścią — mówi mężczyzna pijany — nienawidzę wszystkich i wszystko. Nie zbliżać się do mnie, gdym pijany, bo plunę, a w ślinie mojej trucizna.

— Bezmyślność jestem — mówi, jękając się dziewczyna, otwiera usta do słów dalszych i milknie w głupim uśmiechu.

<sup>22</sup>do światła wiedzie nasza ścieżka — nawiązanie do utworu A. Asnyka *Przodownikom*: „Wy możecie zstępować bez trwogi,/ Gdzie noc, groza i zwątpienie mieszka,/ I piekielne nie zwiódą was bogi,/ Bo do światła wiedzie wasza ścieżka”. [przypis edytorski]

— Nieopatrznością fi, fiu! się zowie — mówi wyrostek — fi! fiu! kpię sobie z waszych sądów. Dajcie wódeczki, o nic więcej fi! fiu! nie proszę. Źle pić, niezdrowo, niemoralnie. Fi! fiu! śmiećcie się z tego.

— Nieuctwo jestem — mówi dziewczynka — nic nie wiem, nic nie umiem, niczemog nie uczona. Dajcie mi państwo na chleb, bom głodna. Nic nie wiem, nic nie umiem, znam tylko głód i chłód.

— Występkiem zwa mnie — mówi mężczyzna w kajdanach. — Noszę kajdany, bo jestem kajdaniarz, bo kradłem, bom zabijał. Ciach, mach! i już po człowieku.

— A ja, mili moi, jam brat ich, ojciec, syn i przyjaciel — kończy chłopiec — jam wódz ich i niewolnik. Lenistwem jestem, do usług.

Jeszcze chwilę znaczył się na ekranie obraz. Mańka i Antek znali te postacie.

I znów tylko dwoje dzieci na obrazie, dwoje dzieci-sierot pod drzewem. I znów wielkie miasto w dali. I znów hrabianka Irena mówi:

— Siedzi dwoje dzieci małych pod drzewem, dwoje dzieci opuszczonych, dzieci-sierot. Siedzą one pod drzewem i patrzą w dal, a tam miasto, do którego wejść mają, którego nie znają. Ciekawość, niepokój i radość serca ich przepelniają. Jak zwie się to miasto? Imię jego: „Życie”. Co im to miasto-życie w darze przyniesie?

Przedstawienie skończone.

Dzieci poszły do swoich pokojów.

„Kłamstwo, wszystko to kłamstwo” — myślał Antek.

Nie wiedział chłopiec, gdzie tkwiło to kłamstwo, nie wiedział, co w obrazach tych go raziło, ale czuł, że ta pani, która czytała powiastkę, nic nie wie, nic nie rozumie.

„Głupie — zakończył swoje rozumowanie — wszystkim im klepek brak, wszyscy są wariaci. Trzeba uciec koniecznie”.

Nie tknął obiadu, leżał na łóżku z szeroko otwartymi oczami i myślał, w czym tam było kłamstwo i co go gniewało.

„Co oni tam wiedzą?”

A hrabia, który obserwował Antka przez okienko, sądził, że już duszę jego zdobył, a teraz właśnie na długo ją tracił.

Gdy zmierzch zapadł, Antek wstał, rozejrzał się po pokoju, zbliżył się do drzwi, czy kto nie patrzy przez dziurkę od klucza, narzucił palto, otworzył okno i jednym skokiem znalazł się w ogrodzie. Przebiegł szybko przestrzeń dzielącą go od muru, spostrzegł ławeczkę stojącą pod wysokim drzewem; konary rozłożystej gruszy wznosiły się nad murem. Już wskoczył na ławkę, już chwycił za pierwszą gałąź, gdy poczuł, że ktoś mu kładzie rękę na ramieniu.

— Czego pan chce? Niech mnie pan puści.

Zarucki posadził go łagodnie na kolanach i zaczął mówić. Mówił długo i płynnie. Antek nie przerywał mu ani jednym słowem. Zarucki mówił coraz prędzej. A drzewo szumiało nagimi konarami, a wiatr chłodny ich mroził.

Gdy Zarucki ukończył, Antek zapytał go po długiej chwili milczenia:

— Po co pan plecie o tym, o czym pan nie ma pojęcia?

I Antek teraz mówić zaczął.

Treścią ich rozmowy były „dzieci ulicy”.

— Nie, proszę pana, my wcale nie jesteśmy źli ani głupi, tylko my mamy inną dobroć i inny rozum, bo wy uczycie się na książkach, a my zupełnie inaczej. Nas uczy, bo ja wiem kto...

— Życie, ludzie — rzekł Zarucki.

— No tak. Wy macie jednego nauczyciela, a my stu. At, co tu mówić. Ja panu tylko powiem, że wy wszyscy nic o nas nie wiecie i już.

Rozmowa trwała długo, a drzewo szumiało nagiętymi konarami.

— Jest u nas jeden żebrak i złodziej. Nazywamy go „chwatem”, chociaż już się teraz zapił. Ale kiedyś był okropnie silny. Cyrk płacił mu po 25 rubli, żeby się mocował z siłaczami i żeby się pozwał pokonać. A ogłoszenia były, że jak kto zwycięży siłacza, to dostanie 500 rubli. I on tak kilka razy pozwał się przewracać, ale mu się znudziło, to i sam raz przewrócił siłacza. Myśli pan, że wziął 500 rubli? „Nie, powiada, umowa była, że ja się mam dać pokonać; ja złamałem umowę i nic nie chcę”. Jeszcze przeprosił. A na

drugi dzień złapali go, bo kradł komuś zegarek. Albo są u nas „loniarze” — to tacy mali złodzieje. Taki złodziej skradnie coś, a jest jeden, który za opłatą oddaje. „Daj — mów — tyle i tyle, a rzecz będzie leżała tu i tu”. I nie było zdarzenia, żeby skłamał. Bo my, proszę pana, mamy honor.

Zarucki słuchał i czuł, że ten malec otwiera mu oczy na cały nieznan mu świat, że ani on, ani ci wszyscy pisarze, z dzieł których badał duszę „dzieci ulicy” — nie znali jej i stąd ten bezmiar błędów w postępowaniu z nimi, w działalności filantropijnej dla nich.

Antek mówił teraz, a oczy mu lśniły; czuł, że imponuje temu nieznanemu opiekunowi, że teraz on jest we władzy Antka, i to mu sprawiało niewysłowione zadowolenie.

— My potrafimy być i dobrzy, i grzeczni, ale z nami trzeba delikatnie, bo my umiemy bronić swego honoru. Żeby kto był nie wiem jak pijany i zły, to jak go kto potrąci wypadkiem<sup>23</sup> i przeprosi, to on mu nic nie powie, ale niech go nie przeprosi, to bieda mu. My nie każdego okradamy. Jest u nas jeden doktor, to wcale drzwi nie zamyka od swego mieszkania, a niechby mu kto co ruszył, no, to już byśmy wiedzieli, co takiemu zrobić. Bo ten doktor jest dla nas dobry i zna nas, że my ani tacy źli, ani tacy głupi, jak wam się zdaje. A jak kto chce być dla nas dobrym, a nie zna nas, to my go *ocwanimy*, oszukamy. Ja wiem, że Mańce pana obrazki się podobały i teraz pewnie beczy, i będzie się uczyła, i będzie dobra, ale ja wiem, że te obrazki to głupstwo i kłamstwo. Pan myśli, że jak ta żebraczka upije się i tańczy, i mówi różne słowa, to ona jest wesoła. A jakże, wesoła. Ona wie, że było jej kiedyś lepiej, a teraz jej źle i że musi umrzeć niedługo, to ona naumyślnie śpiewa i tańczy, żeby kto się nie domyślił, że jej jest źle. Bo niehonorowo jest u nas martwić się i już. Bo po co kto ma wiedzieć, że mnie jest źle?... No, ale ja tu gadam, a trzeba iść.

— Zostań Antoś, choć czytać się nauczysz.

— A na co mi czytanie? Jak ja się będę uczył, to ktoś będzie mnie uczył, a ja nie chcę, żeby mnie kto uczył; bo ja chcę być zawsze nauczycielem. My strasznie dumni jesteśmy, proszę pana.

— A po co żebrzecie?

— My nie żebrzemy, proszę pana, my tylko oszukujemy. Jak ja panu mówię prawdę i pan mi da dziesiątkę, to to jest żebranina, ale jak ja panu nakłamię i pan mi co da, to to jest tylko „naciągnięcie”, a nie żebranie. A jak ja od swojego co dostanę, to to jest przyszługa. Widzi pan?...

Antek śmiał się, widząc zdziwienie Zaruckiego.

— My dumni jesteśmy...

— I skryci — dodał w zadumie hrabia.

— A tak. Jest u nas śmieciarka. Jak jej się powie „panna Zosia” — to kamieniami rzuca. My ją zawsze tak gniewamy, bo to okropnie śmieszna baba. Każe się nazywać „pani Michałowa”; taka ona pani Michałowa, jak ja pan Michał. I ona dumna ze swego śmieciarstwa. Ja wiem, że wy tego nie rozumiecie, bo wy zawsze się przed kimś kłaniacie, a my nie. A wie pan dlaczego? Bo wy boicie się, żeby nie być biednymi, a my się nędzy nie boimy wcale... No, ja idę...

— Chodź na chwilę, oddamy ci twoje papiery.

— Nie, ja tu zaczekam — opierał się Antek. — Niech mi pan odda moje ubranie, a ja panu oddam pana ubranie.

— Nie. Antoś, weź je sobie.

— Nie chcę.

— Przecież chciałeś w nim wyjść.

— To co innego: jakbym uciekł, toby znaczyło, że ukradłem, a nie dostałem z łaski.

— Proszę cię, weź to ubranie jako zapłatę, żeś mnie tylu rzeczy nowych nauczył.

— A tak, to co innego.

Hrabia wrócił do pałacu, po kwadransie wyszedł z siwym sługą niosącym kuferek.

— Masz tam trochę rzeczy i książki. Daj mi słowo, że nie sprzedasz tych książek.

— Daję słowo.

— A tu masz pieniądze na drogę.

Antek podał mu rękę, hrabia pocałował go w czoło.

<sup>23</sup>wypadkiem — dziś: przypadkiem. [przypis edytorski]

— A jak ci tam źle będzie, wracaj do nas.  
— A pan niech weźmie Jędrka Marcinowego na moje miejsce.

Antek dał mu adres chłopca.

— Nie pożegnasz się z Mańką?

— E, nie potrzeba.

Otworzyła się żelazna brama. Przeszli przez aleję lipową, przez drogę, przez most, do wsi, zaszli do mieszkania rządcy.

— Hrabia prosi o bryczkę i konie.

W kwadrans później Antek jechał w stronę stacji z papierosem, który wziął od parobka. Puszczal kłęby dymu w sam nos staremu Grzegorzowi i gwizdał jakąś piosnkę wesołą.

Od rana wiedział, że uda mu się dzień dzisiejszy. „Nabrał”, stanowczo nabrał hrabię; dostał piętnaście rubli i ten kuferek. Pewnie mu tam nakładli sporo różnych rzeczy.

Do Warszawy wraca, do miasta — no, naopowiada niestworzonych bajek o swojej podróży.

Ciekawa rzecz, jak go tam przyjmą, co powiedzą, co ojciec zrobił z pieniędzmi, czy rozeszła się wieść o jego niezwykłym wyjeździe.

Antek śpiewał coraz weselej.

— O której odchodzi pociąg?

— Poczekasz do odejścia z pół godziny.

Ot, już wieś mijają, już wzgórza, już drugą, trzecią wieś, już las, już drogę, która prowadzi do stacji. Widać plant kolei.

A oto i stacja.

Grzegorz kazał dać dwie szklanki herbaty.

— A *haraku*?

— Dobrze.

— Ja zapłacę.

— Nie potrzeba.

— A pan nie pije?

— Nie.

Wypili, zakąsili.

Już Antek ma bilet. Już pociąg nadjechał.

— No, do widzenia. Niech pan podziękuje temu panu. Co on za jeden?

— Hrabia.

— Hrabia? — dziwi się Antek.

Pociąg rusza.

Antek siedzi w pustym prawie przedziale trzeciej klasy. Jakiś chłop leży na ławce i chrapie, dwóch Żydów półgłosem szwargocze, jakaś kobieta śpi z dzieckiem na ręku.

Antek wyszedł na platformę.

I nagle dwie łzy zabłyśły mu w oczach, rosły, napływały, aż stoczyły się po policzkach. „Nabrał” i hrabiego, i Grzegorza: skrył, że ciągnie go coś do nich, że pragnąłby ucałować rękę przygodnego opiekuna, że pragnąłby, gdy tak siedział na kolanach, rzucić się na szyję i zapłakać. Skrył, że pragnął całą duszą zostać tam u nich. Skrył to wszystko, ale teraz już może sobie płakać do woli: nikt go nie podpatruje.

Antek drzemał trochę, myślał trochę, znów drzemał, aż zasnął na dobre.

Dwa razy budzono go, pokazywał bilet.

Raz wyszedł i kupił sobie buteleczkę wódki. Omal się nie spóźnił.

Pociągnął dwa łyki i wesoło mu się zrobiło.

Jest wolny, zupełnie wolny.

Nie wie sam jeszcze, co zrobi ze swą swobodą, ale czuje, że jest mu dobrze.

Zasnął.

Obudził się.

— Warszawa!



## VI. STYPA

W pobliżu stacji, w jednym z domów, obowiązki stróża pełnił pan Wojciech. Pan Wojciech przed dziewięcioma laty przywędrował był z trojgiem dzieci ze wsi, dziś ma już ich sześcioro. Najstarszy Bartek wałęsał się razem z Antkiem po ulicach, był nawet przez czas pewien jego przyjacielem, potem chłopcy zerwali stosunki, pokłóciwszy się przy podziale jabłek skradzionych z galarów<sup>24</sup>.

Teraz Antek, któremu ciążył kuferek, przypomniał sobie Wojciecha i postanowił u niego złożyć swój bagaż.

— Dzień dobry panu Wojciechowi.

— A dzień dobry. A skąd to Antek?

— Ze wsi.

— Ze wsi? — Stróż oparł miotłę o ziemię, długo patrzył na Antka podejrzliwie i znów przeciągle zapytał: — Ze wsi?

Spojrzał na kuferek, na porządne ubranie Antka i pokiwał głową.

— Ej, chłopcze, szkoda mi ciebie, zupełnie duszę zgubisz.

— Co pan tam wie. Niech idzie do izby.

W małej izdebce, mieszczącej się w drewnianej przybudówce, mieszkał pan Wojciech z rodziną, kąt jeden odnajmował bratankowi — razem dziewięć osób, o ile i starsze dzieci nocowały w domu, co się jednakże dość rzadko trafiało.

— Napijemy się? — zapytał Antek.

— Dlaczego nie?

Chłopak wyjął z kieszeni kupioną w drodze butelkę i rzekłszy: „Daj nam Boże!” wypił do Wojciecha, potem dał jednemu z siedzących pod piecem malców złotówkę i kazał kupić bułek i salcesonu. A trzeba wiedzieć, że wśród mieszkańców Powiśla nie gospodarz, lecz gość częstuje; jest to zupełnie zrozumiałe: gospodarz często nie ma wcale pieniędzy, nie ma nic do zastawienia lub sprzedania, a na kredyt nie zawsze dadzą i kredyt często bywa wyczerpany we wszystkich pobliskich sklepach i sklepikach.

Antek w kilku słowach opowiedział swoje przygody, do których dodał wiele efektywnych szczegółów, zostawił swój pakunek, którego zawartości nie znał nawet.

Ciągnęła go do miasta, do ulicy, jakaś wielka siła, której musiał ulec.

— Do widzenia, panie Wojciechu — zawołał i nie odpowiadając na pytanie: „A jakże tam na wsi teraz?” — wybiegł z izdebki na plac, przez skwer, na ulicę, na most i na Zjazd, gwizdząc sobie melodię do słów popularnej piosenki:

Miałam ja miłego,  
Miałam kochanego,  
Posłałam go na *buchandę*<sup>25</sup>,  
*Zajuchcili*<sup>26</sup> mi go.  
*Zajuchcili* mi go  
Na zielonej łące,  
*Manelki*<sup>27</sup> wsadzili  
Na nogi i ręce.

Antek rozejrzał się po mieście jak wódz, który przybył na plac boju. Wydawało mu się koniecznie, że Warszawa przez dwa dni jego nieobecności musiała się zmienić zupełnie.

Biegł bez celu po ulicach, zakręcał parę razy w stronę Wisły, ale się cofał.

— A może pójść do ojca?... E, mam jeszcze czas.

Nie ułożył sobie plan działania; chciał przede wszystkim spotkać kogoś, poradzić się, pogadać i... pochwalić.

Wojciech mu nie wystarczał.

„Co tam taki chłop zwyczajny wie? Nie warto gęby drzeć na próżno. O, Felek, to zupełnie co innego” — pomyślał nagle.

<sup>24</sup>*galar* — statek wiosłowy używany do przewozu towarów w dół rzeki. [przypis edytorski]

<sup>25</sup>*buchanda* (gw.) — kradzież. [przypis edytorski]

<sup>26</sup>*zajuchcić* (gw.) — zarznąć. [przypis edytorski]

<sup>27</sup>*manelki* (gw.) — kajdanki. [przypis edytorski]

Felek był bardzo znaną, wydatną, poważaną postacią. Dziad i ojciec jego byli szewcami, on „wisielec” nie miał ochoty do ojcowego fachu. Bili go, bili i ojciec, i matka, ale nic nie wybili z niego. Felek krzyczał, darł się i znów uciekał z domu przy lada sposobności, wlokąc swoją suchą nogę za sobą. Wreszcie dano mu spokój. Suchy Felek stał się przewodnikiem czeredy „dzieci ulicy”; on to wymyślił najweselsze „kawały”, on miał najlepsze gołębie, takie „pocztówki”, że dość je było „podpuścić” w porę, a z pewnością przyprowadziły do gołębnika „obcego”. „Obcego” niosło się na targ i sprzedawało. Felek miewał z gołębi po trzy ruble tygodniowo, Co mu tam ojciec i matka, pocięgiel<sup>28</sup> i kopyto<sup>29</sup>?

Jak się Suchy Felek nauczył czytać i pisać, tego ani on, ani nikt nie wiedział, dość, że jako dwudziestoletni chłopak zarabiał pisaniem prośb i podań do sądów i do urzędów. W dwa lata później Suchy Felek stracił ojca, sprzedał warsztat, przepił pieniądze z kolegami i złamał drugą zdrową nogę, spadłszy z dachu, gdy wykradał gołębie z cudzego gołębnika.

I znów kronika milczy o tym, w jaki sposób Felek stał się właścicielem krypy. Na czołmie miał Felek swój domek „ciasny, ale własny”. Gdy okulał, nic mu było po gołębiach, a że chodzić nie mógł teraz wcale, chyba na kulach, i to z trudnością, więc choć na swoim pływającym mieszkaniu włączył się po Wiśle, przystawał co kilka dni do innego brzegu, ale miasta nie opuszczał. Zimą spędzał w lasze na Pradze.

Popularność Suchego Felka rosła; gdy tylko przystawał, znoszono mu listy do czytania, prośby do pisania, udawano się po radę w każdej ważnej sprawie. Różnie mówiono o nim; podobno on to w swoim czasie wypowiedział owo znakomite zdanie, że „granda bez klawisznika udać się nie może”. (Zmuszony jestem dodać, że granda — znaczy większa wyprawa złodziejska, a klawisznik — wytrych). Jedno było wiadomo: że Suchy Felek raz tylko odsiadywał koźę i to w odległej młodości.

W tej epoce, kiedy wybierał się do Suchego Felka nasz Antek, mieszkaniec krypy stał u szczytu sławy.

Antek zbiegł przez Księżęcą i po półgodzinnej wycieczce znalazł się na krypie Felka, zamienionej w tej chwili na przybytek wiedzy. Felek był nauczycielem doskonałym, miał on taką jakąś książkę, na której mógł malca nauczyć czytać i pisać w ciągu jednego okresu od „puszczenia” Wisły na wiosnę do jej zamarznięcia późną zimą.

W tej chwili było u niego pięcioro „robactwa”, a między nimi i Jędręk stróża.

— Mówię wam, zatracone obwisie — wykladał, stojąc oparty na swoich dwóch kulach — że bez nauki człowiek jest bydlę. A nauka to nie taka trudna rzecz, jak wam się zdaje, tylko potrzeba do niej mieć głowę, rozum i ochotę. Ja widzicie, do uczoności swojej nic więcej, smarkacze, nie miałem, nic tylko głowę, oczy, dziesięć palców i suchą nogę.

Suchy Felek mówił głosem podniesionym, a w jego czarnych oczach paliły się błyskawice natchnienia.

— Wy osły jesteście i będziecie takie same osły i nieuki jak wasi rodzice. No Kusy czytaj dalej.

Kusy, zupełny sierota, był wychowawcą Felka. Złośliwi twierdzili, że sympatia suchego do kusego potęgowała się tym, iż kusy miał jedną nogę krótszą od drugiej.

— Kulas kocha kulasa, bo oba kulasy — ośmielił się powiedzieć raz Andrzej w obecności Suchego... i źle wyszedł na tym, bo dostał kulę w twarz i trzy zęby postradał. Odtąd każdy gotów był dowodzić Felkowi pod słowem „honorowym”, że to oni dwaj właśnie są prości, a cały świat kulawy.

— Ja chodzę na czterech nogach, a jestem człowiek — dowodził Felek w przystępie dobrego humoru — a wy chodzicie na dwóch, a jesteście bydlęta.

Co jeszcze było najciekawszego w postaci Suchego to to, że nie pił wódki wcale i nie nawidził pijaków.

— Dzień dobry panu Feliksowi — rzekł, wchodząc, Antek.

— „Niech będzie pochwalony”, mówi się, szczeniaku, a nie „dzień dobry”. Kiedy ja ciebie nauczę rozumu?

Od dwóch tygodni Felek, po przeczytaniu jakiejś książki o nawróconym grzeszniku, stał się bardzo religijny.

<sup>28</sup>pocięgiel — pasek rzemienny do przytrzymywania przez szewca robionego buta nogą. [przypis edytorski]

<sup>29</sup>kopyto — drewniana forma, na której szewc robi buty. [przypis edytorski]

— Żeby pan Feliks wiedział, co ja panu powiem...

— Wiem już, wiem doskonale. Cóż ty, durniu, myślisz, że ja nie wiem?

— A co pan Feliks wie?

— Ano, zabrali was z Mańką na pański chleb.

— A wie pan, kto zabrał nas? A hrabia, widzi pan Feliks.

— A wiadoma rzecz, że hrabia.

— I zawiózł nas na wieś!

— A rozumie się, że na wieś.

— A skąd pan Feliks wie o tym?

— Jak się nauczysz tyle, co ja, to będziesz wiedział, skąd ja wiem.

— No, to niech pan powie, skąd ja się tu znów wziąłem, kiedy pan taki mądry?

Antka gniewała pewnością Felka.

— Uciekłeś.

Antek się zdumiał.

— Uciekłeś i dobrze zrobiliś, żeś uciekł. Tak, to może wyrośniesz jeszcze na uczciwego człowieka, a tam to by cię zmarnowali. O, już cię w garnitur pański wystroili. Oni tylko to umieją. Et... Kusy, przynieś no drzewa do pieca.

„Przynieś drzewa” — nie znaczyło wcale w języku Felka: „kup”, tylko „rób, co chcesz, wyrwij z płota, znajdź, ukradnij, tylko przynieś, ba dam w skórę”.

Kusy wyszedł.

— Jak pan Felek...

— Feliks, ośle.

— Jak pan Feliks chce, to mu mogę podarować to ubranie.

— Ano dawaj, ja ci znajdę lepsze i porządniejsze.

Antkowi ciążyły te nowe buciki i całe, niepodarte ubranie.

Pan Feliks pokulał w stronę kufra, grzebał, szukał, poszedł do „spiżarni” za przepie-  
rzeniem i znalazł tam wszystko, czego było potrzeba. Antek się przebrał. Famaniosła, że pan Feliks miał składy rozmaitej odzieży, były tam nawet sztuczne brody i wąsy, peruki i inne przybory służące do charakteryzacji, stosownie do potrzeb.

— A nie wie pan, co u ojca słychać?

— Ma pieniądze, więc pije, wiadoma rzecz. Będzie pił, aż zdechnie bestia pod płotem.

Suchy Felek począł kłąć, rozgniewał się i na Antka, omal go nie wyrzucił, wreszcie stłumił gniew w sobie i zaczął naukę dalej.

— Ej, Józiek, nie śpij, gawronie, czytaj. Czytaj, słyszysz, co? — A ty połóż się i śpij — zwrócił się do Antka.

Antek powalił się na tapczan i słyszał dwa głosy: jeden głos mówił mu o „dzieciach ulicy”, drugi był głosem Felka.

Jeden głos mówił:

— Tam są dzieci, które mogłyby być chlubą narodu.

Drugi głos mówił:

— Ja do swojej uczoności nic więcej nie miałem, tylko głowę, oczy, dziesięć palców i suchą nogę.

I Antek nie mógł zasnąć.

— Wy myślicie pewnie — prawil Felek, oparty na swoich dwóch kulach — że ludzie od Adama i Ewy już umieli czytać i pisać. A jakże. Dużo się oni napracowali, nim wymyślili te znaczki, których was ucze. Tak samo i Kopernik nie od razu wymyślił sobie, że Ziemia kręci się koło Słońca, i Kolumb nie od razu odkrył Amerykę. Bo wam się, obwie-  
sie, zdaje, że oprócz Wisły i Warszawy nie ma nic. Bo wy nie wiecie, że Wisła płynie od Gór Karpackich aż do Bałtyckiego Morza, a takich miast jak Warszawa, to są na świecie miliony i miliony. W tych miastach mieszkają nie tylko tacy ludzie, jak my, ale i czar-  
ni ludzie, zupełnie jak kominiarze. Żeby się taki człowiek nie wiem jak mył, to zawsze będzie czarny, bo on jest Murzyn. Więc tych Murzynów Angliki zabijali i z tych skór robili buty sobie, bo oni nie mają lasów ani zwierząt. Dopiero jak Napoleon powiedział, że nie wolno z Murzynów robić butów, to musieli przestać.

Jędrzek patrzył na Suchego Felka z takim uwielbieniem, że z twarzy jego można było wyczytać łącno, iż zapomniał o biciu, które go w domu czekało za „włóczenie się licha wie gdzie”, zamiast pomagania ojcu w sprzątaniu ulicy.

— No, Jędreku, czytaj, tylko powoli, nie śpiesz się.

Antek nie mógł zasnąć.

Suchy Felek począł się niecierpliwić, bo ogień dogasał na żelaznym piecyku i na krypie zimno być zaczęło. Ale Kusy przybiegł wreszcie czerwony i zdyszany.

— Czegoś tak długo siedział?

— A bo nijak nie mogłem *zwędzić*.

I wiązka drzewa znalazła się w piecyku.

Antek począł gwizdać przez zęby.

— No, wynoście się, dzieci.

— Proszę ojca — zaczął Kusy — mularz Franek umarł dziś w nocy.

— Wiedziałem, że umrze. Zapił się.

— A jakże. Założyli się ze Szczepanem, kto wypije więcej. Wie ojciec, u blacharzowej wczoraj. Franek wypił sztof<sup>30</sup> spirytusu i od razu go powaliło. Nawet do domu nie doszedł.

— Sztof nie sztof, a dobrze mu tak, świni. Świeć Panie nad jego duszą. Tam dwoje małych zostało: Olka możesz mi tu przyprowadzić. Chociaż to z takim berbeciem trudno będzie. A co tam. Chyba że go Walenty może weźnie.

Suchy Felek zaczął skrobać kartofle.

— Ale... — ciągnął Kusy — słomiankarza Wacka przysądzili za ten groch na dwa tygodnie.

— A głupi, mówiłem mu, żeby *zablatował*<sup>31</sup> świadka.

Antek wstał z tapczana.

— Nie śpisz?

— A nie.

— Słyszalesz?

— Słyszałem.

— Wiesz teraz, co robi twój ojciec?

— Wiem.

— I ty będziesz taki?

— Jak zechcę, to będę.

— Hardy jesteś.

— Jak mi się podoba.

— To się wynoś.

— A idę.

— Na złamanie karku.

Szczepan to ojciec Antka. Tak, ojciec jego założył się z mularzem Frankiem o to, kto więcej wódki wypije. Franek umarł, bo go spirytus powalił, a ojciec jego żyje. Co może kulasa obchodzić, że jego ojciec założył się z Frankiem? Franek mógł się nie zakładać, kiedy nie umie pić.

Na brzegu Wisły ładują berlinki<sup>32</sup>. Robota wre. Dziesiątki ludzi uwija się z taczkami po deskach zarzuconych na brzegu. Jest to ostatni tegoroczny transport. Dalej znaczą się dwie góry piasku. Furmanki zmieniają się, ludzie o czarnych twarzach miarowo unoszą łopaty, sypie się na wozy piasek. Niezadługo Wisła pokryje się lodem. Zamiast piasku, lód wozić będą. Potem znów piasek.

Antek siada na belce.

Dzieci uwijają się wśród desek, zbierają skrawki, szczapki mniejsze, do koszyków. Antek zna niektóre z nich. Ot, tam Pietrek, Władek, Monika, Kasia, Józiek, Zosia — reszta nie wie, co za jedne. A moc ich wielka: roją się jak mrówki.

Wśród nawoływań słychać przekleństwa i bluźnierstwa. Ot pracują ludzie, a wśród pracy trzeba coś „mocnego” powiedzieć czasem na rozgrzewkę.

Antek słyszy dwa głosy jakiegoś, zły jest na ojca, na kulasa, na tego tam hrabiego, na Mańkę, na panią, co te obrazy pokazywała na płótnie.

Franek umarł. Od Franka odnajmuje „kąt” Józiek Bzik. Z Bzikiem dawno się już nie widział. Trzeba pójść. Chyba u Bzika przenocuje albo w „hotelu”.

<sup>30</sup>sztof (ros.) — miara płynów, butelka o pojemności 1 l. [przypis edytorski]

<sup>31</sup>zablatować — przekupić. [przypis autorski]

<sup>32</sup>berlinka — wąska łódka, wiślany statek splawowy. [przypis edytorski]

Trzy „hotele” cieszyły się wówczas sławą i wzięciem. Jeden „Europejski” w kanale, który wychodził do parku praskiego, drugi „W rurach” w alei Agrykola, w prawdziwych rurach kanalizacyjnych; trzeci „Karpacki” w piwnicach, znajdujących się poza Szpitalem Ujazdowskim. Poza tym były sławne piece cegielni, ale te dobre były tylko w zimie, podczas silnych mrozów.

Do ojca nie pójdzie, chciał u Suchego Felka nocować, ale kiedy on wymyśla na jego ojca...

Antek skierował się w stronę mieszkania zmarłego Franka.

Od ulicy ciągnie się biały parkan, za parkanem olbrzymie podwórze, po prawej stronie zabudowania drewniane, po lewej stajnie dorożkarskie, a w głębi na końcu podwórza oficyna dwupiętrowa.

Antek zmierzał w stronę oficyny.

Na podwórzu bawiły się dzieci w konie, w guziki, w cyrk, w klipę<sup>33</sup> i w złodziei.

Antek wszedł do sieni, spuścił się do suteryny<sup>34</sup> i drzwi pchnął przed siebie.

Na środku ciemnej izby oparte o dwa krzesła leżały drzwi, przykryte białym prześcieradłem, na prześcieradle leżał umarły, obok paliła się świeca. W stancji nie było nikogo.

Franek mularz, ubrany w surdut ceglatego koloru, w pantoflach, z szyją obwiązaną szalem czerwonym, leżał spokojnie, tak spokojnie, jak gdyby nigdy w życiu nie robił awantur, jak gdyby nie zabił uderzeniem w brzuch jednej ze swoich trzech żon, jak gdyby nie *zaszlachtował* był raz człowieka, jak gdyby nie kradł, nie bił się nigdy na pięści, jak gdyby nie rozrabiwał gliny, nie woził cegieł, nie budował domów, jak gdyby nie spadał dwa razy, raz z wysokości drugiego piętra, co to cztery miesiące leżał w szpitalu, jak gdyby nie zapił się wreszcie na śmierć, nie osierocił dwojga dzieci ze swego trzeciego małżeństwa.

Antek patrzył na twarz Franka i przypomniał sobie jedną z postaci, którą widział tam, na płótnie w Zaruczaju. Westchnął.

Długo patrzył Antek wielkimi oczyma na tego trupa i myślał coś, i czuł coś, i sam nie wiedział, co czuł i co myślał.

Splunął, skrzywił usta do uśmiechu i rzekł:

— Cóż, panie Franku, po wódce należy ci się teraz zakąska... z ziemi.

Dziecię ulicy umiało myśleć i czuć po człowieczemu, ale myśli swych i uczuć ludzkich nie umiało, a może *wstydzilo się* przelać w słowa.

W czapce na głowie, z papierosem w ustach, wszedł Bzik.

— Olaboga, Antek, a ty skąd? Drapnąłeś?

— Juści.

— Widzisz tego błazna. Ładny, co? Szkoda go, *cwaniak* był. Już tak nam nikt na harmonii grać nie będzie, co?

— A chyba.

— Mańka została tam?

— A tak.

— Gadajże, jak to było. Masz dula<sup>35</sup>.

Usiedli na łóżku i Antek począł prawić:

— Powiadam ci, co ten hycel miał złota. Takie ci beczki stały...

— Wiadoma rzecz.

— Powiadam ci, cała piwnica ci była ze srebrem i papierami.

— A przywiozłeś co?

— Piętnaście blatów.

— Pokaż.

— A patrz.

— O, jak matkę kocham. A nie mogłeś więcej wziąć?

— A jakże: wilki ci takie stały przy piwnicy i wojska tyle aż strach.

Józiek wiedział, że go Antek „nabiera”, ale jemu nie szło o prawdę, chciał posłuchać ciekawej historii, nic więcej. Antek mu ją opowiadał. Bzik wiedział przecież, że prawdy się nie dowie nigdy.

— Słuchaj, gdzie się tu wszyscy porozłazili?

<sup>33</sup>*klipa* — zabawa dziecięca polegająca na odbijaniu kijkiem rzucanego drewnienka. [przypis edytorski]

<sup>34</sup>*suteryna, suterena* — część budynku znajdująca się pod parterem. [przypis edytorski]

<sup>35</sup>*dul* — papieros. [przypis autorski]

— A boją się i są u sąsiadów różnych. Tylko ja tu nocuję. Chcesz zostać ze mną?

— Dlaczego nie?

I rozmawiali chłopcy o wielu rzeczach ciekawych, i zjadali kiełbasę, i zapijali wódką, i palili papierosy, aż się spać pokładli.

A Franek mularz leżał tak spokojnie, jak gdyby nie miał tylu przyjaciół, z którymi razem pracował i przepijał pieniądze, jak gdyby to nie on, a ktoś inny najlepiej grał na harmonii.

Ot, życie.

Chłopcy spali. Świeca się paliła.

Nazajutrz zaczęto myśleć o pogrzebie. Trzy rodziny trzech zmarłych żon zeszły się na obrady i postanowiły uczcić zmarłego. Znalazła się wreszcie trumna, znalazł się akt zejścia, zajęchał karawan, a że dzień był niedzielny i słoneczny, więc za trumną szło wiele ludzi, szedł i Antek z Bzikim, szedł pięcioletni Olek i ośmioletnia Wikta, a malców po głowinach sierocych głaskano.

Po pogrzebie, jak należy, urządzono stypę i to nie w szynku, ale w mieszkaniu zmarłego, w suterynie jego na Powiślu.

Zapalono dwie świece, postawiono kwartę wódki i wspomniano zmarłego.

— Ot, szkoda człowieka.

— Pewnie, że szkoda.

— Masz Olek, masz Wikta, napijcie się po kropelce, sieroty.

Ten i ów lzę otarł rękawem, ta i owa fartuchem nos wytarła, a że rozczulać się na sucho nie wypada, więc świeża się wódka zjawiała.

— Będzie nieboszczykowi, świeć Panie nad jego duszą, przyjemniej, gdy zobaczy, że go przy wódce wspominamy.

— A patrzcie no, tydzień temu... kto by to pomyślał.

Zeszło się jeszcze kilku sąsiadów. Nowy gość stawiał nową kwaterekę. Zaciemniły się okna, zarosiły szyby, gorąco się w izbie zrobiło od papierosów i oddechów ludzi, od wódki i lęz, ale i weselej trochę.

— Ot, harmonia ostała, może by zagrać.

— Daj spokój, sąsiedzi będą się gniewali.

— A niech ich. A co komu do tego?

Jeszcze kilka szklaneczek, jeszcze kilka dowcipów i żartów, i rozpoczęła się gra, później i tańce.

Trzy rodziny trzech zmarłych żon nieboszczyka postanowiły uczcić Franka mularza.

Już niejeden przedmiot poszedł do fanciesiarza, niejedna powędrowała tam chustka, surdut, palto.

Bzik wziął harmonię i zagrał, zrazu smutnie, potem weselej. Koło niego ugrupowały się dzieci. Olek i Wikta siedzieli na kufrze, zagryzali cukierki i przez mgłę dymu błyszczącymi od wódki oczami patrzeli. Olek miał lat cztery, Wikta — ośm<sup>36</sup>.

Zaczęły się tańce, zrazu nieśmiałe, potem głośniejsze. Gości przybywało. Zaludniła się sień suteryny. Po ścianach spływały krople wody. Świece ciemno się paliły. Harmonia jęczała coraz głośniej, okrzyki pijackie donośniej się rozlegały. Matki z dziećmi przy piersi karmiły je na przemian mlekiem i „grzanką” (wódką grzaną z miodem i cukrem). Płakały niektóre z dzieci.

Olek i Wikta siedzieli na kufrze, górowali nad czernią, która skakała, krzyczała, przeklinała albo chrapała na łózkach.

— Biedne sierotki — odezwie się która z kobiet i pocałuje dzieci w usta, i buchnie im w twarz spirytusem.

Olek ma lśniące, lżawe, fioletowe oczy; w oczach maluje się zdziwienie i obawa. Wzrok dziecka pyta: „Czy to jest życie?”, pierwszy odruch to budzącej się duszy. Tak: czteroletnie dziecko wzrokiem swym zadaje to pytanie, ustami nie wypowie go może nigdy.

Wikta już nie pyta, nie boi się. Śledzi ona oczami nie całość obrazu, ale pojedyncze jego szczegóły wpatruje się mocno w to, o co wzrokiem swym już nie pyta, tylko śledzi... nie boi się tego życia.

Bzik oddał harmonię, ręce mu zemdląły.

<sup>36</sup>ośm (daw.) — osiem. [przypis edytorski]

Wyszedł z Antkiem na podwórze.

Na niebie gwiazdy lśnią. Stajnie czernią się swym długim cielskiem, z dała parkan się bieli. Okno izby piwnicznej mdłym światłem się znaczy. Płyną tony harmonii niby wesołym dźwiękiem oberka, a jednak rozpaczliwie ponurym.

— Słuchaj, Bzik — zaczyna Antek po długiej chwili milczenia — oni są, mówię ci, straszne juchy.

— A tyś co myślał?

Rozmowa się przerywa.

— Słuchaj, Bzik, kręci mi się okropnie w głowie...

— A tyś co myślał?

Znów pauza.

— Słuchaj — zaczyna znów Antek z rozpaczliwym wysiłkiem — to chyba wszystko jest okropnie paskudne.

— Et, bzik, mówię ci. Chodź, bo zimno.

— Nie chcę wracać.

— A tobie co się stało?

— Powiedz mi... Albo wszystko jedno.

— A widzisz. Pamiętaj, co ci mówię. Wszystko jest bzik, i nic więcej. Czasem to i ja, widzisz, tak jakoś... ot... Ale mówię sobie: bzik wszystko, i koniec...

W suterynie rozległy się krzyki.

— Biją się! — zawołał Antek.

— Et, bzik.

— Chodź!

— A jakże.

Usiadł Józiek na schodku, spojrzal na niebo, raz jeszcze powtórzył: „wszystko bzik” i zasnął.

Antek chciał wbiec do izby, ale wypchnięto go z sieni.

W stancji szła bójka. Umilkła harmonia. Podłoga krwią się zabarwiła. Dzieci płakały, kobiety krzyczały.

Olek i Wikta siedzieli w rogu pokoju na kufrze i patrzeli. Oczy Olka wyrażały zdziwienie, Wikty — ciekawość.

Antek patrzył przez ramiona stojących bliżej na bójkę i pomyślał:

„Nie, nie bzik?”

Ale co to jest, nie wiedział.

## VII. JÓZIEK BZIK

Wojciech Mazur, jako stróż nocny, zajmował placówkę na ulicy Czerniakowskiej. O siłę jego dziwy sobie opowiadano, o przygodach, których doznał w swoich podróżach po wszystkich częściach świata, krążyły najrozmaitsze podania. A legendy mogły tym łatwiej rodzić się, rosnać i zmieniać, że Wojciech nic do nich nie dodawał i nigdy ich nie prostował.

Mieszkał w małym pokoiku na facyjacie ze swoją córką, a może i nie córką, bo będąc już bardzo niemłodym, przywiózł ją, dziewięcioletnią dziewczynkę, nie wiadomo skąd. Potem widywano go tylko, gdy chodził miarowym krokiem, głośno uderzając żelazną skuwką pałki o kamienie przez noc całą. W niedzielę chodził z dzieckiem do kościoła. Gdy mu się kto uklonił i on go pozdrowiał, ale z nikim w bliższe stosunki nie wchodził.

Dziewczynka rosła, Wojciech się nie starzał. Jego siwa broda posiwieć nie mogła, jego znużone oczy wyblaknąć już nie mogły, a na pomarszczonej twarzy żadna już nie zmieściłaby się zmarszczka.

Dziwnym szacunkiem otaczano postać starca i jego dziecko. Nie gniewało nikogo jego życie odosobnione, a milczenie jego nie zaostrzało niczyjej ciekawości. Gdy szedł przez ulicę, ustępowano mu z drogi, gdy schodził z kubelkiem po wodę, zawsze znalazł się ktoś przy studni, co chwycił za pompę. Nawet śmiechy swawolne i dowcipy pieprzne zastęgały na ustach, gdy zabieliła się w pobliżu śnieżna broda starca.

W rewirze jego nocnym nie spełniono ani jednej kradzieży, choć złodzieje, zda się, nie siły się jego obawiali, ale czego, któż zgadnie?

Dziewczynka rosła. Najbardziej głos jej rozlegał się na podwórzu wśród głosów robionej czeredy, a był tak dźwięczny, a śmiech tak srebrzysty, że gdy się rozdzwonił, dzieci nie śmiały wtórować jej śmiechem, jeno słuchały w milczeniu.

Miała włosy ciemne, jedwabne i jasne błękitne oczy, a patrzeć nimi umiała głęboko przez firankę rzęs długich. W ruchach jej była pewność i zwinność. Nikt jej w gonitwie nie mógł pochwycić, tak zręcznie wywinąć się umiała, a może i nikt jej nie śmiał nawet pochwycić brutalnie.

A późnym wieczorem w samotnej izdebce swojej, zamkniętej na klucz, śpiewała cza-sem, a wówczas ojciec przystawał przed domem i nieruchomo patrzył w okno swej facjatki i milkł na chwilę stuk żelaznej skuwki o kamienie.

Dziewczynka rosła i dzieckiem być przestała. Ojciec przynosił jej codziennie kilkadziesiąt tektur i worek guzików z masy perłowej, i zajęciem jej było naszywanie guzików na ciemne papierki. Dwanaście godzin pracy na dobę przynosiło, dwadzieścia kopiejek. Ale pracować mogła w domu, nie w fabryce, w towarzystwie tylu dziewcząt i chłopców, pod opieką podmajstrzych i majstrów.

Może obawiał się stary Wojciech tych towarzyszków i opiekunów dziewczyny fabrycznej.

I zdawać by się mogło, że w nędznej izbie pod dachem usłał starzec gniazdo bezpieczne dla siebie i córki. Okazało się jednak inaczej...

Józiek Bzik ujrzał świat w tym właśnie pokoiku chłodnym i wilgotnym.

Wojciech głośniejszym uderzał teraz o kamienie, ale wolniej chodził. Nie przybyła mu ani jedna zmarszczka na czole, bo miejsca już na zmarszczkę nie było. Ale skład ust zmienił mu się, rysunek warg się załamał i twarz jego stała się nie złą, nie zawziętą, ale mroczną.

W dwa miesiące po urodzeniu już Józiek był sierotą. I Wojciech Mazur nie oddał Józka „na mamki”, nawet mu tego nie chciano doradzać. Rano kupował mleko i niańczył malca, wieczorem kupował mleko, kładł butelkę w kieszeń futra, owijał Józka w chustkę, osłaniał kożuchem, na piersiach swych starczych robił mu kołyskę i chodził przez noc całą jak dawniej, tylko jeszcze wolniej i... ciszej teraz stukał łaską o kamienie.

Tak Józiek dorósł do roku. Nie zabijało go zimne powietrze nocne, nie osłabiło chłodne, oddechem tylko starca grzane mleko. Później, zamknięty na klucz w izdebce na facjacie, spał Józiek mocno przez noc całą. A Wojciech chodził i tylko raz po raz przystawał i spoglądał w okno i słuchał, czy głosu malca nie dosłyszysz.

Mógł Józiek sto razy zacząć się, spalić, spaść i zabić, mógł być stratowany przez konie, mógł wpaść do Wisły i utopić się, mógł zlecieć z dachu, wypaść przez okno, pokaleczyć się nożem, ale do lat pięciu raz tylko zwichnął nogę na lodzie, raz trafiony w głowę kamieniem, chorował przez tydzień, i raz tylko uciął sobie palec mały u lewej ręki, włożywszy ją w koło tokarni u sąsiada. Poza tym z pozostałymi dziewięcioma palcami i znakiem na głowie, gdzie na skaleczonym miejscu nie porosły już włosy, Józiek chował się zdrowo, bił o trzy lata starszych od siebie chłopaków, jadł wszystko, co mu wpadło w ręce: od surowych kartofli do bułek, których mu dziadek nie szczędził, a których liczbę powiększał sobie, nie przebiegając w środkach do ich zdobywania, ślizgał się po rynsztokach. A tak umiał czas sobie rozłożyć, że nigdy dziadek nie mógł się skarżyć na jego nieobecność, a tak umiał skryć to, czego wyświechtanie uważał za zbyt ciężkie, że trudno w nim było pochwycić to wszystko, co cechuje dziecko ulicy, jego charakter i czynności.

Pięcioletni Józiek oddany został do ochrony. Ciasno mu tam było i nudno, uciekał też nie raz i nie dwa razy. A gdy z wiosną słońce zajrzało po raz pierwszy do izby dusznej, zapchanej dziećmi, gdy rozległ się huk zwiastujący, że Wisła ruszyła, chłopiec w obecności opiekunki jakiejś, w koronkową suknię przybranej, zerwał się, pochwycił czapkę, umknął — i przez dwa dni dziadek nie mógł go znaleźć.

Został z ochrony wydany! Ale tym serdeczniej przywiązał się do Wisły. Ta rzeka wielka śpiewała mu jakąś pieśń, której nie zastąpi mu piszczenie gromady dzieci, ta rzeka szepce mu takie bajki, których nie równać z opowiadanymi monotonnym głosem powiastkami, ta rzeka daje mu takie obrazy, których barwy milej grają niż niezdarne, opstrzone przez muchy obrazki do nauki pogładowej. Ta rzeka jest *jego* rzeką, on może wejść w wodę po kolana, może w nią rzucać kamyki, a do tej pani z ochrony ani przystąpi, a uśmiech ma tylko wówczas na ustach, gdy ktoś odwiedza szkołę, jakaś pani w koronkowej sukni...



Kogo winić należy, że ochroniarka, obarczona własnymi dziećmi, z niewielką pensją, nie umiała rywalizować z Wisłą, nie umiała Józkiwi dać więcej, niż dawała mu rzeka i ulica? Natura to wielka mistrzyni, a dusza „dziecka natury i życia” to wielka dusza, zawiła, złożona, więc tylko ludzie wyjątkowi mogą z urokiem natury się zmierzyć i duszę jej dziecięcia przywiązać do siebie. Umiał uczynić to Pestalozzi<sup>37</sup> w Szwajcarii, Frobel<sup>38</sup> w Niemczech, pani Carpentier<sup>39</sup> w Paryżu i tak niewielu innych, że ze smutkiem w historii tych pojedynczych usiłowań się patrzy.

Sześć lat miał Józiek, gdy stracił dziadka. Zastał go Józiek raz nad wieczorem niezwy-  
wego.

Wielki był pogrzeb nie ceną karawanu lub trumny, lecz ilością zweszczeń i modlitw, które duszy starca towarzyszyły w drodze na Sąd Boży.

I Józiek został sierotą zupełnym. Na Czerniakowskiej inny stróż nocny wystukiwał swą łaską, facjatę zajęła inna rodzina, a Józiek znalazł przytułek na krypie Suchego Felka. Ale niedługo tam gościł. Jemu nie mieszkanie potrzebne było, a miasto całe. Sześcioletni chłopiec nie znosił opieki, nie znosił więzów. Ot, wiele mu było potrzeba? Kawalek miejsca, gdzie się prześpi, wszędzie znajdzie, a o jedzenie nie bardzo się frasował. Brakowało mu tylko harmonii i w zdobyciu cennego instrumentu los Józkiwi dopomógł.

Wybierali się złodzieje na „grandę”. Granda — to poważniejsza wyprawa złodziejska. „Nadaż”, szperacz, znalazł mieszkanie, którego rozkład znał dokładnie. Parter, oficyna, więc wstęp łatwy, państwo wyjechali na jakiś ślub, dom przechodni, na strychu jest doskonale schowanko, a na dach można się dostać łatwo, trzeba tylko wykroić kawał blachy, która i tak z jednej strony się oderwała. Robi tam ślusarz — Ignac. Trzeba wziąć jeszcze jednego „klawisznika” i „fratra”. Fratrem w języku złodziejskim nazywa się chłopiec mały, którego można wpuścić przez lufcik do mieszkania.

Nawinął się Józiek, zgoda stanęła. Józiek za pomoc miał dostać harmonię.

„Granda” się udała. Przylepiono kawałek papieru ze smołą do szyby, wykruszono szkło przy zasuwce, Józiek wszedł do mieszkania, otworzył drzwi frontowe, podług umowy, „wytyś”<sup>40</sup> przeprowadził go na strych, „pająk”<sup>41</sup> podsadził go na dach, stamtąd spuścił na parkan i Józiek puścił się pędem w stronę Wisły na umówione miejsce.

Granda się udała, bo ich nie spłoszono, ale się i nie udała, bo połów był dość marny: w biurku kilkanaście rubli zaledwie, w kredensie trochę srebra, na wieszadle futro, jeszcze jakieś dwa mało cenne pierścionki — nie było się czym dzielić. Ale Józiek, że dobrze się sprawił, dostał „na zachętę” tak pożądaną harmonię.

Gdyby teraz chciał ktoś oderwać Józka od ulicy, miałby do zwalczania jeszcze dwie wielkie siły, które go skuwały z tym życiem ulicznym: pociąg do przygód ciekawych podczas ciemnej nocy, gdy „łysy nie kapuje”<sup>42</sup>, wywijanie się „skielom”<sup>43</sup>, „śledziom”<sup>44</sup> i „burym”<sup>45</sup>, do tej solidarności, która każe cierpieć, a nie wydać, i miałby do zwalczania to uczucie, które go z harmonią jego łączyło.

Dlaczego go „Bzikem” nazwano? Bo sam on wyrazu tego często używał. Na pozór stosował swego „bzika” niezbyt fortunnie, ale gdyby kto pomyślał trochę, przekonałby się, że wyraz ów magiczne miał dla Józka znaczenie.

Gdy smutek go ogarniał, gdy jakieś myśli dręczące płątać mu się w głowie poczynały, gdy echo wspomnień niedawnych niosły Józkiwi jego modlitwy, które za dziadkiem po-

<sup>37</sup> *Pestalozzi, Johann Heinrich* (1746–1827) — szwajcarski pedagog i reformator edukacji, przedstawiciel romantyzmu, założyciel licznych instytucji edukacyjnych w Szwajcarii i autor licznych dzieł, w których wyłożył swoje przełomowe tezy na temat kształcenia. Za jego zasługę uznaje się niemal całkowitą likwidację analfabetyzmu w Szwajcarii w pierwszej poł. XIX w. [przypis edytorski]

<sup>38</sup> *Frobel, właśc. Friedrich Fröbel* (1782–1852) — twórca systemu pedagogicznego, podkreślał specyficzne potrzeby dziecka i postulował edukację przedszkolną przez zabawę, śpiew i taniec, opracował też projekty zabawek edukacyjnych. [przypis edytorski]

<sup>39</sup> *Pape-Carpantier, Maria* (1815–1878) — fr. działaczka wychowania przedszkolnego, założycielka szkoły dla pracowników ochronek, postulowała grupowanie dzieci według wieku. [przypis edytorski]

<sup>40</sup> *wytyś* — złodziej stojący na straży. [przypis autorski]

<sup>41</sup> *pająk* — specjalista od wykradania bielizny ze strychów. [przypis autorski]

<sup>42</sup> *łysy nie kapuje* (gw.) — bezkسیężycowa noc. [przypis edytorski]

<sup>43</sup> *skiel* — łapacz. [przypis edytorski]

<sup>44</sup> *śledź* (gw.) — śledczy. [przypis edytorski]

<sup>45</sup> *bury* (gw.) — rewiry. [przypis edytorski]

wtarzał, gdy, kto wie, może głos krwi szlacheckiej wołał o coś do Jóźka, on spluwał zawsze i mówił:

— Ot, bzik, wszystko bzik! — i zdanie to ulgę mu sprawiało.

Jak widać, charakter Antka dopełniał się przez Jóźka, to też zaprzyjaźnili się szczerze.

W przyjaźni „dzieci ulicy” mało jest sielankowej poezji, ale jest moc niepojęta, tragiczna. Przyjaźń nie polega na wspólnych długich rozmowach i marzeniach, oparta jest na wspólnym interesie, a cechują ją dwa rysy znamienne: równy podział pracy, równy podział zysków i jednakowa odpowiedzialność. Solidarność aż do zaparcia się siebie, aż do morderstwa jego wroga. Taki jest kodeks przyjaźni, uświęcony tam, nietykalny.

Zamieszkałi chłopcy razem z Bronkiem kelnerem i Andrzejem kucharzem, i dobrze im było we wspólnym pożyciu z tymi ludźmi, zepsutymi do najdrobniejszej cząstki swej duszy. Broniek miał lat dwadzieścia cztery i był w tym okresie, gdy przestawał już odczuwać choćby ułamek jakiś dumy osobistej; schylony w pół, „ujasniający” każdego, kto mu napiwek w rękę wsuwa, ocierając się wśród pijanych i używających, z uśmiechem wiecznym na twarzy, z ciągłym: „Słucham jasnie pana” — nosił jedno tylko uczucie. On chciał sam być kiedyś „jasnie panem”, tymczasem używać mógł tylko na swój sposób, zastępując uczty gabinetowe pijatykami, gdzie zwyczajna wódka mieszała się ze zlewkami kosztownych likierów ze stołu gości, a na talerzach leżały zakąski z kielbasy zwyczajnej i... pasztetów.

I kucharz nie ustępował ani trochę przyjacielowi w wartości moralnej. Starszy od Bronka, imponował mu cynizmem przechodzącym te granice, których Broniek nie śmiał jeszcze przekraczać.

Antek i Józek znaleźli sobie zajęcie. W dzień włóczyli się po ulicach. Celem wycieczek było chwywanie zbłąkanych psów lub wabienie głupich pinczerów i mopsów, by je potem zwracać za „sowitą nagrodę”. Broniek, jako czytający, przerzucał ogłoszenia w pismach i przynosił listę zgubionych i poszukiwanych psów wraz z adresami właścicieli.

Drugim zajęciem było oszukiwanie „litościwych osób”. Brało się koszyk, kładło się butelkę z wodą, szło się na ludną ulicę, tam koszyk wypadał, butelka się tłukła, woda wylewała; trzeba było krzyżeć i płakać.

Dochodziła „litościwa osoba”.

— Czego płaczesz?

— Majster posłał mnie po spirytus i wylało mi się. Będzie mnie bił; może mnie zabije nawet.

Płacz taki musiał przynieść pół rubla.

Szczególniej szczęściło się Antkowi.

A wieczorem wprowadzanie gości do cyrku, otrzymywanie dziesiątek, oszukiwanie czujności biletera i wkręcanie się na przedstawienie.

Nie dnie, ale miesiące trwało to samo.

Jedynym ciekawszym epizodem, jaki zanotować wypada z pierwszego półrocza samodzielnej „pracy” Antka, było jego zapoznanie się z malarzem.

Pan malarz był bardzo znany i bardzo utalentowany, a że twarz Antka doskonale się nadawała do obrazu, jaki zamierzał stworzyć, więc dał mu swą kartę wizytową i nazajutrz Antek znalazł się w jego pracowni.

Czterdzieści kopiejek za godzinę pobierał Antek-model, Antek-typ; a Antek-dziecko przyglądał się podczas tej godziny obrazom pana malarza. A obrazy w pracowni młodego artysty, szukającego nowych dróg w sztuce, bywają różnej treści, a towarzysze jego prowadzą różne rozmowy, malarz sam także rozmawia ze swoim modelem, z „piramidalnym” chłopcem, który „wygaduje takie komiczne rzeczy, że ze śmiechu się można pokładać”.

— Powiadam wam, że z tego smyka będzie albo wielki szubrawiec, albo wielki człowiek.

I artysta niczego nie zaniedbał, by zrobić z Antka właśnie wielkiego szubrawca. Czynił to prawie nieświadomie, by się rozerwać, by się pośmiać; wyciągał go na słowa i półsłówka, a potem opowiadał w gronie towarzyszków. I chłopiec, nie wiedząc nic o tym, bywał często bohaterem rozmów, prowadzonych w „artystycznej” knajpie.

I dziwić się tu, że malarz stał wyżej ponad duszę dziecka ulicy, że nie chciał widzieć w nim człowieka, a widział model tylko.

Przyjaźń

Honor

Dwa tygodnie trwały rozmowy i praca, gdy „licho skusiło” artystę, że zapytał, czy Antek umie czytać.

— Nie umiem — odpowiedział chłopiec.

— Wstydzilibyś się, taki duży chłopak.

Antek poczuł, że krew mu uderza do głowy, odczuł zniewagę, jaką mu wyrządzono, przeczuciem raczej zrozumiał, że ten człowiek mniej niż każdy inny, miał prawo moralizować go i tłumaczyć, co dla niego, Antka, jest wstydem, hańbą, co zaletą, obowiązkiem.

— To pan niech się wstydzi, że pan umie czytać — rzekł Antek, zrywając się z siedzenia.

— Siedź spokojnie, czegoś się zerwał?

— Bo nie chcę panu pozować.

Antek zrzucił ze siebie ubranie malarza, włożył swoje spodnie podarte i kurtkę, i nim artysta zdążył się opamiętać, Antka już w pokoju nie było.

— A jemu co się znów stało?

Antek biegł nad Wisłę. Czuł, że musi pożalić się przed kimś, że musi komuś się wypowiedzieć, bo go dusiło coś w piersi, darło się na kawały.

— Dureń, osio! — powtarzał przez zaciśnięte zęby.

Chłopiec w tornistrze z książkami szedł przez ulicę, i Antek go potrącił. Uczeń rzucił za nim słowo: „andrus”<sup>46</sup>. Dlaczego Antek nie „zamalował” go, dlaczego biegł coraz prędzej, dlaczego zatrzymał się nad rzeką, rzucił na belki i płakać począł?

Wybuchł w nim bunt na to, co go otaczało, co widział, słyszał, w czym żył. Gniew wstrząsał jego wątłą piersią, gniew, który objawiał się łkaniem i przekleństwami.

I ujrzał Antek wśród łez znaną mu postać, usłyszał głos łagodny, który nazywał go nie „Antek” ale miękko, śpiewnie „Antos”. I przestał chłopiec płakać, patrzył na Wisłę szeroką, śniegiem jeszcze przyprószoną, na słoneczne iskry, które grały w kryształach i cały wpatrzeniu zatonął.

„At, bzik” — pomyślał nagle.

Wstał i szedł ku domowi.

Czuł się samotny i bardzo nieszczęśliwy.

W pokoju nie było nikogo. Trzy łóżka brudne, podłoga, zarzucona pustymi butelkami i niedopałkami papierosów, na stole talerze ze skrzepłym mięsivem. Dwa psy skowytę go powitały.

Chłopiec położył się na łóżku, zapalił papieros i w obłokach dymu, który leniwie unosił się ku górze, widział inny pokój, widział Mańkę w czystej sukience z gładko zaczesanymi włosami.

I Antek przypomniał sobie Jędrka. Zbudziła się w nim gwałtowna ciekawość: czy ten hrabia wziął Jędrka do siebie?

Wstał z łóżka i powlókł się wolnym krokiem w stronę mieszkania Jędrkowego ojca.

Marcin był stróżem na Czerniakowskiej. Zajmował on z siedmiorgiem dzieci komórkę pod schodami. W lecie część rodziny sypiała na dworzu, w zimie tylko Marcinowa spała w bramie, na tapczanie. Kiedyś mąż Marcin w bramie sypiał, ale jak mu raz ból wszedł w kości, powykrecało mu nogi i ręce, że dwa miesiące jęczał w szpitalu, to doktor już nie pozwolił mu na chłodzie nocy spędzać.

Marcinowa błogosławieństwami powitała Antka, gdy go poznała w mgłę pary, która wydobywała się z balii z gorącą wodą.

— Oj, Antku, Antku, żeby ci Pan Jezus dał zdrowie, żeś ty nam Jędrka z karku zdjął.

— Więc był ten pan, wziął Jędrka? — zapytał Antek.

— Oj, był i wziął dwadzieścia pięć rubli dał staremu. Oj, stary wziął i kupił sobie zegarek. Oj, nie wariat to, zegarek sobie kupować? — prawiała płaczącym głosem Marcinowa.

— I wziął Jędrka ze wszystkim?

— Oj, ze wszystkim. A co gadał, co gadał. „Wy, powiada, źleście robili, żeście się chłopcu uczyć nie dali, żeście go bili”. Oj, jaki on, mój Antku, głupi. Jakże ja nie miałam Jędrka bić, kiedy mi się precz płał pod nogami i nudził o książkę i o kajety? Co innego pańskie dziecko, wiadoma rzecz, że musi się na książce uczyć, ale co mój Jędrak z nauką

<sup>46</sup>andrus (daw.) — łobuz. [przypis edytorski]

zrobi, co? Powiadam ci, z początku tom się okropnie złąkla, bo nie wiedziałam, co to jest. A jak zaczął gadać, to mi, powiadam ci, tak serce dygotało, że strach... Wacka! ej Wacka! Gdzieś tam wzięła? Chodź tu, kiedy wołam.

Z mgły pary, z kąta pod schodami, wysunęła się dziewczynka.

— Idź do ojca, powiedz, że Antek przyszedł. Niech wódki przyniesie. Prędeż, słyszysz?

Wacka w wilgotnej od pary sukieneczynie, z kroplami wody na czole i skroniach, z wyblakłymi niebieskimi oczami, cicha, lękliwa, wyszła, kaszląc, z izby przez drzwi otwarte.

— Ja nijak nie mogłam wymiarkować — ciągnęła Marcinowa — co on chce. Bo żeby to Jędrak był bardzo ładny, a to inna rzecz. Ale cóż to takie zdechlakowate, mizerne... Dopiero, jak on mi powiada: „Tak i tak, Antek powiedział, że on się chce uczyć, a wy go bijecie”, tak dopiero coś niecoś zmiarkowałam. I myślałam, że to od policji, że to takie wyszło prawo, że nie wolno bić za uczenie, albo co. No, to dopiero mi zaczął tłumaczyć, że nie o mnie chodzi, tylko o Jędrka. Ja myślałam jeszcze, że on się tak zlitował nade mną, bom go całowała i po rękach, i po nogach. Na koniec on się rozgniewał, bo mu ciągle przeszkadzałam mówić. Dopiero potem wytłumaczył, że chce Jędrka wyuczyć. Wołałabym do rzemiosła go oddać, ale co tam. Niech sobie już będzie, jak chce. Był jedna gęba mniej.

Z głębi izby, spod schodów, rozległ się płacz.

— Ot, widzisz, Antek, co to jest. Oj! Jezu, Jezu — i znikła w kłębach pary.

— No, a co on wam jeszcze mówił? — zapytał Antek. Chciał on wiedzieć, bardzo chciał wiedzieć, co też ten pan hrabia mówił.

— A dużo gadał, a bo ja tam pamiętam. Coś ci mówił, że jak Jędrak wróci, to będzie pracował nie tylko na rodziców, to niby na mnie i Marcina, ale na wszystkich.

— I co jeszcze?

— A bo ja tam wiem? Gadał i gadał, a ja w końcu nawet nie wiem, czy Jędrka tu kiedy przyśle, czy co z nim chce robić. A bałam się pytać. Chyba tam dobrze będzie Jędrkowi: takie palto miał ładne ten pan. Dobrze chyba jakieś panisko, tylko trochę gapowate jakby.

Wszedł Marcin, przyniósł wódkę, przepił do Antka, kieliszek poszedł w koło i rozmowa weselsza się stała...

Antek wyszedł. Czuł zawrót głowy od tej wilgoci i trzech kieliszków wódki. Chłodne powietrze orzeźwiło go.

Pozostało mu kilka godzin do wieczora. Nie szczęściło mu się dzisiaj. Od malarza nie wziął pieniędzy, do miasta za „zarobkiem” nie poszedł, teraz czuł głód i coś go nieznośnie męczyło.

Przypomniał sobie o pozostawionym u Wojciecha na Pradze kuferku. Jak mógł tak długo nie odebrać go?

Leniwym krokiem przeszedł całą długość Powiśla, most i część Pragi.

Był głodny. U Wojciecha nakarmiono go.

W kufrze znalazł ubranie, bieliznę i pięć książek. Jedna z nich: *Pan Tadeusz* Mickiewicza, dalej *Ogniem i mieczem* w trzech tomach, i piąta książka — powieść, której nagłówek zapewne nie znać, czytelniczy.

Antek podarował dzieciom Wojciecha kilka koszul, za co dzieci ucałowały z rozkazu rodziców jego rękę. Chłopiec czuł, że przyjemnie to, gdy jest się całowanym w rękę. Spowaźniał, uważał się za równego starszym.

— Cóż słychać u was nowego?

— Ano nic, jakoś się żyje. Tylko Wojciechowa słabuje. Wzięła jej ból w piersi. Właściwie nie piersi ją boła, ale tak z wierzchu, w piersiach i w boku. Doktor dał jej trzy proszki. Jeden wyżyła, ale był okropnie gorzki, więc nie chciała już brać drugiego. Jeden proszek podsypała małemu w nocy, bo go pchły żarły. A przecież pchła jest mała, więc albo zdechnie od takiej goryczy, albo ucieknie sobie prócz. A trzeci proszek jest jeszcze, leży w komodzie.

— Jak się Wojciech kiedy upije, to mu dam w wódce, może się odzwyczai od kieliszka, bo na tę wódkę strasznie dużo pieniędzy wychodzi. A przecież Wojciech nie ma, wie Bóg, jakiej trza by pensji, żeby mógł dużo wydawać. Z ośmiu rubli na miesiąc zawsze rubel albo i więcej idzie na karę to za to, to za owo, więc siedm rubli zostaje. I tak ledwie się koniec z końcem wiąże. Dobrze i to, że jeden chłopak jest w terminie u krawca, dziewczyna

chodzi do szycia: ma rubla na miesiąc. Bartka i Fonka nigdy prawie i tak w domu nie ma, jedno jest w ochronie. Jakoś się żyje.

Antek włożył palto, zwinął w węzełek ubranie, bieliznę i książki, i wraca do domu. A kuferek niech zostanie u Wojciecha: może mu się na co przyda...

Józek Bzik czekał już na Antka. Powiodło mu się dobrze. Spotkał się z Wikłą, weszli do bramy, zdjął buty, dał je Wikcie do trzymania, a sam stanął boso pod murem, na Marszałkowskiej. Zaraz zbliżyła się do niego jakaś pani i dała mu czterdziestówkę, potem oficer dał mu pół rubla, potem jeszcze kilku golców „się ulitowało” i dało po dysce, potem jakiś pan zaczął z nim rozmawiać, pytał, gdzie mieszka, Józek dał mu adres „na Pacanów”. Ten pan zapisał sobie adres, dał mu trzy ruble, kazał kupić buty, a sam przyrzekł, że przyjdzie sprawdzić, czy kupił sobie buty naprawdę.

— Mówię ci, taki *śmieszny*. Mało się nie rozbeczał, taki ci okropnie *sercowy*. Cóż ty, pyta, nie masz starych jakich butów, że na mróz boso chodzisz?

— A mam, proszę pana.

— A dlaczego nie włożysz ich?

— Bo mi macocha schowała.

— A dlaczego macocha schowała?

— Bo chciałem do ojca iść do szpitala.

— A to zła ta twoja macocha?

— E, dobra, proszę pana, tylko biedna, proszę pana, to jej, proszę pana, z głodu takie *szpryncy*<sup>47</sup> do głowy przychodzą.

Antek słuchał, ale się nie śmiał z dowcipu towarzysza.

— Powiadam ci — ciągnął Józek — nagadał mi za swoje trzy ruble, ile włożyło. Żebym ojca i macochę kochał, żebym się dobrze prowadził, że będzie ze mnie porządny człowiek. Jakbym bez butów nie mógł być porządny albo jakby w butach wcale złodzieje nie chodzili... A ja bałem się, że mnie do ula zagarną, więc słucham i rozglądam się tylko. A potem buty na nogi i do domu. Taki ci był bzik ze mną.

Wziął harmonię, zagrał kilka tonów i zaśpiewał.

Jestem sobie andrusina mały,

I wylazłem za szperandą<sup>48</sup> na stare Bednary...<sup>49</sup>

— No, a co twój malarz?

— Puściłem go.

— Bo co?

— Bom go puścił i już.

— Et, bzik jesteś.

— Tak mi się podoba i już.

I kto by mógł pomyśleć, że stary stróż nocny, uosobienie skupionej w sobie siły moralnej, przed którą złodziejaskowie uchylali głowy, może mieć wnuka, cynicznego Józka Bzika, i że ten zepsuty, skazany na stracenie, Józek, może raz w życiu być bohaterem, może zdobyć się na czyn taki...

Lecz po co wyprzedzać fakty?

## VIII. BOHATER

Zatknięta w szyjkę butelki świeca dopalała się. Bronek — kelner — leżał na łóżku i rozprawiał, a lubił mówić wiele, gdy był pijany. Na drugim łóżku spoczywał kucharz. Na sienniku, na ziemi, leżeli Antek i Józek.

— Widzicie, chłopcy, takie życie, jak wy teraz żyjecie, to mówię wam, jest na nic — prawil Bronek. — Bo w ogóle, mówię wam, trzeba zawsze myśleć o starości. Bo, widzicie, wy teraz mali jesteście, więc wam się wasze sztuczki udają. Idźcie, na przykład, na Nowy Świat, uklękniecie przed kościołem i udawajcie, że płaczecie, to wam się zaraz nazbiera

<sup>47</sup>*szprync* (daw.) — figiel. [przypis edytorski]

<sup>48</sup>*szperanda*, właśc. *speranda* — spodziewany zysk. [przypis edytorski]

<sup>49</sup>*Jestem sobie andrusina mały, I wylazłem za szperandą na stare Bednary...* — znana w różnych wersjach *Piosenka więźniarska [złodziejów]*. [przypis edytorski]

cała kupa „litościwej hołoty” i będzie wam czterdziestaki pakowała; a jak który zacznie gadać z tobą, a natrajłujesz mu, że jesteś sierota, a to, a owo, to możesz ich nabrać na kilka fajgli<sup>50</sup>. Ale, mówię wam, jak dorośnięcie, to koniec, *klapa* z tym wszystkim.

— A tak — odzywa się z drugiego łóżka Andrzej kucharz.

— Widzicie. Więc potem, no, to jeszcze możecie tam listy pisać, a to, a owo, ale to już w ogóle zupełnie co innego. Potem to znowu zaczniecie kraść, pójdziecie do ula, bo widzicie, ja znam już takich. Mój rodzony brat jest na „osiedleniu”. Ożenił się tam, czy choroba go wie, i z głodu teraz zdycha, Więc, widzicie, trzeba, widzicie, coś w ogóle wymyślić.

— A tak — potwierdza sennym głosem kucharz.

— Bo mój brat, widzicie, to tak samo. A ja się przecież wykierowałem. Żebyście widzieli, jak to panowie ze mną piją i całują się.

— Jak się popijają, to się całują — dodaje kucharz.

— Co ty tam, garnkotłuku, wiesz? Rozumie się, że jak się popijają. A z tobą, parzygnacie, to może się całują? Niby to pan, jak się upije, to nie jest pan, albo co. Pan to pan i już...

Andrzej odpowiedział mu po swojemu, przewrócił się na drugi bok i zachrapał.

— Ja tam wam — ciągnął kelner — opowiadać wszystkiego nie będę, bo to są rzeczy tajemnicze i wreszcie wy na to jeszcze za smarkacze. Więc, widzicie, mówię wam, że życie jest psie, ale co tam, trudno; na to, widzicie, rady nie ma...

Chwila milczenia.

— Antek jest ładny chłopak, więc może iść, powiadam, do cukierni, żeby się w ogóle trochę obznajomił. A potem może... A Józiek to też byłby chłopak niczego, ale mu palca brak u ręki, to na nic, musi iść do rzemiosła, albo co. Najwyżej mógłby być tam w jakiejś garkuchni, a nie w restauracji, gdzie się wielkim panom usługuje... Tylko to trzeba trochę się wykształcić.

Znów pauza.

— A ty, Antek, czytać nie umiesz, to źle. W cukierni jeszcze jako tako. Pisma rozeznasz po okładce, ale w restauracji trzeba rachunki pisać, a to, a owo.

— A pan Broniek nauczyłby mnie czytać?

— Nauczyć to nie, ale pokazać ci mogę. Poczekaj, jutro przyniosę kuriera, to ci pokażę... A ty, Józiek, to choroba wie, co z tobą zrobić.

— Już ja sam ze sobą zrobię — odparł Józiek, rozgniewany wspomnieniem o swoim brakującym palcu.

— Ano, kiedyś taki wielki pan, to sobie rób, co chcesz. Ani ja ci brat, ani ojciec, ani swat, żebym miał głowę sobie łamać.

— A niech sobie nie łamie, niech śpi, bo się urznął.

— Czy ja się urznął, szczeniaku, czy nie, to moja rzecz, a że ty będziesz wisiał na szubienicy, to będziesz.

— Ja tam nie mam brata złodzieja na „osiedleniu” jak pan — rzekł Józiek — to i sam na szubienicy nie będę.

— Sluchaj no, stulisz gębę, ty znajdo jeden?

— Wolę ja być znajdą, jak ze złodziejskiej rodziny. Mój dziadek był uczciwy człowiek — zawołał Józiek z rumieńcem oburzenia na twarzy.

— Taki, jak i ty, hycel był twój dziadek.

Józiek Bzik zerwał się z łóżka, pochwycił butelkę z palącą się świecą i rzucił nią w Bronka, ale chybił. W ciemności błyszczwały jak dwa węgle rozżarzone oczy chłopca. Rzucił się na leżącego, ale ten pochwycił go za głowę oburącz i tłukł nią o żelazny kant łóżka.

— A masz, złodziejski synu, a masz hyclu, a masz. A nie rzucaj się na starszego, a nie rzucaj się, a nie...

Rwał za włosy omdlałego chłopca. Dopiero Antek zwolnił Bzika z rąk rozwścieczonego pijaka, zwilżył mu zakrwawioną twarz wodą. Józiek westchnął. Po półgodzinnym cuzeniu przyszedł do siebie.

Kelner i kucharz już spali.

<sup>50</sup>fajgiel (daw. pot.) — rubel. [przypis edytorski]

Józiek ubrał się powoli, pogroził w stronę Bronka, nasunął czapkę na oczy, wziął harmonię i wyszedł bez słowa pożegnania.

Nazajutrz Bronek przypomniał sobie nocną bijatykę, zafrasował się, splunął i mruknął: — Trzeba się go będzie pilnować teraz.

Wyczyścił sobie lakierki, spodnie i frak, usiadł przed lustrem rozbitym, porozkładał szczotki, grzebienie, butelki z olejkami i maścią, począł się czesać, smarować i czernić.

„Dziecko ulicy”, dwudziestoczteroletni Bronek, charakteryzował się na wykwintnego lokaja pierwszorzędnej restauracji...

Józiek znikł i nie pomogły Antkowe poszukiwania.

— Pewnie bandę zbiera — mruczał niezadowolony Bronek. — Teraz już na pewno wyjdzie na złodzieja. Ale co ja winien, że taki bestia zawzięty?

Gdyby kto uważnie wsłuchał się w monologi Bronka, dosłyszałby może nutę, która dźwięczała, jakby żal, jakby wyrzut sumienia.

Może dla zagłuszenia tego głosu, który mu gadał, że sierotę skrzywdził, Bronek zajął się Antkiem. W ciągu pierwszych dni kilku nauczył go czytać wyrazów: „Kurier, Warszawski, Poranny, Gazeta, Polski, piątek, sobota” itd. Nauka odbywała się w ten sposób:

— Patrz, Antek, tu jest napisane: „Kurjer”<sup>51</sup>. Pierwsza litera jest *ka*, druga *u*, trzecia *er*, czwarta *jot*, piąta *e*, a ostatnia, patrz, taka sama, jak trzecia. No, patrz, widzisz? A razem to jest *ku* — *rjer*.

Albo metoda Bronka nie była najgorsza, albo Antek był bardzo zdolny, dość, że liczba wyrazów, którą chłopak umiał odcyfrować, stawała się coraz większa.

Chodził Antek, po ulicy i szukał na szyldach sklepów, znanych mu liter. Często odgadywał znaczenie wyrazu. Nad apteką wisi szyld, na którym napisany jest wyraz; wyraz ten składa się z sześciu liter; pierwsza litera *a*, ostatnia także *a*, przedostatnia *k*. Nic innego, tylko *apteka*.

W bólu, w znoju, w naprężeniu, wdziera się dziecko ulicy w ten świat magiczny drukowanego słowa.

Kilka razy wydobywał Antek z ukrycia pod siennikiem swoje książki, nic wyczytać z nich nie mógł i znów je pod siennikiem ukrywał: Antek wstydził się, że ma książki.

Złożona, zawila jest dusza „andrusa” z Powiśla, a bogata jak ta Wisła rzeka, jak to miasto grzmiące, co jest jej mistrzem-wychowawcą, tyranem, a różnobarwna, różnodźwięczna jak to niebo o wschodzie, jak te pomruki dobra i zła, które życie wydaje ze siebie.

Bronek postanowił zająć się chłopcem, chciał skłonić Antka do przyjęcia miejsca w cukierni, chciał wciągnąć tę naturę nieokiełznaną pod jarzmo nie tyle pracy może, ile poniżenia. I postanowił pokazać mu w najżywszych, najjaśniejszych kolorach życie, które czeka go, jeżeli w jarzmo to wpręgnać się pozwoli...

Zarządzający restauracją wyjechał na kilka dni za granicę, więc służba czuła się swobodną: nie śledził jej przenikliwy wzrok rządcy, który umiał wszędzie wejść, wszystko zauważyć, skarcić i w karbach trzymać całą tę dziką, zuchwałą, rozbestwioną, w jego pojęciu, tłuszcę. A tu akurat wypada wesele, zamówione w ostatniej chwili.

— Przyjdź dziś do mnie, tak o pierwszej w nocy — rzekł Bronek do Antka — zobaczysz coś ciekawego. Tylko ubierz się w nowe ubranie.

Antek gorzał z niecierpliwości. Wieczorem zobaczy po raz pierwszy w życiu salony oświetlone i „panów” tańczących, bawiących się, jedzących. Instynktem wiedzony, pragnął poznać nowy odłam życia, rozszerzyć swoje wiadomości, zapas obserwacji życiowych.

Ale gdyby kto Antka zapytał, dlaczego tak silnie pragnie być obecnym na balu, nie umiałby powiedzieć nic więcej jak:

— Chcę, bo chcę.

I ubrany, umyty, uczesany, ze swymi płowymi włosami i niebieskimi oczami jasnymi, Antek stanął w przedpokoju i patrzył przez drzwi otwarte na salon.

W salonie panował zamęt, zamieszanie. Muzyka grać przestała, rozdawano lody.

Panowie w czarnych frakach, z lśniącymi *klakami*<sup>52</sup> w rękach, w białych rękawiczkach, w błyszczących lakierkach, weseli, uśmiechnięci, podnieceni winem, asystowali paniom.

<sup>51</sup>*Kurier Warszawski* — tytuł gazety codziennej wydawanej w Warszawie od 1821 do 1939 r. [przypis edytorski]

<sup>52</sup>*klak* (daw. pot.) — składany cylinder, *szapoklak*. [przypis edytorski]

Panie w różnobarwnych sukniach lekkich, tiulowych, z bukietami lub wiązkami w dłoni, w naszyjnikach z pereł, z mieniającymi się w uszach kolczykami, z diademami we włosach, lekkie, powiewne, krążyły po sali. Nagie ich ręce i ramiona bielily się jak śnieg na Wiśle.

Rozmowy, szepty i śmiechy płynęły do przedpokoju, gdzie wciśnięty między drzwi i framugę okna, ukryty na wpół za portierą, stał Antek.

Panna młoda w białej sukni, z długim tiulowym welonem, siedziała zadumana obok pana z białą wstążeczką przy kłapie fraka. Nad czołem jej w półkoronę układały się białe, drobne kwiaty z płatkami błyszczącymi i mięsistymi.

Między gośćmi snuli się lokaje spokojnie, zwinnie, nie zbliżając się zbyt do nikogo, nie narzucając się z usługami; podawali chłodniki, spełniali zlecenia, odbierali szklanki i podstawki. Twarze lokajów były miłe, ujmujące i nieme. Słuchali i spełniali życzenia, jakby nie widząc nic, nie słysząc, nie czując, nie myśląc, jak maszyny tak udoskonalone, że dość tym maszynom powiedzieć coś, dać znak, skinąć, spojrzeć lub poruszyć powieką, by maszyny wykonywały tę lub inną czynność.

Bronek też był na sali; Antkowi wydawał się on zupełnie innym człowiekiem, nawet nie człowiekiem, a jakimś sprzętem z bardzo zawikłaną maszynerią.

We drzwiach stał inny lokaj. Broniek, przebiegając, rzucił mu półgłosem uwagę:

— Spójrz no, ta, naprzeciwno, w różowej. Co?

Antek nie rozumiał, co chciał przez to Broniek powiedzieć, przekonał się jednak, że on patrzy i myśli.

Zagrała muzyka. Panowie poczęli przechodzić tłumnie do salonu z palarni, panie wyszły z buduaru. Jedna z pań prowadziła za rękę kilkuletnią dziewczynkę w białej sukience, z białą wstążeczką we włosach, w białych bucikach. Za nimi szedł chłopiec w czarnych aksamitnych spodniach i białej marynarskiej bluzie.

Antkowi przyszło nagle na myśl:

„Co by to było, gdybym ja się tak ubrał?”

Pary zaczęły wirować po sali. Muzyka grała rzewnie. Antkowi granie to coś przypomniało, coś, czego nie pamiętał, coś, czego nie znał, czy widział to, czy słyszał.

Więc to jest tylko taniec, nic więcej? A toż on widział tańczących tyle razy. Ale tancerki nie miały nagich ramion, nie przechylały się tak jakoś dziwnie, tak dziwnie.

To stokroć piękniejsze niż cyrk. Antoś takiej muzyki nigdy jeszcze nie słyszał, takich pań i takich dzieci nie widział. A jak one śmiało stąpały po lśniącej posadzce.

„Dziecię ulicy” czuło się tak drobne, nikłe wobec tych blasków, tiulów, zapachu i dźwięków.

Przechodzi dwóch panów.

— *Sais tu*<sup>53</sup>, jestem mocno pijany.

Antek spojrział na niego zdziwiony. Więc tak wygląda człowiek pijany? Nie ma ani oczu błyszczących, ani nosa czerwonego, ani zmiętego ubrania? Nie kłóci się, mówi głosem dźwięcznym, nie ochryplym?

Przebiega panienka, śmieje się srebrzyście, niesie za sobą zapach piękny i woła:

— Czy jest szwaczka?

Lokaj biegnie za nią, otwiera drzwi, urocze zjawisko niknie poza drzwiami.

A tych dwoje dzieci ujęło się za ręce i tańczy.

Na progu ukazuje się Broniek.

— A, jesteś. Wpuścili cię?

— Powiedziałem, że do pana idę.

— Dobrze. Masz tu cygara. Schowaj prędko.

Podaje Antkowi garść cygar; chłopiec chowa je w kieszeni.

— Chodź na schody, zaraz ci przyniosę coś.

Antek dostaje kielich wina, kawał pasztetu i tortu.

— Nie nudzisz się?

— Nie.

— Podoba ci się?

— Tak.

<sup>53</sup>*sais tu* (fr.) — wiesz? [przypis edytorski]



— Smakuje ci to?  
 — Tak sobie.  
 Antek nie chce spowiadać się ze swych uczuć.  
 — Słuchaj, Antek, tylko ty, uważasz, nie myśl, że oni są, uważasz, tacy znów bardzo co. Postroi się to i wygląda jako tako. Ale wiesz, oni — taka sama hołota jak my.  
 Wchodzi na korytarz pan szpakowaty. Broniek łamie się w pół.  
 — Czego sobie jaśnie pan życzy?  
 — Słuchaj no, mój kochany, wyciśnij mi pół cytryny do wody. Woda ma być czysta i zimna z lodem. Tylko zaraz. Rozumiesz?  
 Broniek biegnie. „Pan” opiera się o ścianę i cedzi przez zęby:  
 — Psia krew, z tymi balami.  
 Broniek powraca.  
 — Myślałem, żeś poszedł dopiero zrywać cytryny.  
 Broniek nie odpowiada.  
 — Prosiłem, żeby woda była z lodem. Głuchy widać jesteś.  
 „Pan” wypija wodę i wchodzi do salonu.  
 — Widziałeś idiotę? — zwraca się Broniek do Antka.  
 A walca tony marzycielskie płyną.  
 Tak, Antek słyszał i widział raz tych panów i panie, u Wizytek, w kościele. Wejście było za biletami, ale on wcisnął się przemocą, otrzymał nawet szturchańca wówczas. Potem już zmańdrzał: na pańskie śluby się nie pchał.  
 — Masz, pij, nie żałuj sobie. Mam całą butelkę w palcie. Urządzimy sobie jutro bal, lepszy niż ten, zobaczysz. Albo te Michałki wyfraczone umieją się bawić, myślisz?  
 W słowach jego dźwięczała złość lokaja poniewieranego przez „panów”.  
 Po walcu nastąpił kontredans<sup>54</sup>, znów walc, znów kontredans.  
 Antek oswoił się z obcym dla niego środowiskiem. Usiadł na kanapce pod lustrem obok dziewczyny, która była razem ze szwaczką na dyżurze. Dziewczynka mogła mieć lat czternaście.  
 Przechodzi dwóch panów — gości — jeden z nich bierze dziewczynkę pod brodę i mówi:  
 — *Tu es belle, ma petite*.<sup>55</sup> Jesteś ładna, moja mała.  
 Panowie przechodzą do palarni.  
 — Zośka, po coś tam wylazła? Choć tu zaraz — woła szwaczka.  
 Biały mazur. Grajkowie zbierają resztki sił i grają żwawo, ogniście. Służba stoi w drzwiach, przy bufecie, spokojna, bez śladu znużenia na matowych twarzach, bez ziewnięcia, bez uśmiechu, bez słowa, bez poruszenia niemal.  
 Goście rozjeżdżają się.  
 — Moje uszanowanie jaśnie panu.  
 — Dziękuję jaśnie panu.  
 — Padam do nóg.  
 Zbieranie rzeczy, narzucanie szali, chustek, wkładanie zarzutek, rotund i peleryn.  
 Rozlega się okrzyk:  
 — Brama!  
 Wesele się skończyło. Młodzi wieczorem wyjeżdżają za granicę, do Wiednia, stamtąd do Nicei i, rozumie się, dalej, do Włoch.  
 Sprzątanie postępuje rażno.  
 Antek kładzie palto, siada na kanapce pod lustrem. Oczy mu się do snu kleją, a jednak żal mu balu. Tak prędko się skończył.  
 — Antek!  
 Otwiera oczy.  
 — Chodź prędko. Podobno fabryka Gryga się pali.  
 Chłopiec zrywa się. Pożar! On od lat najmłodszych, od niemowlęctwa prawie, przywykł uważać pożar za najpiękniejsze, najmiłsze widowisko.  
 Broniek funduje dorożkę.

<sup>54</sup>kontredans — taniec towarzyski z figurami. [przypis edytorski]

<sup>55</sup>*Tu es belle, ma petite* (fr.) — Jesteś piękna, moja mała. [przypis edytorski]

— Od dawna się pali? — pyta Antek, obawiając się, czy nie będzie już ogień ugaszony.  
— Od drugiej podobno.  
Słychać odgłosy trąbki. Mija ich strażak na koniu. Widać wielką lunę na niebie.  
— Ej, ojciec, machaj no prędko. Rubla daję. Ja zarobiłem, to i wy zaróbcie.  
Pakuje mu w garść kawał sarniego combra i cygaro.  
— Zapalcie, zobaczycie, jakie grackie.  
Wyjmuje korek z butelki likieru.  
— Łyknijcie.  
Daje Antkowi butelkę.  
— Masz, pij; pewnieś głodny... A powiadam wam, ojciec, zarządzającego dziś nie było, to było okropne używanie z tego powodu. Jak wróci, to będzie heca. A co tam.  
Już widać tłum ludzi. Policja zatrzymuje dorożkę. Broniek płaci rubla, czwartą część zarobionych przez noc pieniędzy.  
Wysiadają.  
Do samej fabryki nie można się dotoczyć. Wojsko otoczyło tę część kordonem. Wiatr gna całe snopy iskier na sąsiednie domki drewniane, pożar ogarnia coraz większą przestrzeń. Mieszkańcy wynoszą lub wyrzucają swoje nędzne ruchomości. Policja nie może dać rady tłumowi rozbawionemu, nie może okazać pomocy zagrożonym.  
Już trzy domki drewniane stoją w płomieniach, czwartego ratować nie można. Już dach się zajmuje.  
I nagle wśród gwaru rozlega się głośny, spazmatyczny płacz.  
— Dziecko moje tam zostało. Dziecko moje.  
— Gdzie? — pytają najbliżsi.  
— Na strychu, na samym strychu.  
Natychmiast przystawiają drabinę, strażak, okręcony mokrym płótnem, wchodzi na strych, przedziera się przez płomień.  
Trzy strumienie wody skierowano w stronę, gdzie znikł dzielny człowiek.  
Wybiegł po chwili, ale bez dziecka.  
— Dziecko mi oddajcie, dziecko! — woła kobieta.  
— Ależ nie ma — twierdzi strażak.  
— Jest, jest, cztery latka ma, jest. Oddajcie mi.  
Płakała, rwała włosy na głowie, tarzała się po ziemi. Tragicznie brzmiał ten krzyk, przy akompaniamencie syczenia ognia.  
Drabina wisiała jeszcze, zarzucona na przepaloną belkę.  
— Kto to jest ta kobieta?  
— Wariatka.  
— A ona ma dziecko?  
— A ma.  
— To jej własne?  
— A czyjeż by, jak nie jej?  
— Więc trzeba je znaleźć.  
— Belka się załamała.  
Nagle przed panem naczelnikiem stanął chłopiec.  
— Ja wliżę.  
— Nie wolno.  
Chłopiec jednym skokiem znalazł się na drabinie.  
— Zejdź, słyszysz, zejdź.  
Ale chłopca już nie było. Wpadł w ogień. A wariatka zerwała się nagle z ziemi i zaczęła się śmiać przeraźliwie.  
— Ha! ha! ha! a tom ich oszukała, a to głupcy! A widzicie! chciałam, żebyście wiedzieli, że ja nie taka znów wariatka... Co, ja, matka, zostawiłabym w ogniu dziecko? Ha! ha! ha! Już trzy godziny, jak go tam nie ma. Ha! ha! ha! Wyniosłam je w bezpieczne miejsce. A to głupcy. Ha! ha! ha!  
W tej chwili załamała się belka i drabina w snopie iskier spadła na ziemię.  
W oknie drugiego piętra stanął chłopiec z oczernioną twarzą, z popalonymi włosami.  
Antek i Broniek zawołali jednocześnie ze zdumieniem:  
— Józiek Bzik!

Józek spojrział na dół, skoczył, zatoczył się i... *dał nura* w tłum, który się przed nim rozstał z podziwem.

Józek nie znalazł dziecka, nie wiedział, że wariatka kłamała, wstydził się swego niedołęstwa i pragnął uciec przed tym tłumem, wpatrzonym w niego.

Biegł, kulejąc. Już miał się wydostać na plac wolny, gdy poczuł, że ktoś go chwytą za rękę. Chłopiec instynktownie wyjął nóż z kieszeni. Spojrział na tego, kto go pochwytał. Ujrzał Bronka, oczy mu zapłonęły. Podniósł rękę do góry, kolnął Bronka nożem, skoczył naprzód i znikł w ciemności poprzecznej wąskiej ulicy.

Bronek zatoczył się i upadł.

— Antek, nie mów, kto mnie dźgnął — szepnął Bronka, gdy go niesiono do dorożki.

Antek chciał jechać z Bronkiem, ale go zatrzymano. Ujrzał go nad wieczorem, ale już w... sali sekcyjnej.

Na środku sali, na stole, trup Bronka: nóż utkwiał mu w sercu, główna tętnica przecięta, krwotok i śmierć natychmiastowa...

Nie udało się uczta, którą zapowiedział był Bronka, na którą zaprosił kilku kolegów i znajomych dziewczyn.

Jedynym spadkiem po Bronku kelnerze, dziecku ulicy, były cygara skradzione na balu w restauracji, nadtłuczone lustro, słoiki z maściami, grzebienie i szczotki.

Wszystkie pisma brukowe podawały nazajutrz dwie sensacyjne wiadomości: „Podpalenie fabryki” i „Tajemnicza zbrodnia”.

Józek Bzik pomścił naruszony honor rodzinny.

## IX. Z DNIA NA DZIEŃ

Mdle liście pokryły drzewa miejskie. Rozpalona kula słońca prażyła asfalt i bruk uliczny. W powietrzu unosił się pył.

Egzaminy w szkołach się skończyły i matki powyjeżdżały z dziećmi na wieś, do miejscowości kuracyjnych w kraju i zagranicą. Dzieci lśniących salonów i dusznych izb szkolnych miały przez dwa miesiące wakacyjne oddychać świeżym wiejskim, górskim lub morskim powietrzem.

Miasto wyludniło się.

Tylko ojcowie, mężowie, przykuci do miasta, pozostawali i w miarę możliwości, stosownie do upodobań i środków, uprzyjemniali sobie przykre wieczorny po dniach pracowanych w zaduchu i upale.

Cukiernia na zbiegu dwóch ulic, w Śródmieściu, uczęszczana była liczniej niż inne, gdyż przyciągały do niej konsumentów obszerna weranda i... bilard.

W sali bilardowej, mimo otwartych okien, upał i gryzący zapach tytoniu panują wszechwładnie. Ale jest tu wesoło i swobodnie. Można zdjąć marynarkę i kamizelkę, i przy czarnej kawie czytać pisma, grać w szachy lub warcaby, opowiadać dowcipy, przyglądać się bilardzistom, urządzać nawet małego totalizatora. Stawka niewielka: za dwadzieścia kopiejek ma się „wrażenia” na cały przeciąg gry. Szanse grających zmieniają się, zainteresowanie rośnie w miarę posuwania się gry naprzód.

Antek w białym fartuchu krąży koło stolików, podaje pisma, zapala papierosy, odbiera kapelusze i laski.

Zna on tu każdego gościa, wielu z imienia i nazwiska. Dziwnym mu się nawet wydaje, gdy wejdzie wypadkiem ktoś obcy. Obcy na pewno najgorzej jest obsłużony, czekać musi długo na podanie kawy, a już nigdy nie doprosi się świeżego pisma.

Zna Antek i markierów. Ciekawi ludzie ci markierzy. Ludzie żyjący z bilardu, nieumiejący nic ponad piramidki i karambole. Ale do jakiej to wprawy dochodzą! Kula bilardowa słucha ich się na skinienie, zatacza koła i półkola, objęta się po kilka razy o bandę i staje tam, gdzie on chce, by się zatrzymała. Czarodzieje! A jak śmiesznie wygląda, gdy markier gra z „fajerem”, gdy rzuca się, udaje zagniewanego, celuje z uwagą i nie trafia, gdy wreszcie przegrywa, płaci stawkę, by „fajera” w grubszą grę wciągnąć i wyssać z niego kilka rubli.

Markierzy wieczory całe spędzają w cukierni, w nocy hulają, w dzień śpią. Błdzi, drobni, z wiecznie nerwowo poruszającymi się rękami, z papierosami w ustach, z biegającymi oczami, śledzą każdego przybysza, otaczają, wciągają w grę i ogrywają.

Antek znów bada nowy odłam życia.

Duszno mu tu, ciasno, ale nie nudno. Każdy gość to nowy typ, nowy przedmiot obserwacji. Życie Powiśla już zna, życie śródmieścia poznaje.

Nie od razu przyjęto Antka. Właściciel długo nosem kręcił:

— Wołałbym co prawda chłopca z prowincji... Nie łobuz jesteś?

— Nie, proszę pana.

— No tak, każdy to samo śpiewa... Wiedz, że u mnie taki porządek: raz przewini, dostanie w kark, drugi raz — uszy ponadrywam, trzecie przewinienie — nogą w siedzenie i won!

Antek zaczerwienił się, nic nie odpowiedział.

Teraz właściciel zadowolony jest z Antka. Chłopiec jest grzeczny dla gości, goście go lubią, umie się znaleźć, powiedzieć coś zabawnego, a w kieszeni ma buteleczki: z koniakiem i benedyktynką. Są to „kropelki” dla stałych gości.

— Antek, jedna czarna!

Antek biegnie do kuchni i woła:

— Mała czarna.

Przynosi kawę i pyta z tajemniczym uśmiechem.

— Zęby pana nie bolą?

— Oj, bolą.

Antek ogląda się, wydobywa butelkę, kieliszek, i wlewa do filiżanki „krople na zęby”. Właściciel niby się gniewa.

— Słuchaj, Antek, zakład mi zamkną przez ciebie.

— O, niech się pan nie boi — upewnia go chłopiec.

— No, no, pamiętaj.

I pan pryncypał dochodzi do wniosku, że lepiej już wziąć chłopca łobuza, zwinnego, sprytnego, chociaż złodzieja, niż niezdarę powolnego z prowincji.

Antek ma dwie wady: kradnie i późno przychodzi do zakładu. A dwie te wady płyną z jednego źródła: Antek się kocha.

Chłopiec mieszka teraz na Czerniakowskiej. Miłe ma tam życie.

Ślusarz fabryczny, jego żona, czworo dzieci, z których najstarsza córka „za dorożkarzem”, dwoje dzieci zamężnej córki, jej mąż i Antek zajmują pokój; w kuchence mieszka „garbata” z córką.

Wesołe życie. Gdy Antek o dwunastej w nocy wraca do domu, ślusarz, żona, dorożkarz, dorożkarzowa, garbata i jej córka zbierają się w kuchence i Antek im czyta. Dzieci śpią, a jeśli się które obudzi, dostaje od Antka karmelek lub czekoladkę i znów zasypiają.

Antek czyta. Lampka stoi na stole przed chłopcem, wszyscy otaczają go kołem, on wydobywa swą książkę i uboga izdebka poddasza zaludnia się długim szeregiem bohaterów.

— Przeczytaj no, Antoś, o polowaniu — prosi dorożkarz.

— E, ty ciągle z polowaniem. Już czytał.

— No, jeszcze tylko ten raz.

„Tu las był rzadszy. Słysząc z głębi ryk, trzask łomu.

Aż z gęstwi, jak z chmur, wypadł niedźwiedź na kształt gromu,

Wkoło psy gonią, straszą, rwą; on wstał na nogi

Tylne i spojrzął wkoło, rykiem strasząc wrogi,

I przednimi łapami to drzewa korzenie,

To pniaki osmalone, to wrosłe kamienie

Rwał, wałąc w psów i w ludzi, aż wyłamał drzewo,

Kręcąc nim, jak maczugą, na prawo, na lewo,

Runął wprost na ostatnich strażników obławy”.<sup>56</sup>

— No, już dosyć...

— Ale poczekajże — prosi dorożkarz. — Ty się na tym nie znasz, ale ja...

<sup>56</sup>Tu las był rzadszy (...) — fragm. IV księgi *Pana Tadeusza* A. Mickiewicza zatytułowanej *Dyplomatyka i łowy*. [przypis edytorski]

— No, wiem, wiem. Dwa palce ci na polowaniu urwało i jeszcze ci mało.

— Przeczytaj no Antoś o Scyzoryku — prosi ślusarz.

— No, dobrze — godzi się dorożkarz.

I dźwięczą słowa Mickiewicza na poddaszu, i snuje się nić myśli jego w umysłach słuchaczy.

Antek czyta to płynniej, to z większym trudem, stosownie do tego, czy zna tekst mniej czy więcej. Czyta i patrzy w przestankach w czarne oczy dziewczyny i myśli, skąd „garbata” ma tak śliczną córkę?

Bije godzina pierwsza.

Antek czyta, czuje wpatrzony w siebie wzrok killkorga zmęczonych oczu i czuje spojrzenie dwóch czarnych pochodni dziewczyny. I tak mu dobrze, pierwszy raz w życiu. Nie czuje znużenia po całodziennej bieżączce i czy dziw? On młody. Ale i ślusarz, i kobiety spracowane nie czują senności.

— A teraz tę drugą książkę. Masz, Antek, napij się, bo ci w gardle przyszło. Może co zjesz?

I występuje Zagłoba, Skrzetuski, Kmicic, stają przed wyrobnikami poddasza, mówią do nich. A oni rozumieją mniej lub więcej; tłumaczą sobie po swojemu, komentują.

Bije godzina druga. Antek odkłada książkę... do jutra.

Rozchodzą się. Antek tylko pozostaje jeszcze chwilę i pokazuje dziewczynie parę nowych liter.

— Poczekaj, niedługo i ty będziesz umiała tak czytać. Dobranoc.

Rozchodzą się i Antek długo jeszcze rozmawia ze swymi współmieszkańcami, potem długo jeszcze myśli sobie o tym i o owym, o książkach i o Zośce.

„Skąd garbata ma tak piękną córkę, tę Zośkę tak prostą jak trzcina, z wielkimi czarnymi oczami i długim płaszczem kruczonych włosów?”. Na pytanie to mogłaby odpowiedzieć tylko „garbata”. Dziecię to pozostało jej jako jedyna pamiątka dawnej młodości, jedyne wspomnienie niewielu radosnych chwil jej życia, jedyny dowód czyjejś winy, jedyny widomy znak jakiegoś rozczarowania, echo wyrządzonej jej krzywdy. Kochała córkę swoją bez granic.

Oto dlaczego Antek spóźnił się do obowiązku i brał po kryjomu kilka czekoladek, biszkoptów lub ciastko.

Przez palce patrzył właściciel cukierni na owe dwie wady Antka, bo Antek był sprytny. Ale nie dla wszystkich chłopców cukiernik i podwładni jego byli jednakowo uprzejmi.

Był wśród malców i niedołęga, cichy, uczciwy, posłuszny sierota z prowincji. Opiekun oddał go zakładowi „na własność”. Chłopiec spał tam, jadł i... odbierał bicie od wszystkich.

Każdy sklep, zakład to świat zamknięty w sobie, to małe państwo z odrębnym życiem, ze swą walką o byt, podstępem, intrygami, przemocą silnych i gnębieniem słabych.

Antka nikt nie śmiał ruszyć. Raz chłopcy z piekarni, niby w żartach, a właściwie dla wypróbowania jego sił i usposobienia, pociągnęli go za ucho; spojrzal na nich, oko w oko, zmarszczył brwi i syknął dwa wyrazy magiczne:

— Nie radzę.

I dano mu spokój.

Raz właściciel próbował mu wytłumaczyć w dosadnych wyrazach, że przychodzenie do obowiązku o godzinie dziewiątej sprzeciwia się przyjętym tam zwyczajom, że do niego, Antka, należy sprzątanie sali bilardowej, ale Antek wyjaśnił swoje stanowisko w kilku słowach, wspomniawszy o pewnym zacisznym pokoiku z zielonym stolikiem do kart, o „kroplach na ból zębów” i... „zamknął gębę” panu pryncypałowi na długo.

Antek był osobą, z którą należało się liczyć, sierota z prowincji był *czymś*, czym można poniewierać, bo się nie umie bronić. Antek był pewien siebie, że miejsce dostanie, sierota drżał, że go wypędzą na bruk nieznanego mu miasta.

Minęły upalne miesiące letnie, kawał jesieni; już zima zaglądała w oczy, a w życiu Antka nic się nie zmieniło i byłby szedł utartą drogą, szlakiem, wytkniętym mu przez zmarłego Bronka, gdyby nie drobny wypadek.

Antek raz spóźnił się o całe dwie godziny. Właściciel był na niego wściekły, więc zbił... sierotę. A jak odbywa się karanie chłopca? Sposobem bardzo prostym: bije się w twarz, targa za uszy i za włosy. Chłopiec zanosi się od płaczu.

— A nie płacz, a nie płacz, hyclu, a nie maż mi się, a nie drzyj.

I przy każdym zdaniu następuje świeża porcja uderzeń.

W Antku krew zastygała. Przypomniawszy sobie, że podobne bicie zrobiło z Józka Bzika zbrodniarza, pomyślał, że gdyby on, Antek, był mniej *cwany*, na niego spadałyby podobne razy, postanowił ująć się za słabym.

— Za co pan go bije? — zapytał, patrząc śmiało w purpurową twarz chlebobawcy.

— A tobie, złodziejski synu, co do tego? Bądź kontent, że ciebie nie ruszam.

— Niech pan ruszy.

Purpurowa twarz chlebobawcy stała się fioletową. Pochwycił kij z założoną nań gazetą, ale Antek odskoczył na bok.

— Precz! Wynos się. Rozumiesz. Nie tylko sam się gałganisz, ale mi buntować będziesz... Żeby mi noga twoja tu nie postąła.

— Oj! oj! dlaczego nie?

Antek z drwiącym uśmiechem odpasał fartach, przeszedł wolnym krokiem na korytarz, wdział swoje palto, czapkę włożył na bakier, rzekł:

— Moje uszanowanie panu.

I gwizdząc wyszedł na ulicę.

Nazajutrz w cukierni była rewizja. Cukiernik miał wiele kłopotu. Sierota otrzymała drugą porcję razów.

Miał teraz Antek więcej czasu na czytanie, a o środki do życia był spokojny. Był pewny siebie.

— Dosyć tej niewoli. Przyjmę obowiązek w sklepie, gdzie będę miał niedziele wolne. Żeby raz w tygodniu nie mieć odpoczynku — to psia niewola.

Antek przeczuwał może, mówiąc to, że 500 chłopców cukierniczych i piekarskich nie może uczęszczać do szkoły, bo i w święta piją ludzie kawę i jedzą ciastka. Lecz to do powieści nie należy.

Antek dostał się do perfumerii. Znów poznał nową gałąź pracy, wdrożył się w nowe obowiązki. Komora celna, poczta, składy apteczne, komisjonerzy<sup>57</sup>, składnicy — nowe pole obserwacji. A fabryka z jej dusznym zapachem, balony, szklanki, flaszki, retorty<sup>58</sup> z różnokolorowymi płynami, przetworami chemicznymi, wieczna gra kolorów i zapachów.

Mimo różnorodności zajęć wrażenia były jednostajne, bo Antek teraz mniej z ludźmi miał do czynienia, więcej z przedmiotami. A pchało go coś w życie, w samo jego centrum, w samo jądro. Czego szukał Antek? Może wcielenia ideałów książkowych.

Niedługo zabawił Antek w perfumerii. Przeszedł do składu tytoniu, do handlu win, do księgarni.

W składzie tytoniu zapoznał się ze szwarcowanymi<sup>59</sup> cygarami, w winiarni z fałszowaniem win, które kiper całymi dniami zaprawiał w piwnicy, dolewał, próbował.

Księgarnia dała mu więcej.

Chłopiec „oblatany”, śmiały aż do bezczelności, sprytny aż do przebiegłości, czuł się onieśmielonym wobec stosów książek, pełnych półek od ziemi aż do sufitu. Sądził, że tu inny świat jakiś, inni ludzie.

Rozczarował się.

Być może, czyściej, jaśniej tu było, ale nie dla chłopca „na posyłki”, nie dla „dziecka ulicy”. Antek ścierał rano kurze z paczek nut, potem wydawał w ekspedycji książki dla księgarzy, odnosił paczki do mieszkań, posyłki na pocztę. Nauczył się ważyć książki, nalepiać marki, robić opaski, wiedział, na których półkach leżą książki historyczne, przyrodnicze, matematyczne, lekarskie, powieści, książki ludowe i dla dzieci, poznał kilkanaście nazwisk pisarzy i kompozytorów, kilkadziesiąt tytułów. W sobotę przynoszono całe stosy pism, które podpisywano, liczone. Szły transporty na prowincję. Antos miał swój rewir, roznosił pisma prenumeratorom.

— Więc i to jest sklep, tylko sklep, nic więcej. Sprzedają tu książki, jak gdzie indziej sprzedają wina cygara lub kawę. Subiecki tu zawijają książki, jak tam butelki. I nic więcej.

Więc on jest tylko popychadłem tak samo tu, jak był tam i ówdzie.

<sup>57</sup>komisjoner — kupiec, pośrednik sprzedaży. [przypis edytorski]

<sup>58</sup>retortia — naczynie laboratoryjne o długiej szyjce używane do destylacji. [przypis edytorski]

<sup>59</sup>szwarcować — przemycać. [przypis edytorski]

Antek wiedział, że niektórzy starsi chłopcy chodzili do szkoły niedzielnej. Tak, ale oni wstąpili ze szkół do księgarni; pokończyli po parę klas. Tam trzeba zdawać egzamin. Jaki? Co trzeba umieć? Co trzeba zrobić, żeby dostać się do szkoły? Tamci chłopcy będą subiektami, on będzie służącym, który nosi po dwa razy dziennie torby ciężkie, roznosi pisma, ekspediuje paczki na kolej i na pocztę.

— Et, bzik! Latać, chodzić, nogi zniszczyć i na starość iść do żebry, toć lepiej co innego robić.

Miewał tyle razy po kilka i kilkanaście rubli.

Jutro wypłata: wziąć swoje pięć rubli, wziąć gratyfikacji trzy, ściągnąć, co się da i... drapnąć.

I tak zrobił Antek.

— A teraz pohulać sobie za ten rok zmarnowany, spędzony w zaduchu, w pracy nędznej.

Ot, buda jakaś zasiadła w sklepie. Katarynka gra, tłum dzieci otacza wejście, oświetlone czterema lampami. Na szybach ponaklejane obrazki. Drżący z zimna „magik” w czerwonym trykocie, przepasany szarfą, zaprasza do środka.

— Wejście dziesięć groszy, a dla kulawych, garbatych tylko pięć kopiejek. Ślepi i bez głowy darmo.

Antek wchodzi.

Tak, tu jest jego dom, tu pchają go nieświadomie wszyscy ci, których spotykał w swojej wycieczce po „panach”.

Dzwonek pierwszy i drugi. Katarynka gra i gra. Muzyk z czerwonym nosem, z przymkniętymi oczami, kręci korbą i piskliwy, ponury dźwięk katarynki naśladuje coś, jakby walca, jakby wyjątek z opery.

— Szanowna publiczności, nadzwyczajne amerykańskie sztuki magiczne. Kto nie widział, niech zobaczy, kto widział, sam wejdzie. Polykanie miecza i śniadanie z rozpalonego żelaza. Wejście dla garbatych, kulawych pięć kopiejek, ślepi i bez głowy darmo.

Trzeci dzwonek i kurtyna z czerwonego perkalu w niebieskie kwiaty podnosi się.

Zainteresowanie widzów wielkie.

Następuje polykanie miecza, odgadywanie kart, gotowanie jajecznicy w cylindrze.

Antrakt. Kurtyna spuszczone. Dziewczynka z posiniałymi wargami wchodzi z tałem między publiczność. Ma na sobie brudną białą sukieneczkę i białe połatane pończochy.

— Proszę dać, co kto może, bo później nie będę brała.

I z grymasem imitującym uśmiech obchodzi widzów.

Antek ją zna, widywał ją na Powiślu wśród bandy dzieci.

Dzwonek.

Druga część przedstawienia. Magik-czarnoksiężnik i dziewczynka.

— Szanowna publiczności, oto wielka gimnastyczka, hiszpańska bajaderka<sup>60</sup>, niezwykle, cudowne dziecko.

Katarynka poczyna wygrywać. Dziewczynka bierze w rękę dwa końce sukni, unosi ją i staje na palcach.

Nagle Antek drgnął: usłyszał poza sobą znajomy mu głos pijacki.

— Niech no i ja zobaczę, co tu jest — woła, zataczając się, pijak.

Antek cofa się, chce usunąć się z drogi, ale pijak chwyta go za ramię mocno i uparcie się w niego wpatruje.

Katarynka skowyczy. Na wzniesieniu tańczy dziewczynka. Okopcone lampy migają.

— Antek, ty tu? — pyta pijak.

— Puść mnie, ojciec.

— Antek, ty tu? — powtarza.

Antek się wrywa.

Spoza przepierzenia wychodzi magik:

— Cicho być! — rozkazuje groźnie.

— Antek, zostań — woła błagalnie ojciec.

Czepia się jego ręki konwulsyjnie.

<sup>60</sup>bajaderka (z fr. *bayadère*) — tancerka. [przypis edytorski]

Publiczność się niecierpliwi.  
 — Wynosić się! — rozkazuje magik.  
 — Chodź, Antoś, chodź.  
 Trzyma go mocno i chwiejnym krokiem wychodzi z Antkiem na ulicę.  
 — Antoś, Antoś, nie chcesz ojca znać? Antoś, bój się Boga, Antek.  
 — A ojciec nie bał się Boga dziecko sprzedawać?  
 — Zaraz, ja ci, widzisz, wszystko opowiem... Tylko nie uciekaj. Chodź do mnie.  
 — Nie pójdę.  
 — Chodź, chodź — prosi, ciągnąc chłopca. — Wiesz? Matka Mańki umarła? Wiesz, ja żyję.  
 — A mnie co do tego?  
 — Takis ty syn? A co ja ci złego zrobił?  
 — Ho! ho! Co złego?  
 Antek pchnął ojca. Pijany się przewrócił. Stoczył się do rynsztoka, z oczu łzy, prawdziwe łzy mu płynęły.  
 — Własne dziecko, własny syn.  
 I łzy płynęły razem z pomyjami rynsztoka.  
 Antek biegł. Nie wiedział, dlaczego odepchnął ojca. Nie czuł do niego żalu. Dlaczego zostawił go tam w błocie, dlaczego mówić z nim nie chciał?  
 Może dlatego, że ojciec po raz pierwszy w życiu przemawiał do niego łagodnie.  
 Antek biegł w stronę Wisły, zatrzymał się nad brzegiem, spojrzął na długi szereg latarni, na most, postąpił krok naprzód i uporczywie patrzył w toń rzeki. Jeszcze jeden krok zrobił, ale się cofnął.  
 Szedł w stronę Pragi. Raz jeszcze zatrzymał się na moście i patrzył w czarną toń rzeki, która leniwie toczyła grube płyty lodu.  
 I szedł dalej, potrącany przez przechodniów, drżąc z zimna i tych myśli, które napływały mu do mózgu.  
 — Nie, nie wróci do swego mieszkania ani do Zośki, nie wróci ani dziś, ani nigdy. Skąd ta garbata ma taką ładną córkę? A może dzieci Zośki byłyby znów garbate?  
 Na drodze Mareckiej, o wiorstę<sup>61</sup> od Targówka, jest karczma. Stoi tam ona od niepamiętnych czasów i ma swoją wielką kartę w kronice dzieci Warszawy. Dziś nawet cienia dawnej sławy w niej nie pozostało.  
 Antek wiedział, że tam spotka kogoś, do kogo będzie mógł „przysłać”, że tam to znajdzie, czego nie znalazł w swej wędrówce „po panach”, znajdzie braterstwo, równość, życzliwość. Tam będzie częstką całości, gdy tu może być tylko czymś oderwanym, deptanym jak liść z drzewa spadły.  
 Pójdzie, zafunduje, „puści” swoje kilka rubli, ale znajdzie przyjaciół, ludzi, którzy interesować się będą losem jego, pomagać w jego przedsięwzięciach, ratować w niebezpieczeństwie.  
 Mija Nową Pragę, zakręca w pole, przechodzi pod traktem kolejowym. Pociąg, hucząc, wali przez pomost, miga dziesiątkami oświetlonych okienek.  
 Dalej już tylko szosa, cisza zupełna. Dwa szeregi drzew czernią się z dwu stron szosy. Niebo pokryte brudnymi chmurami.  
 Antek wie, że tą samą drogą szedł rok temu Józiek Bzik.  
 — Co się z nim stało? Podobno zszedł się z Maślarem.  
 Wieje chłodny wiatr.  
 Nagle spoza drzewa wysuwa się jakaś postać skurczona w lachmanach.  
 — Kto tam? — pyta.  
 — Swój — odpowiada Antek.  
 — A do kogo to?  
 Postać w lachmanach zbliża się do Antka i zagląda mu w oczy. Szczęki drgają włóczędzy nocnemu, zęby szczękają.  
 — Do Bzika. Jest w karczmie?  
 — Nie jeszcze.  
 — A będzie?

<sup>61</sup>wiorsta — ros. miara długości wynosząca 1,0668 km. [przypis edytorski]



- Co nie ma być? Masz wódkę?
- Nie. Chodź ze mną do karczmy, to ci zafunduję.
- Nie mogę. Moja pikieta dzisiaj.

I cicho, niepostrzeżenie, usuwa się z drogi i znika za drzewem. Jednocześnie rozlega się donośna gwizdka. To znak, że „swój” idzie.

Jeszcze kilka postaci wychyla się spoza drzew z zapytaniem.

- Masz wódkę?
- Nie.
- Bodaj cię choroba. A „dula” masz?

Antek częstuje ich papierosami.

Wchodzi do karczmy.

Pusto tu jeszcze. Dwóch mężczyzn siedzi przy stole, grają w kości. Przyglądają się chłopcu bacznie.

- Do kogo?
- Do Bzika.
- Aha. Masz *forsę*?
- A mam.
- Zagrasz?
- Jak przegram, to wy stawiacie?
- Brawo!

W pięć minut Antek nie ma ani grosza. „Wkupił się”. On „swój”, bo nie szanuje pieniędzy; idzie mu tylko o „wstawianie”.

- No, fundujcie teraz.
- Poczekaj, zaraz nasi przyjdą.
- To drugi raz postawicie. Zmarzłem.

Antkowi nie jest zimno, ale chce pić; pić jak najwięcej i wódkę jak najmocniejszą.

- No, panie, ten, dawać tu nam.

Chłopiec wypija kieliszek spirytusu. Tamci przyglądają mu się z uśmiechem, Antkowi lzy zakręciły się w oczach, ale się nie zakrzusił.

- *Cwaniak* z ciebie — chwałą go. — Chcesz jeszcze jeden?
- Choćby dziesięć — odpowiada Antek.

## X. NAD PRZEPAŚCIĄ

— Nie, Antek, teraz nie możemy tam iść — mówił Bzik — Maślarz raz na zawsze zabronił mi wracać po pijanemu, bo moglibyśmy go „nakryć”. Chodź do Suchego Felka, tam przenocujemy.

- Nie chcę — rzekł Antek.
- To chodź do mojej rodziny.
- Masz rodzinę? — Zdziwił się Antek.
- Zobaczysz.

Szli w stronę lachy Wiślanej. W łasze zimowały berlinki, łazienki<sup>62</sup> i czółna. Nad samym brzegiem leżała przewrócona krypa<sup>63</sup>; przegniła ona tak, że reperować jej nie było warto; leżała więc sobie, przysypana śniegiem, z jednym niewielkim otworem od wyrwanej deski. Pod tą krypą mieszkała rodzina Szampionerki<sup>64</sup>; ona — wdowa — i troje dzieci. Kobieta zbierała latem trufle w rowach i dostarczała je do restauracji, w zimie zbierała i piła wódkę; starszy chłopiec wysługiwał się złodziejaszkom, dwie małe dziewczynki nic jeszcze robić nie mogły, bo starsza z nich miała dopiero lat pięć.

Taką była rodzina Bzika. Przywiązał on się do tych nędzarzów, dzielił się swym nędznym chlebem kradzionym, opiekował się nimi.

Zjechał Antek i Józiek z wału po śniegu, zbliżyli się do krypy. Józiek zastukał.

- Kto tam?
- To ja — rzekł Józiek. — Można zanoć u was?

<sup>62</sup>łazienka — łódź kąpielowa. [przypis edytorski]

<sup>63</sup>krypa — łódź rzeczna o płaskim dnie. [przypis edytorski]

<sup>64</sup>szampionerka (z fr. *champignon*: grzyb) — zbieraczka grzybów. W XIX w. *szampion* mówiono na pieczarkę. [przypis edytorski]

— A czemu nie.

Odrzuciła gałgany, którymi otwór był zapchany, i wsunęli się na czworakach pod krypę. Cała przestrzeń założona była wiórami, gałganami; watą, piórami. Było to gniazdo ciepłe, duszne, smrodliwe.

— Masz tam co dla bachorów? — pyta dostawczyni trufłów.

— A mam.

I wsuwa dzieciom w ręce kawałki sera i chleba.

— A ten drugi co za jeden?

— Przyjaciel.

— Posuńcie się, dzieci. No, śpijcie.

Antek leżał na jakimś łachmanie, z którego dobywał się mdły zapach jodoformu, leżał z szeroko otwartymi oczami i patrzył w ciemność. Myśli mu się wikłały, czuł dziwną wesołość i obawę; obawiał się o tę wesołość swoją, obawiał się, że pryśnie ona lada chwila, że zastąpi ją inne jakieś uczucie, którego się bał.

— Józiek, śpisz?

— Nie, bo co?

— Nic, tak tylko się pytam.

— „Żywe srebro” cię gryzie? — spytał Bzik.

— To nic.

— Pewnie, że nic. Spaniałeś, widzisz, musisz teraz „odpanieć”.

— Czym był jej mąż? — pyta Antek.

— A czym by? Złodziejem.

— Ona dawno tu mieszka z dziećmi?

— Śpij, nie gadaj.

Antek leży z szeroko otwartymi oczami i czuje, że jego wesołość znika, że idzie mu coś jakby robak od brzucha do piersi, od piersi do gardła, że zatrzymał się w gardle i rośnie, grubieje i rosną robakowi nogi jak pajęczyna, i w nos, w oczy mu wchodzi. Miga mu przed oczami postać Zośki. Zośka śpi z matką w czystym łóżku, matka jej garbata, a ona taka prosta jak trzcina. Co teraz robi ten chłopiec-sierota w cukierni? Już świt niedługo, zaraz wstanie i będzie zamiatał cukiernię. Antek stara się nie myśleć o robaku, ale nie może. Chce splunąć, nie może.

— Dusi, dusi! — woła Antek.

Bzik chrapie. Szampionerka wysuwa się z kąta z łachmanów, nachyla się nad chłopcem.

— Co ci jest?

— Robak w gardle.

— Zmora cię dusi. To nic. Przeżegnaj się.

— Oj, nie odchodźcie ode mnie.

— Przeżegnaj się — powtarza kobieta.

— W Imię Ojca i Syna — zaczyna Antek. — W Imię Ojca i Syna i... kiedy zapomniałem.

— I Ducha Świętego...

— A tak: i Ducha Świętego.

— No, odeszło?

— Trochę lżej.

— A widzisz.

— Tylko nie odchodźcie, moja matko.

— No nie, nie.

Gładzi wilgotną ręką spoczone czoło Antka i włosy.

— Jak zmora dusi, to najlepiej przeżegnać się, widzisz. Bo krzyż ją zaraz odstraszy. Bo krzyż to męczeństwo Jezusa. Jezus za wszystkich cierpiał.

— I za pani dzieci?

— A tak.

Przez szczelinę wdziera się pierwsza iskierka światła. Wiatr hula nad krypą, bije o boki, syczy między gałganami i zastęga w zaduchu i smrodzie.

Antek zasnął; gdy go Bzik obudził, było już południe.

— Chodź, wstawaj, idziemy.

— Tylko ostrożnie — prosi szampionerka — żeby was kto nie zobaczył.

Wysuwa Bzik głowę, ale ją chowa, bo po wale ktoś idzie. Potem wychodzą; biegają w różne strony, żeby na śniegu ślad nie pozostał przy krypie. Antek wciąga zimne powietrze. Ubranie jego i ciało są wilgotne. Zimno!

— Teraz możemy iść. Choroba z tym śniegiem.

Idą ulicami w stronę Nowej Pragi. Mijają liche domy, wychodzą na pole, po jednej stronie ciągnie się parkan. Przechodzą koło parkana kilka razy w różne strony, wydeptują drogę do ścieżki, którą robotnicy idą do fabryki.

— No już dobrze — mówi Bzik.

Rozgląda się raz i drugi, odsuwa deskę, wpuszcza Antka i sam wchodzi. Przy bramie samej, na wielkim podwórzu „gęsiarni”, stoi psia buda.

— Nero, wynoś się prędzej, słyszysz?

Pies leniwie wychodzi, warczy na Antka.

— Leżeć, to swój!... Właż, Antek. Poczekaj... albo ja.

Wsuwa się w budę psa, za nim Antek. Lewa ścianka budy przylega do ściany szopy drewnianej, jest w niej szczelina, która prowadzi do piwniczki ciemnej.

— Kto tam? — odzywa się głos męski.

— Ja.

— W nocy byłeś potrzebny, to się włóczyłeś.

— Kolegę prowadzę.

— Aha.

Schodzą po drabince kilka stopni i są na dole.

— Ma pan co do jedzenia? Głodni jesteśmy.

— A wiem: do żarcia zawsze gotowi. Macie.

— Jest świeca?

— Masz tu zapalki i nie szczekaj, bo mi się spać chce.

Józiek zapala świecę. Gliniana podłoga piwnicy wysłana jest dywanami różnej wielkości i różnego pochodzenia. Na brudnej wytartej niedźwiedziej skórze leży starzec, przy nim leżą dwa króliki; starzec jęczy cicho. W drugim kącie spoczywa mężczyzna o twarzy ponurej, z ciemnym zarostem, krzaczastymi brwiami i ostrymi, uporczywymi oczami. Obaj patrzeli na Antka długo, bez zmrużenia powiek.

— Siadaj — rzekł Bzik, podsuwając Antkowi poduszkę — masz, jedz.

Starzec poruszył się na swym posłaniu i jęknął.

— Przestań ojciec jęczeć — syknął niechętnie mężczyzna.

— Chory jestem. Boli!

— Niech ojciec wylizie, to ojca wyleczą.

— A wyleczą, wyleczą... Józiek, podnieś mnie.

Antek zauważył, że starzec ma ręce i nogi bezwładne. Owoc to surowej zemsty ludzkiej. Był koniokrادمem. Zmówili się chłopie całej gminy, pochwycili go w nocy na drodze i poprzecinali mu ścięgna pod kolanami i w łokciach. Okrutna zemsta. Syn tydzień cały ukrywał ojca w lesie, a starzec błagał, by go nie oddawał do szpitala. „Patrz, zając postrzelony ucieka, aby pod krzakiem zdechnąć; ucieka i cierpi tak, jak człowiek nie może wcale cierpieć. Żołnierz postrzelony pada, ale nie ucieka z dwiema kulami. Zając ucieka”.

Nadludzki to był wysiłek: bezwładnego starca prowadzić, nieść, ukrywać się i uciekać, spod Grochowa aż do tej kryjówki, skąd pięć lat już nie wychodził.

Teraz syn tylko utrzymuje honor rodu koniokradów. Choć on już nie trzyma się specjalności, a różne zajęcia uprawia. Znają go, o! znają. Szczególniej chłopie, którzy na targ przyjeżdżają. Sprzedaje im „złoty piasek”, podrzuca woreczki, ogrywa w pasek. Mści się za ojca.

Antek przygląda się starcowi, gryzie chleb czerstwy i drży całym ciałem. Czuje, że znów go zmora dusić zaczyna.

Świeca pali się nikłym światłem i kopci szerniały pułap piwnicy. Cisza. Słyszeć tylko chrzęst gryzionego chleba.

— Śpij, Antek. Wieczorem wychodzimy.

Józiek kładzie się obok Antka.

— Słuchaj, Antek, co Broniek mówił?  
 — Nie kazał wydawać, że to ty.  
 — Nie kazał? Widzisz, ja nie wiedziałem, że tego. Ja chciałem dać mu tylko naukę na drugi raz.  
 — Wiem o tym.  
 — Po co on na mojego dziadka wymyślał?  
 — Był pijany.  
 — Ja wiem, ale kiedy to tak nie idzie... Ja może bym mu nic nie zrobił, a po co on mnie się wtedy czepiał.  
 — Chciał się z tobą pogodzić.  
 — Ja wiem, ale ja strasznie wściekły byłem. Włazłem po tego szczeniaka w ogień i nie znalazłem go. Wstyd mi było.  
 — Ta wariatka kłamała.  
 — Wiem, zaniosiła dzieciaka do Wicków. Słyszałem.  
 — Szkoda Bronka. Niezły był chłop.  
 — Tak, dla ciebie, ale nie dla mnie. Ciebie uczył czytać, bo masz wszystkie palce, a ja nie.  
 — A ty chciałeś, żeby ciebie uczył? Mogłeś powiedzieć.  
 — Et, bzik. Czy ty na stałe do nas?  
 — Nie wiem.  
 — Bo słuchaj, musisz już potem, bo ciebie zadźgają.  
 Antek sam nie wiedział, czy „na stałe” przyłączył się do bandy. Żał mu było książek, które zostawił na Czerniakowskiej, żał mu było tych wieczorów i Zośki, prostej jak trzcina.  
 — Znasz Zośkę „garbatej”? — pyta Antek.  
 — Co nie mam znać? Ładna dziewczucha, pójdzie, do „panów”.  
 — Niedoczekanie — syknął Antek.  
 — Zobaczysz. Jeszcze rok...  
 — Niedoczekanie.  
 — A co, żenić się z nią chcesz?  
 — Wszystko jedno.  
 Myśli ich rozbiegły się. Zamilkli. Zasnęli. Płynęła godzina za godziną. Nadszedł wieczór.  
 Maślarz wstał.  
 — Zostajecie?  
 — Chcesz iść? — pyta Józiek.  
 Znow przechodzą przez psią budę. Idą do Warszawy.  
 Na ulicy Topiel, w suterynie ślusarza, jest szulernia.  
 Gdy weszli do pokoju, przy stołach było już pełno. Tu rzemieślnicy i robotnicy przegrywają tygodniowy zarobek.  
 — Motia<sup>65</sup> — mówi Maślarz, przysiadając się do jednego z grających.  
 „Motia” albo z żydowskiego „sitwa” to hasło spółki. Gdy do grających w pasek zbliża się inny szuler, dość mu szepnąć owo magiczne zaklęcie, by otrzymać połowę wygranej. Jest to nagroda za pomoc i tajemnicę.  
 Na stole brzęczała miedź, srebro, przesuwały się papierki.  
 Antek poznaje kilku rzemieślników. Pieniądze, które na stół rzucają, to nie miedź i nie srebro, a łzy żon, głód dzieci i ich praca ciężka od szóstej rano do dziesiątej wieczorem.  
 — Motia — mówi Józiek i przysiadł się do łobuza w wutowanej myśliwce, w barankowej czapce na głowie.  
 Antek widzi, jak Józiek podsuwa szulerowi karty; idzie mu to zręcznie. Dorzuca czasem słowo do rozmowy, której osią główną są popełnione w ostatnich dniach zbrodnie.  
 — W kurierach pisali, że w Austrii złapali takiego, co trzydzieści cztery zbrodnie popełnił.  
 — A to ci dopiero kawalarz.  
 — A co? A pokaż mi u nas takiego.  
 I splunął.

<sup>65</sup>motia (gw.) — spółka. [przypis edytorski]

Żarty na różne tematy, najsprośniejsze anegdoty i cyniczne uwagi krzyżują się. Antek przypomina sobie, że podobnie bywało w cukierni Śródmieścia.

Między graczami kręci się siedmioletnia dziewczynka, córka właściciela suteryny. Przyjmuje ona udział w grze: podgląda karty.

Znów zmora poczyna dusić Antka. Chciałby napić się wódki, ale gospodarz pić nie pozwala. Pohulanka odbywa się dopiero późno w noc, po ukończonym graniu.

Napężenie rośnie wśród graczy. Łada chwila może powstać bójka. Ale upominać się o przegrane pieniądze, to znaczy być pobitym przez „motiaków”, być raz na zawsze wykluczonym z liczby graczy, nie być pewnym życia na żadnej ulicy miasta.

Przez drzwi wpada kobieta w podartej chustce na głowie z dzieckiem na ręku.

— Wacek, ty znów tu?

— Drzwi zamkną! — woła gospodarz. — Tu nie dla kobiet miejsce. Czego to?

— Wacek! Wacek! — woła kobieta, wyrywając się na środek pokoju.

Spoza stołu wstaje mężczyzna błady z iskrzącymi się źrenicami.

— Czego?

— Dzieci gubisz, zbereźniku, złodzieju, gubiduszo.

— Czego? — powtarza, zbliżając się do niej.

— Daj pieniądze.

— Pieniądze? Pieniądze ci dać?

Zamierza się na żonę. Dziecko płacze.

— Tylko bez bijatyk tutaj. Daj jej rubla — mówi gospodarz.

— Masz, psiakrew. A w domu się porachujemy, za ten wstyd przed ludźmi...

Kobieta bierze papierek i idzie do swoich czworga dzieci, które pozostawiła w domu. Antek wysuwa się i idzie za nią. Chce jej coś powiedzieć, nie wie co, chce jej doradzić, nie wie czym.

Przed bramą stoi inna kobieta.

— Dał?

— Dał. Ma się ze mną rachować. Jak przegra, to powie, żem mu szczęście tym rublem odebrała. Ale już mam dosyć tego.

Antek idzie za nią. Kobieta wchodzi do bramy domu, wchodzi do sąsiadki i po chwili dąży w stronę swojego pokoju, a pod chustką błyska w żółtym świetle latarki ostrze siekiery.

— Pani Wackowa! — odzywa się nieśmiało Antek.

— Czego? Czego chcesz?

Ukrywa siekiere pod chustką. Na jej bladą twarz występują rumieńce.

— Co pani chce zrobić?

Wackowa patrzy na Antka nieprzytomnym wzrokiem.

— Co chcę zrobić? A tobie co do tego?

— Pani Wackowa — powtarza Antek — co pani chce zrobić?

Kobieta opiera się ręką o mur, chwije się. Antek bierze ją pod ramię, prowadzi do mieszkania. Na parterze, w końcu długiego ciemnego korytarza, małe drzwiczki wiodą do wilgotnej izby. W łóżku, okryte poduszką i paltem, leżą dzieci w podartych koszulinach.

— Mamo, jeść — rozlega się głos piskliwy.

— Idźcie do ojca, to wam da, podlec taki. Idźcie sobie. Ja za was mam cierpieć, bachory przebrzydłe, za was. A mnie co za niewola. A ty idź sobie — zwraca się do Antka — ty z ich bandy. Wynoś mi się.

Rzuciła się na krzesło i poczęła szlochać i krzyżeć. Zbiegły się sąsiadki, zakręciły się kobiety, rozbiegły po jadło dla dzieci.

Antek wrócił do szulerni.

— Co? Już zaczynasz za cudzymi żonami się włóczyć? — zapytał Wacek, wpatrując się w Antka — za wcześniej zaczynasz. Żebyś kości całe nosił, pamiętaj.

— Bóg cię pokara, chorobo — szepce Antek.

— A może...

Dobrze po północy gra się kończy, rozpoczyna pijatyka. Antkowi rozświetla się w głowie. Zbliża się do Bzika, odciąga na stronę.

— Słuchaj, Józiek, ja chyba się powieszę — mówi cicho.

— Poczekaj, ja coś wymyśliłem. Chodź, pogadamy.  
Wychodzą. Niebo pokryte czarnymi chmurami, mróz zelżał.  
— Antek, musisz być jeszcze cierpliwy. Ja mam myśl. Już ty bądź spokojny. Tylko do wiosny... Chcesz jechać do Ameryki?  
— Wszędzie, aby nie tu.  
— A widzisz. Już ja wiem, jak to się robi. Granica to głupstwo, znam tam jednego. A potem sztyfkarta<sup>66</sup> i wio! Tam będziemy sobie razem pracowali, chcesz?  
— A pieniądze?  
— Już ty się nie bój. Wszystko będzie.  
— Czego wy ludzi w grę wciągacie?  
— E, mój kochany, tyś jeszcze wszystkiego nie widział.  
Antkowi stanęła w myśli rozmowa jedna, sam na sam prowadzona, przy szumie lipy zaruckiej. Tak, teraz wyraźniej niż kiedykolwiek słyszał słowa hrabiego: „Na nędzę jest sposób, ale na zepsucie nie ma. A wśród was więcej zepsucia niż nędzy. Gdybyście po pracy uczciwej rozrywce czas poświęcali, byłoby wam lepiej”.  
Przed oczami Antka przesunęły się postacie książkowych bohaterów z ich czynami wielkimi i czystymi duszami. Siłą wyobraźni uprzytomnił sobie owe wieczory na Czerniakowskiej. I Antek nagle wyrzucił z siebie jedno słowo:  
— Kłamstwo!  
— Co kłamstwo? — zapytał Józek.  
— „Dzieci ulicy” czytać nie umieją, książek nie znają. A dzieci złodziei też są złodziejami — wyrzucił nagle z siebie — i coraz ich więcej będzie.  
— Jakie dzieci ulicy? Jakich złodziei?  
Antek patrzył na towarzysza, oczy mu się zamglily i dwie łzy spłynęły mu po twarzy.  
— Ja z tobą będę, Bziku, wszędzie z tobą — zawołał i chciał go objąć za szyję.  
— Antek, tyś pijany — szepnął zdziwiony chłopiec.  
— Tak, tak, pijany jestem — poprawił się Antek i łzy otarł rękawem. — Nie mów nikomu o tym.

Antek zawstydzził się, że zapłakał nad niedolą braci.  
Nie wspominali później o swej rozmowie...  
Staczał się Antek nad sam skraj przepaści. W duszę dziecięcia wsiąkały wrażenia, których mu nie szczeniło otoczenie. Antek w nowym swym życiu dopatrywał się poezji. Być śledzonym, narażać się ciągle, wymykać, ukrywać w piwnicy za psią budą, oszukiwać, kraść, obmyślać wyprawy, a przy tym być częścią masy, mieć pieniądze, żyć i bawić się — żyć w ciągłym niepokoju i podnieceniu, kłaść rękę do cudzej kieszeni, plądrować w obcym mieszkaniu, przekradać się, nasłuchiwać — było w tym coś rycerskiego dla Antka, coś, co nie stało w *tak* wielkiej sprzeczności z jego ideałami, jak być poniewieranym przez piekarczyków w cukierni, zawijać paczki w sklepie lub odnosić posyłki.

A kotłowały się w duszy Antka, zmiennej, stubarwnej, uczucia najsprzeczniejsze, ale zawsze silne, wybiegały ponad szarą treść codziennego życia przeciętnych pracowników.

Mijały tygodnie i miesiące.

Poszedł raz Antek na Czerniakowską, ale tylko na chwilę, po swoje książki. Czatował na ciemnych schodach, stał długo wpatrzony we drzwi, doczekał się chwili, gdy starsi wszyscy powychodzili z mieszkania, wpadł do pokoju. Dzieci zbiegły się na jego powitanie. Krzyknął na nie, wyjął spod poduszki swoje książki i uciekł, uciekł spieszenie, bo nie chciał słyszeć żadnego zapytania, na które musiałby odpowiedzieć.

Długo się wahał, czy odkryć swój skarb towarzyszom nory piwnicznej, wreszcie zdobył się na odwagę... i w kryjówce złodziejskiej, przy chwiejnym blasku świecy zadźwięczały po raz pierwszy słowa inne niż zwykle i króliki zdziwione wpatrywały się, gdy przyciszonym głosem czytał.

Słuchał Bzik, Maślarz i ojciec jego, i może rozumieli, może nie rozumieli, ale słuchali uważnie, a stary jęczeć przestawał, choć mu rany, z odleżenia powstałe, piekielne sprawiały męczarnie. Uśmiechał się czasem, czasem oczy jego strzelały gniewem, to znów łagodnie spoglądały w przestrzeń. Szły ku niemu zapachy pól z tych słów, promienie słońca, którego od lat nie oglądał.

<sup>66</sup>sztyfkarta (z niem. *Schiffskarte*) — bilet okrętowy. [przypis edytorski]

— Mój Antku, jeszcze! — prosił, gdy chłopiec odkładał książkę.  
Antek przecierał załzawione oczy, przechylał się bliżej ku świecy i ciągnął dalej.  
I znów tygodnie całe minęły, znów słońce bardziej przygrzewać zaczęło.  
Józiek znalazł to, czego szukał; powrócił razu pewnego zadowolony, wyciągnął Antka na róg do szynku; usiedli w kącie pokoju.  
— Słuchaj — zaczął Bzik — tylko bądź mądry. Jak skończę, to zobaczysz, że przystaniesz. Tylko nie przeszkadzaj. Za miesiąc możemy już być bardzo daleko. Ale musisz mi pomóc.  
— No, gadaj.  
— Więc, widzisz, na Topiel, wiesz nad ślusarzem, na facjacie, mieszka fanciarka<sup>67</sup>. Słuchaj tylko. Mieszka sama, stara jest. Tylko uważaj. Hołoty włóczy się tam sporo, więc i diabeł nie dojdzie, kto to zrobił. I o tym nikt z naszych nie może wiedzieć. Bo ona z naszymi trzyma. Musimy to sami zrobić, we dwóch. Rozumiesz?  
— Ale co musimy zrobić?  
Józiek rozejrział się. Był wzburzony.  
— Zabić — rzekł krótko.  
Antek patrzył na przyjaciela wzrokiem zdziwionym, pytającym.  
— No, czego się gapisz? Tu nie ma gadania. Baba się pilnuje, śpi jednym okiem. Jak nie chcesz, to nie. Mnie wszystko jedno.  
— Zabić? — zapytał Antek.  
— Nie drżysz się. Wszystko jedno. A Maślarz mało narznął ludzi. Co wielkiego? Chcesz być daleko stąd? Inaczej nic nie zrobisz. Bez forsy musimy tu siedzieć. Jak chcesz.  
— A kiedy to ma być?  
— Dziś w nocy. Zaraz pójdziemy. Mam sznurek i na wypadek i coś kołącego. Stara, chora. Nie bój się, już ja sobie sam dam radę.  
— Więc zaraz?  
— Tak.  
— Dobrze — rzekł Antek cicho.  
— Tylko się nie trzęś, bo tak nic nie zrobimy. A pamiętaj, musi nam się udać, bo jakby się „nasi” dowiedzieli: ona od nas kupuje kradzione.  
— Wiem, wiem — rzekł Antek.  
— Więc *sztaba*? To się napijemy. Tylko nie za wiele. A potem spacerować trzeba. Maślarz mi tak mówił.  
Wypili po trzy kieliszki, wyszli z szynkowni.  
Szli obok siebie, nie mówiąc nic. Józiek kilka razy odchrząknął, ale milkł.  
Krakowskie Przedmieście wre życiem. Chłopcy mijali przechodniów, idąc szybko. Mieli na sobie krótkie półszubki i czapki z daszkami. Józiek począł gwizdać.  
Zmierch zapadał.  
Aleje Ujazdowskie tonęły w półcieniu. Środkiem sunęły szeregi pojazdów, trotuarami rozwijał się długi wąż spacerujących, między nimi mężczyźni, panie w pięknych kapeluszach i dzieci w jasnych ubrankach.  
Był to pierwszy ciepły dzień wiosenny. Drzewa pokryte świeżymi pączkami niosły zapach świeży i czysty, którego nie mógł zagłuszyć kurz, wydobywający się spod długich sukien i szeleszczących spódnic pań.  
A między przechodniami uwijały się dzieci z bukietkami w rękach i zapraszały do kupna kwiatów.  
— Proszę pana, niech pan kupi kwiatki dla tej ślicznej pani, proszę pana, matka chora, ojciec w szpitalu — zawodził dziewięcioletni nędzny chłopczyzna w łachmanach.  
— Proszę pana, dziś nie jadłam — woła dziewczynka w poplamionej sukieneczynie.  
— Proszę pana.  
Antek i Józiek siedli na podmurowaniu sztachet i patrzeli.  
Antek pamiętał podobny obraz. Dwa i pół roku minęły, on z Mańką biegał wówczas między przechodniami, sprzedawali kwiaty i odnosili pieniądze ojcu. Tylko dwa i pół roku temu. Wtedy, ostatnim razem, ten pan hrabia wziął go do siebie...  
— Chodź. Józiek, pójdziemy.

<sup>67</sup>fanciara — lichwiarz, pożyczający pieniądze pod zastaw. [przypis edytorski]

— Poczekaj jeszcze — mówi Bzik.  
 — Chodź już, chodź.  
 Szli ulicą Książęcą ku Wiśle.  
 — Słuchaj, może by jeszcze się napić?  
 — Nie, nie można.  
 Idą. Józiek gwizdże przez zęby.  
 — Boisz się, Antek?  
 — Czego się mam bać?  
 — Zobaczysz, jak będzie gracko. Babę za *balc*<sup>68</sup>, poducha na pysk i basta! Ani zipnie.  
 Zobaczysz.  
 Józiek gwizdże.  
 — Na dole krzyk. Nikt nie usłyszy. A wreszcie ona zawsze drze się. Już to moja rzecz.  
 Ty stój za mną.  
 Idą. Józiek gwizdże przez zęby.  
 — No. Antek, teraz trzymaj się ostro.  
 Wchodzą przez bramę. Józiek zagłada do suteryny.  
 — Widzisz, mówiłem ci, że za wcześniej. Jeszcze się nie zebrali. Będzie kto szedł przez schody i usłyszy.  
 Drapią się po schodach drabiniastych, ciemnych.  
 — A potem przez okno od razu na dach, pamiętaj.  
 Stoją przede drzwiami. Józiek stuka. Cisza. Stuka po raz drugi.  
 — A tam kto?  
 — Bzik.  
 — A czego to po nocy?  
 — Sikorę<sup>69</sup> niosę.  
 — Teraz nie ma nic. Jutro.  
 — Niech otworzy, do choroby. Przecież sikorą za karty nie zapłacę.  
 — To jutro.  
 — Niech otworzy, powiadam. Zwariowała stara czy co? Nie chcę, żeby Maślzar widział, że mam. Zobacz, że będzie żalowała.  
 Rozlega się zgrzyt klucza, kołatanie zasuwek.  
 Stara uchyla drzwi, wyciąga przez szparę rękę.  
 — Dawaj, zobaczę.  
 Józiek pcha drzwi.  
 — Nie pchaj się tu.  
 — Niech się nie boi, nie zjem, bo za stara, za sucha.  
 Staje we drzwiach otwartych.  
 Antek chwyta go za rękę.  
 — Józiek! Józiek! Józiek!  
 Stara patrzy na Józka nieprzytomnym wzrokiem, głosu wydobyć nie może ze ściśniętej gardzieli.  
 Józiek podaje jej zegarek.  
 — Wyjdź — szepce stara.  
 Józiek cofa się. Ona przywała drzwi swoim ciałem, zamyka na klucz.  
 — No, nie chce brać sikory?  
 W pokoju rozlega się jakiś łoskot. Józiek ponawia pytanie. Nie ma odpowiedzi.  
 Schodzą na podwórze. Są na ulicy. Idą razem kilkadziesiąt kroków.  
 Antek drży. Szczęki biegają mu. Słyszczyć szcęk tylko zębów. Ręce szukają oparcia.  
 Nagle Bzik zatrzymuje się. Staje przed Antkiem. Patrzy mu w oczy zimnym, stalowym wzrokiem.  
 — Kwita z nami — mówi, a oddalając się dodaje — tchórz, rabin uczoney!  
 Znow zbliża się.  
 — Możesz nie wracać do nas. Już ja ciebie osmaruję przed swoimi. A w drogę mi nie włącz, bo...

<sup>68</sup>*balc* — kark. [przypis edytorski]

<sup>69</sup>*sikora* — zegarek. [przypis autorski]



Nie dokończył. Antek go zrozumiał.

Bzik przeszedł na drugą stronę ulicy, przywitał się z idącym do szulerni „motakiem”, poszli razem.

Antek stał oparty o mur. Drżał całym ciałem...

Fanciarkę znaleziono nazajutrz nieżywą. Umarła z przerażenia.

Antek nocował w cyrkule.

Gdy go nazajutrz pytano o miejsce zamieszkania, rzekł:

— Czerniakowska.

Wskazał adres robotnika, dorożkarza, garbatej i Zośki.

„A może go przyjmą?”

## XI. MASZ DUSZĘ

Na Czerniakowskiej nie pytano Antka, gdzie był i co porabiał przez długie trzy miesiące. Przyszedł, więc jest, i koniec.

Młody chłopiec, zaciągnęli go, ale się wyrwał; tym lepiej, że przeszedł raz włóczęgę, jest teraz pewniejszy; choć kto wie... Jeszcze nie raz wpadnie w ręce łobuzów... Tak, dzieściu zginie marnie, jeden się ocali. Wie o tym, zna to wszystko stary ślusarz fabryczny, zna i zięć jego, dorożkarz. Widywali oni niejednego chłopca mądrego, zwinnego, co to zdawało się, że wyrośnie na człowieka zdolnego, pracowitego, a tu „złe najdzie” na chłopaka i po nim... Inny będzie cichy i całe życie niezdara. Oj, szkoda chłopców. Żeby to jakaś pomoc, opieka, albo co... ale tak.

Rozumując w ten sposób, ślusarz nie wypytywał Antka o nic, żeby go „nie urazić, nie odstręczyć” od siebie. Karmił go, dał mu kąt i czekał, co dalej będzie, i obawiał się, że ma Antek znów zniknie — już na zawsze.

A chłopcu tak było straszno i nie wiedział, co go dręczy, co go prześladowe w jego bezcelowych wędrówkach po mieście.

Niedziela. Gwarno na placu Witkowskim. Tu sprzedają psy, króliki, gołębie, szczygły, wiewiórki. Klatki pozawieszane na parkanach. Ciągnie się szereg straganów. A taka moc ludzi jak mrówek w mrowisku.

Antek przesuwają się między tłumem i czuje się bardzo samotnym. Widzi chłopców, wyrostków, jak nawołują się, śmieją, kręcą, rozprawiają. Niedawno i on miał przyjaciół, należał do kogoś, teraz znów jest tak bardzo sam jeden, jak wówczas w cukierni lub księgarni.

I czuje Antek, że nie przyłączyłby się do tych rozbawionych, wesołych terminatorów rzemieślniczych, którzy cały tydzień siedzą w warsztatach nachyleni nad pracą, kołyszą majstrowi dzieci, czyszczą buty całej rodzinie, chodzą na posyłki, a ot w niedzielę tak się cieszą, jakby im było najlepiej w świecie.

— Głupcy — szepce Antek i idzie dalej.

O, tam znów chłopaki „ocwanniają” głupiego chłopka. Chłop ma na furze klatkę z gołębiami. Obstała go cała gromada i żąda „pokazania” gołębi. Już cztery gołębie są w rękach chłopców. Wówczas jeden zacina konia, koń rusza. Chłop nie wie, czy zatrzymać furę, czy odbierać od chłopców gołębie. Sekundę trwa wahanie. Tłok: koń może kogoś „rozjechać”, będzie kram, gwałt, policja. Chwyta za cugle, zatrzymuje furę. Rozgląda się: ani chłopców, ani gołębi. Ano, trudno.

Antek patrzy i nie bawi go to dzisiaj wcale. I smutno mu, choć słońce świeci jasno na niebie, i pusto mu, choć taka moc ludzi wokoło.

Dlaczego tak jest, co się z nim stało?

Wraca do domu. Siada przy oknie na stołku i patrzy, jak kobiety krzątają się po izbie. Dzieci obstępują go, jedno wdrapuje mu się na kolana. Antek gładzi płową główkę Janinki. Smutno mu.

Przychodzi ślusarz z kościoła. Antek odsuwa dzieci, wstaje. Chciałby wyjść, nie wie, dokąd.

— Siedzę wam tu na karku i nic nie robię — mówi, i rzecz dziwna, czuje, że krew mu uderza do twarzy.

— Nic nie szkodzi — mówi ślusarz — odpocznij sobie, bo jesteś chory teraz. Jak sobie co znajdziesz, to nam oddasz.

Antek dziwi się: jak to, on jest chory. Może być, że jest chory, może dlatego tak mu dziwnie, że jest chory.

— A co mi jest? — pyta.

— Co ci jest? Ja, widzisz, nie umiem ci tak powiedzieć, jak potrzeba. Ale, widzisz, ja w twoim wieku to samo miałem. To jest, widzisz, ja ci powiem, jak ze mną było. A było tak: byłem jak i ty, sierota. Miałem, widzisz, dziewięć lat, jak mi ojciec umarł. Więc też, uważasz, to tu, to tam, rozmaicie. Nie ma co, jest dosyć wesoło w kompanii. Latem łapaliśmy ryby, zastawiali na Kępie sieci na ptaszki. Kąpało się całe dnie. Wesoło było. A w zimie znów ślizgawka, śnieg. Łaziliśmy po lodzie. Raz złapaliśmy kota, przylepiliśmy mu do nóg mazią łupiny od orzechów. Puściliśmy na lód, a za nim psa. Kocisko „wrywał” i ślizgał się, i przewracał, a pies za nim. Co się rozpędzi, to bach! i leży. I tak ciągle. Raz, ja ci już wszystko mówię, żebyś mnie zrozumiał, miałem już ze trzynaście lat. A zawsze mały byłem: i ojciec mój był niski. Więc mnie okropnie lubili, bo byłem taki zręczny. I zawsze ze starszymi... Więc raz na Ordynackiej pakuję rękę do kieszeni jednemu. A ten poczuł i łap mnie za rękę. Drugi, Paweł, z którym byłem (w więzieniu umarł, świeć mu Panie), pchnął go. Ale ten nie puścił. „Co pan ode mnie chce?” — wołam. A on mówi: „Źle robisz, chłopcze”. „A co ja robię?” — pytam. A on mówi: „Nie bój się, nie oddam cię do policji”. Ano, myślę sobie, będzie teraz trajlowanie. A on nic, tylko mówi: tak a tak się, mówi, nazywam (nazywał się Piotr Wiśnicki), jestem, mówi, ślusarz, mam warsztat tu i tu, mówi (na Ordynackiej, u rzeźniczki), i mówi, jak ci zacznie być tak smutno i nijako, to przyjdź do mnie. Ja nic nie rozumiałem z tego wszystkiego. Dopiero widzisz, po jakim roku jak mnie *chwyciło*, jak mnie zdusiło, tom sobie wcale rady nie mógł dać. I ja, tak jak ty teraz, nie wiedziałem, co mi jest. Ciągle bym tylko chodził po ulicach i płakał. Ani pić, ani jeść, ani kraść (ja ci, widzisz, już wszystko mówię), tylko Bóg wie co. Tamten, widzisz, zrozumiał, że ze mną tak będzie. I widzisz, tak ci coś dwa miesiące laziłem bez głowy, a do niego wstydzilem się iść. Aż mnie sam spotkał i poznał. I jak tylko spojrział na mnie, od razu poznał, co się ze mną dzieje.

„Aha, powiada, przyszła choroba na ciebie”.

Chciałem uciekać, ale mnie złapał za rękę.

„Chodź ze mną, to cię wyleczę” — powiada.

„Kiedy ja nie chory” — mówię.

„Chory, chory jesteś” — powiada.

Już mu się nie opierałem, tylko szedłem za nim. Całe dwa tygodnie niczego mi się tknąć z roboty nie pozwolił, a tylko prosił, żebym od niego nie uciekł. „Bo zmarniejesz” — powiada. No, i widzisz *odeszło mi*, potem wziąłem się do roboty, ożeniłem się. Oj, żeby ten Wiśnicki jeszcze naukę miał, toby z niego mogło co być. Tak ci umiał do duszy przemówić. Śmieli się z niego, że cały jego warsztat to sami złodzieje. I tak było. I on sam to mówił. A jakeśmy go kochali. Bo widzisz, on umiał mówić do ludzi. A jak się upił, jak zaczął prawić, to było słuchać. A pił, biedaczysko, pił. „Dusza, mówił, lżejsza jest od wódki, więc jak wypić dużo, to ona do góry wypływa” — mówił. Widzisz, Antek, jaka to jest nasza choroba. I każdy ją musi przejść. I widzisz, w tej chorobie to można każdego, najgorszego, na dobrą drogę naprowadzić. Ale jak kto w tej chorobie nie ma opieki i pomocy, to już przepadł: albo kryminał, albo szpital.

Antek słuchał tej mowy dziwnej, na pozór bez związku skleconej, a jednak tak prawdziwej. Przyszedł mu na myśl Józiek Bzik i wielu innych chłopców, przypomniał sobie rozmowy z nimi. Tak, i oni są chorzy.

— A proszę pana Wojciecha, czy w tej chorobie nie pomaga wódka?

— Oj, nie, Antek, nie pomaga, a bardzo szkodzi. Bo, widzisz, to jest taka choroba, że tu myślisz o tym, o czym nie chcesz myśleć i widzisz to, czego nie chcesz widzieć. Więc jak napijesz się, to usypiasz to wszystko. A ta właśnie trzeba przeczierać i przemyśleć, to potem zagoi się i już masz spokój. Chociaż wraca to potem, wraca. Ja dziś jeszcze czasem czuję, że wraca, ale jak wrócę do domu, jak mnie obsiądą dzieciśka, tak *odejdzie*.

— A czy każdy musi mieć tę chorobę?

— Nie, Antek, nie każdy. Jak który od dziecka jest zahukany, zabity, zagnębiony, a jeszcze z przyrodzenia nie bardzo bystry, to wiek przeżyje i nic. Ale taki jak ty, wesoły,

oblatany, to musi... Więc, widzisz, Antek, ty siedz sobie u nas, nikt ci złego słowa nie powie, a potem weźmiesz się do roboty, ożenisz, i będziesz porządnym człowiekiem.

Antkowi raźniej się jakoś zrobiło. Od chwili, kiedy przekonał się, że jest chory, uspokoił się trochę. Siadywał w domu najczęściej, rozmawiał z dziećmi; wśród nich było mu najlepiej. Ale czasem rwało go coś na ulicę. Nie chciał wyjść, bo wiedział, że znów zwięk-szy się jego choroba, ale nie mógł oprzeć się chęci wybiegnięcia.

Stanął czasem przed, oknem ochrony i patrzył. Słuchał, jak dzieci śpiewały. Widział, jak ochroniarka chodziła między nimi, zachęcała do zabawy. Widział, jak siostra miłosierdzia krzątała się podczas obiadu. I smutek go ogarniał, ale jakiś miły, wesoły smutek.

Nie chciał oderwać się od okna, a jednak nie mógł długo się przypatrywać.

To znów poszedł do znajomego rzemieślnika i przyglądał się robocie.

Ale najdrobniejszy szczegół mógł go znów wyprowadzić z równowagi.

Widział raz, jak stróż prowadził obdartego chłopca do cyrkułu. Chłopiec wrywał się, płakał, całował stróża po rękach, prosił. I Antek czuł, że zmora znów go dusić zaczyna. Uciekł do domu.

Z wycieczek swych Antek jedną ważną wiadomość przyniósł: są czytelnie bezpłatne, gdzie można książki otrzymywać.

Znów powróciły wieczory spędzane na czytaniu. Coraz to inne postacie, rzeczywiste lub wysnzione w wyobraźni autora, zaludniały poddasze. Znów czarne oczy Zośki wpa-trywały się uporczywie w usta Antka.

Choroba ustępowała. Antek zaczął oglądać się za robotą. Do rzemiosła nie chciał iść. Nie chciał pracować za darmo, a przede wszystkim nie chciał rozstawać się z opiekunami swymi i... Zośką garbatej.

I po kilku dniach rozglądania się otrzymał Antek urząd roznosiciela kuriera. Wstawał teraz o piątą rano, biegł do redakcji, odbierał swoją liczbę egzemplarzy, a potem jazda od domu, do domu, z piętra na piętro.

Uskarżali się na to zajęcie ludzie starsi, którzy już nogi pozrywali na bieganiu. Dla Antka było to mile zajęcie. Uskarżali się ludzie żonaci, którzy z siedmiu rubli miesięcznie nie mogą wyżywić rodziny, dla Antka zapłata taka wystarczała.

Co będzie później, mało go obchodziło. Dorożkarzem, posłańcem zostanie, wszystko jedno. Byle nie siedzieć w dusznej izbie, pochylonym nad robotą. Jemu powietrze, przede wszystkim powietrze potrzebne było do życia...

I byłby szedł Antek tą nową drogą, na którą pchnęło go życie, gdyby nie jeden wypadek. Bo trzeba wiedzieć, że między życiem dziecka ulicy i dziecka salonu olbrzymia istnieje przepaść. Dziecko salonu idzie wąską ścieżką, po której prowadzą je rodzice i szkoła; jak koń dorożkarski idzie po równej drodze, a oczy zasłonięte ma kłapą, by patrzyło prosto przed siebie, nie w prawo, nie w lewo. A dziecię ulicy pchane jest życiem przez szeroki gościniec i nic nie krępuje go w patrzeniu, słuchaniu, myślach i czynach.

Antek kochał Zośkę. Nie zdawał sobie sprawy ze swego uczucia, nie myślał o nim. Uczył ją, ona słuchała go, gdy czytał, czasem z nią rozmawiał i nic więcej.

A jednak, gdy Antek zobaczył raz Zośkę w towarzystwie jakiegoś pana w cylindrze, w czarnym palcie, w rękawiczkach, to krew w nim zagrała. Przypomniał sobie, co mu Józiek Bzik powiedział, i czuł, że wściekłość wstępuje mu w ręce, w nogi, w piersi i w mózg.

Pan w rękawiczkach pożegnał Zośkę, uściśnął jej rękę, uchylił kapelusz. Zośka była zarumieniona, a oczy jej błyszczały zupełnie tak samo, jak wówczas, gdy on czytał wieczorem jaką powieść.

Zbliżył się do dziewczyny drżący, zmieniony i bez wstępów zapytał groźnie.

— Zośka, kto to?

— Nikt — odparła ona.

— Co to za facet? Skąd go wytrzasnąłś?

— Odczep się i już.

— Nie odczepię się, matce powiem.

— To sobie powiedz.

Antek zrozumiał, że gniewem nic nie pomoże, a zaszkodzi raczej.

— Zośka, po co ty to robisz?

— A co ja robię? Zwariowałeś, czy co?

— Zośka, ty wiesz, co on chce z tobą zrobić.

Bieda, Książka, Kondycja  
ludzka

— A skąd ja mam wiedzieć?... Może się chce ożenić.

— A tak, ożenić — ze złością potwierdził Antek.

— A dlaczego nie?

— Głupia jesteś.

— A ty mądry.

Szli kilka kroków obok siebie.

— Słuchaj, Zośka — zaczął znów Antek — ty wiesz przecie, że ja ci dobrze życzę.

Dziewczyna spojrzała mu w oczy.

— No wiem. Bo co?

— Pamiętaj, żebyś nie poszła na poniewierkę.

— Nie bój się.

— Pamiętaj, Zośka, ty nie masz nikogo, kto by się za ciebie „zastąpił”. A on hycel dobrze wie.

— Tylko mu nie wymyślaj.

— On ci mówi pewnie tak, jak ci w książkach. Oni to umieją, oj! oj! Jak byłem w cukierni, to się nasłuchałem. Potem się śmieją i chwalą... Powiedz, Zośka, on ci się podoba.

— A pewnie, że się podoba. A co mi to szkodzi, że się powłóczy. U nas każda ma takiego, śmieją się z nich.

— A śmieją, śmieją, aż zapłaczą. Słuchaj, Zośka, ja widzisz, znam ciebie, ja wiem, ileś ty już głodu i pracy zaznała, ja wiem, jak ty w śnieg i mróz w lekkim paltociku chodzisz i zębami dzwonicz. Ja wiem, że ty sama na świecie, ja wiem, jak wam ciężko, jak ty chcesz się uczyć, jak ty masz w duszy dużo dobrego. I ja tobie dobrze życzę, ja chcę, żeby tobie dobrze było, żebyś ty miała trochę wesela w życiu. Ja wiem, żeś ty młoda i ładna. A taki co? On od dziecka tylko żarł dobrze i spał miękko, nie naorał się, nie naziębił, nie nagłodził. A teraz wyrósł, to się bawić chce. On ciebie nie będzie szanował, jego tam wszystko mało obchodzi.

Zośka szła w milczeniu.

— No co? Kto ma rację?

— Widzisz, Antek, ja bym ci powiedziała, ale sama nie wiem. Widzisz, co mnie czeka? Mnie czasem, a teraz coraz częściej, to tak straszno. Jak patrzę na wszystko, to mnie tak dusi w piersiach i chciałabym lecieć, fruwać, wiesz, sama już nie wiem. Jak czasem siedzę i szyję, to mi tylko miga wszystko przed oczami. Co dzień, deszcz nie deszcz, chodzić, żadnej zabawy, nic, nic. Czasem taka zła jestem na moją starą, żeby ją chciała bić. Po co ona garbata, po co ona biedna? Biedni nie powinni mieć dzieci, żeby się tylko męczyły na świecie. Przychodzą do magazynu panie i stroją się, i nudzą. A czasem to przychodzą takie, co to wiesz, nic ważnego, a jak hrabinie jakie. Dlaczego to uczciwa dziewczyna musi jak koń orać i nic nie ma. Inna to ma braci, pójdzie gdzie. A ja co? Już mi wszystko jedno. A on, widzisz, dobry jest. Może to będzie w moim szczęściu, że mu się spodobam i ożeni się ze mną. Pamiętaj, czytałeś raz? Wykształci mnie, odda mnie na naukę. Pamiętaj, czytałeś nam raz? I ożeni.

— Oj, Zośka — szepnął Antek — i ty jesteś chora tak samo jak ja.

— A co ci jest? — zapytała z niepokojem.

— Wojciech mi tłumaczył, ale nie umiem powtórzyć. To jest, widzisz, nie na ciebie choroba, a to są takie rozmaite myślenia i smutek.

Doszli do domu.

Antek nie mówił nic przez pierwsze parę tygodni, ale nie przestawał dziewczyny śledzić.

— „Nie pozwolę!” — wołał w duszy, ale zaraz myślał: „A może on się i ożeni?”. Toż czytał o tym w książce.

Pan w rękawiczkach pracował u ojca w sklepie z ceratami.

„Ha, może się i ożeni”.

Po długim wahaniu postanowił zwierzyć się garbatej.

Garbata słuchała z szeroko otwartymi oczami i powieki nawet nie opuściła. Każde słowo lykła spragniona.

— To to tak — szepnęła — i Antek nie wiedział, czy w głosie jej dźwięczało zdziwienie, smutek, czy zadowolenie. — To to tak — powtórzyła — to ten sklep to jego ojca.

A gdy Zośka wróciła wieczorem do domu, stara zapytała z wyrzutem:

— A ty czegoś mi nic nie mówiła?

— A co miałam mówić?

Rozmowa cicha trwała długo. Zakończyła się płaczem dziewczyny.

Nazajutrz garbata ubrała się w swą odzież odświętną, uczesała się jak do kościoła.

— A co to ona garbata, że nie może wyjść za pana? — szepnęła.

I poszła w stronę składu cerat i tapet. Długo przyglądała się wystawom sklepu, wielkiemu szyldowi i lśniącym szybom.

— Ano...

Przeżegnała się i weszła.

Gdy po kilkunastu minutach stała znów przed wystawą sklepową, zdawała się jeszcze bardziej garbatą niż zawsze. Pochyliła się, a na ziemiste czoło wystąpiły wielkie krople potu.

— Więc zawsze tak samo, zawsze?

Sunęła po ulicy, ustępując z drogi przechodniom, patrząc w ziemię niemrugającymi oczami.

— Więc to tak...

Szła w stronę mieszkania jak zranione zwierzę, do kryjówki swojej.

Przeszła podwórze i oczu nie podnosiła.

Usiadła na stolku w swej kuchence i siedziała nieruchomo.

— Więc to tak... A przecież Zośka prosta jak trzcina, oczy ma takie czarne, duże, włosy długie, gęste, rumieńce młodości na twarzy, a skórę białą, czystą. A przecież Zośka... Ano...

Czuła się bezsilną. Na stole leżały porozrzucone skrawki atlasu, aksamitu, druciki i nitki różnokolorowe. Leżały płatki i całe zrobione kwiaty i liście.

Usiadła przy stole i zaczęła zwiijać machinalnie lodygi, nawlekać, spajać i przymocowywać kwiaty.

Nie odrzuciła roboty ani do śniadania, ani do obiadu. Weszła Wojciechowa i pyta, czemu ona sobie obiadu nie ugotuje.

— Co? — pyta garbata.

— Kartofli czemu pani nie wstawi?

— Kartofli? Nie.

Ślusarzowa wzrusza ramionami i wychodzi.

„Garbata” zwiija liście. Migają w jej wprawnych rękach druciki i nitki. Pozieleniły jej się palce. Szczepia płatki, nawleka słupki, gładzi, prostuje, dmucha, co chwila bierze do rąk inne narzędzie.

Wieczór zapada. Zośka powinna już wrócić! Teraz nie sezon.

Wypada jej z rąk ostatni kwiat zrobionej róży. Patrzy na niebo ciemne zachmurzone, deszcz pada. Tworzą się cienkie włókna wody i ciągną od nieba do ziemi. Słychać grzmot oddalony.

„Zośka zmoknie. Parasola nie wzięła. Pewnie przeczeka deszcz w bramie” — myśli garbata.

Mrok zapada, a Zośki nie widać.

Powraca Antek do domu.

— Nie widziałeś Zośki? — pyta go.

— Co? Nie wróciła jeszcze?

Garbata patrzy na chłopca, a w oczach jej maluje się nie smutek a zdziwienie.

— A nie ma.

— Już późno — mówi Antek. — Pójdę do magazynu, dowiem się, czy jest tam.

Biegnie przez ulicę. Nie czuje deszczu, który mu wielkimi kroplami spływa po twarzy, po szyi, po rękach. Mija szeregi ulic. Staje przed znajomą kamienicą. Patrzy w okna: ciemno.

Brama zamknięta. Dzwoni.

Po chwili zgrzyta klacz w zamka. W bramie staje stróż.

— Czy z magazynu panny powychodziły?

— A co miały robić? — pyta stróż.

— Czy tu nie było takiego faceta w rękawiczkach?

Stróż się uśmiecha.

— A bo jeden?

— Powiedzcie mi, mój kochany...

— A ty brat może? — pyta stróż.

— Nie, nie brat.

— Et — macha ręką — co ty tam poradzisz? Idź do domu spać.

Antek stoi chwilę. Czuje, że wściekłość go ogarnia. Biegnie w stronę Wisły. Ale po co?

Zatrzymuje się przy ulicy Karowej. Patrzy w dół na rozciągające się u stóp jego Powiśle. Tłoczą się domy, wiją, rozbiegają się w różne strony i schodzą. Taka wielka moc domów, aż het, pod rzekę samą. Jedne wyższe, inne niższe, jak góry, pagórki i wzgórz. Między nimi doliny — ulice. Gdzieś miga żółtym światłem okienko, gdzie indziej czarnymi kwadratami znaczą się szeregi okien. Dalej parkany. Tu, ówdzie, pojedyncze drzewo wystrzela.

Antek nie wie, czemu ten widok go zajmuje.

Odwraca się. Za wąskim przesmykiem widzi światło jasne: tam Krakowskie Przedmieście.

Oczy jego mają ponury wyraz.

Znów patrzy na domy, które u stóp jego się ciągną w obie strony nieskończonym szeregiem.

Łzy napływają mu pod powieki.

— Więc to tak? — pyta. — A może ona wróciła?

Spieszy teraz bardziej jeszcze, jakby chciał nadrobić czas stracony.

Przed bramą widzi grupę osób...

— Co się stało? — pyta z niepokojem.

— Garbata się powiesiła.

— A jakże, odciepli: do szpitala ją zabrali.

— Było się czego wieszać — dodaje inna.

W mieszkaniu ślusarza ruch. Mężczyźni pojechali do szpitala. Kobiety rozprawiają żywo.

Przyszła kościarka — sąsiadka.

— Niby to ona taka święta — powiada.

— Nie gadalibyście lepiej.

Antek siada przy oknie.

„Biedna Zośka” — myśli sobie.

Wchodzi stolarzowa pijana, z dzieckiem przy piersi.

— Ja bym tam się wieszala — dowodzi. — Ja... ja mądra. Ja bym wiedziała, co robić.

Ja bym, psia krew, wzięła kolaka<sup>70</sup> w garść.

I pochwyciła ze stołu nóż. Dziecko zapłakało.

— Cicho, na, ssaj. Ja bym kolaka wzięła... Ale bym go zaprosiła do siebie naprzód.

O, zapłaciliby mi. Głupia garbata.

Włosy jej się rozpuściły i rudym kosmykiem opadły na barki.

— Tylko tak. Ty mnie, ja tobie. A co, może nie? No, niech kto zacznie ze mną.

I podniosła nóż do góry.

— No, niech zacznie. Jak to w zeszłym roku z Pawłem. Nazwał mnie pijaczką. A co?

Za twoje pieniądze, złodzieju, piję czy co? I widzicie, nie ja, ale on się wyniósł. Bo... Głupia Garbata. No co, może nie?

Antek patrzył na tę kobietę pijaną, z nożem w ręce i dzieckiem przy piersi, na jej włosy rozrzucone w nieładzie i szklisty wzrok, wsłuchiwał się nie w znaczenie wyrazów, ale w jej głos ochryply i przypomniał sobie matkę Mańki, swego ojca, Józka Bzika, tę dziewczynę z budy „czarnoksiężnika”, dzieci pod krypą, i znów rozpierać mu coś pierś zaczęło, i znów chciał uciekać, uciekać daleko, jak najdalej.

Choroba wróciła z większą jeszcze siłą.

Dokąd pójdzie?

Ba, czy to jeden Józiek Bzik jest na święcie?

<sup>70</sup>kolak — węgierski nóż składany. [przypis edytorski]

Nałożył swą mokrą marynarkę, czapkę na głowę i wyszedł.

Zaszedł nad Wisłę, osiadł na brzegu, na palu, patrzył. Błyskawica rozproszyła na chwilę zmrok, odbiła się kulą ognistą w rzece i znikła. A potem grzmot.

Deszcz ustawał. Zarumieniała się jutrznia. A on precz siedział. Chciał wstać i iść w drogę, gdziekolwiek, byle iść. Ale nie miał sił wstać z miejsca.

Słońce przedarło się przez chmury i skoczyło w wodę promieniami. I zadrgały iskry na Wiśle.

Zaludniła się rzeka. Wyjechały czółna po piasek. Dwie łodzie rybackie sunęły z białymi masztami, w które wiatr dął. Tratwa długa i wąska sunie po toni, kierowana równymi uderzeniami wiosł.

Czas iść po kurier.

— Nie pójdę — mówi sobie — niech się co chce dzieje.

W administracji nie wiadano, że zniknięcie jednego z chłopców roznoszących pismo ma związek z wiadomością o zamachu samobójczym jakiejś garbatej mieszkanki Powiśla.

Antek powziął postanowienie.

Wstał, przeszedł się po wybrzeżu, podniósł kamień, ukrył za pazuchą i podążył w stronę Śródmieścia.

Zatrzymał się przed sklepem z tapetami, rozejrzył się wokoło. I z całej siły rzucił kamień w szybę wystawową. Wpadł do przechodniego domu, stamtąd w boczną ulicę.

Przystanął na moście. Rozejrzył się: nikt na niego nie zwracał uwagi. Więc jest bezpieczny.

Uśmiechnął się. Oparty o żelazną barierę, przyglądał się przechodniom.

Szedł jakiś staruszek, bardzo ubogo ubrany. Spod kapelusza z szerokim rondem wymykały się srebrne włosy. Na ustach miał uśmiech ujmujący, w oczach łagodność.

Antek znał go z widzenia.

— Dzień dobry panu — szepnął.

Starzec zatrzymał się. Położył mu rękę na ramieniu i długo patrzył mu w oczy, wreszcie rzekł z przekonaniem.

— Masz duszę, chłopcze. Może mieć świat z ciebie pociechę. Chodź do mnie.

## XII. WARIAT

— Jak się nazywasz? — spytał starzec.

— Antek.

— Rodziców nie masz?

— Mam ojca.

— Pijak?

— Tak.

— Masz duszę, chłopcze, masz... Jeżeli nie znudzisz się u mnie, nie uciekniesz mi, to kto wie, może tobie przeznaczonym jest poprowadzić dalej moje dzieło... A ty wiesz, kto ja taki?

Antek zawahał się.

— No, no, mów śmiało. No... wariat jestem.

I roześmiał się. Przystanął. Znow głęboko wpatrzył się w oczy Antka i szepnął:

— Nie, nie myślę się. Ty masz duszę.

Szli, milcząc obok siebie. Antek był zaciekawiony, poznaje nową istotę, która wyróżnia się spośród znanych mu osób... Co ten mu przyniesie, dokąd ten chce go zaprowadzić?

Antek szedł za nim bez najmniejszego niepokoju i radości, jak człowiek, którego mało obchodzi, dokąd los go rzuci. Pragnął tylko mieć kogoś, iść z kimś, byle nie sam, tak strasznie, potwornie sam.

Starzec prowadził go przez wał praski, skręcił w ulicę Brukową, znow minął parę ulic poprzecznych i wszedł w podwórze, z podwórza na prawo w długi ciemny korytarz. Na końcu korytarza znajdowały się drzwi niskie. Starzec wprowadził Antka do swego pokoju.

W pokoju stało łóżko między drzwiami i oknem. Zakratowane okno wychodziło na niewielki zaułek podwórza. Przy łóżku stół, na stole kilkanaście flaszek z płynami, pudełek od lekarstw, podstawek z proszkami, szklanek i maszynka naftowa. Przy stole stała

Dusza

zamknięta niska szafka, na szafce książki stare, podarte, zakurzone. Środek pokoju zajmował fotel pokryty strzępami ceraty, spod której wylały sprężyny. Na podłodze, pod łóżkiem, na półkach, wszędzie moc książek, broszur i zapisanych zeszytów, wszystko pokryte warstwami kurzu. Na starych rocznikach pisma leżał bochenek chleba i miska; w kącie pokoju dzbanek gliniany bez ucha.

— No cóż? Biednie tu?... Poczekaj, jak mnie zrozumiesz, to zobaczysz, że tu są skarby, wielkie skarby... Widzisz ten fotel? Dostaniemy za ten grat dziesiątki i setki tysięcy rubli... Tylko nie dziś i nie jutro. Ale nie trzeba się zniechęcać... Widzisz, ja ciągle wierzę, i dlatego żyję, że wierzę. Tylko pracować trzeba i nie zniechęcać się... Widzisz, takich jak ty chłopaków miałem już kilku. Byli tydzień, dwa i uciekali... A ja teraz ciebie chcę wziąć; może ty nie uciekniesz ode mnie... Siadaj sobie na łóżku.

Sam siadł na fotelu i ciągnął dalej:

— I czy dziw, że dzieci nie mogą mnie zrozumieć, kiedy najwięksi ludzie na świecie... To jest nie najwięksi, a ci, których nazywają największymi, nie odpisują na moje listy... Ale ja się nie zniechęcam... Dziś znów wysłałem list do królowej Wiktorii<sup>71</sup>... Bo, powiedz sam, czy ja mogę tu pracować? Inni uczeni mają pracownię, mają pomoc w ludziach, mają środki... A ja nic... Ale ty nie wiesz, o co mi idzie. Poczekaj, zaraz ci sztukę pokażę.

Nalał do szklanki jakiegoś płynu przezroczystego.

— Widzisz? Masz, powąchaj. Nie ma zapachu, prawda? Teraz weź kroplę na palec i poliz językiem. Tylko ostrożnie. No co? Ani zapachu, ani smaku. Myślisz, że co to jest?

— Woda — odparł Antek.

— I wypiłbyś to, prawda?

— Wypiłbym.

— I otrulbyś się, bo to trucizna. Poczekaj: zaraz się przekonasz.

Wziął drugą butelkę i wlał do szklanki z płynem innego płynu. Utworzył się teraz w szklance ciemny osad, który płatkami pływał i opuszczał się na dno naczynia.

Starzec śmiał się i patrzył na Antka błyszczącymi oczami.

— No, jak ci się to podoba? Dwa płyny zupełnie przezroczyste dają w połączeniu osad... Jeżeli teraz płyn zlejesz z góry bez osadu, to możesz go pić, bo nie jest już trujący. Co, ładna sztuka?

— Ładna — odpowiedział chłopiec.

— A teraz słuchaj uważnie: widzisz, w duszy ludzkiej jest także trucizna. Rozumiesz? Samolubstwo, złość, wszystkie żądze i namiętności to trucizna duszy. Rozumiesz? Więc ja... chcę... znaleźć... taki... płyn... który... w... duszy... człowieka... wszystko... złe... osadzi... na... dno... całą... truciznę... duszy... na dno. Rozumiesz?

— Ale ta trucizna, chociaż na dnie, zostanie przecież?

— A właśnie, że nie zostanie. I to jest mój wynalazek. Ale widzę, że ty mnie rozumiesz, Antku. Czy ty rozumiesz, jakie to ważne byłoby odkrycie?

Starzec wstał. Jego postać wyniosła zarysowała się poważnie w półcieniu nędznej izdebki.

— Rozumiesz, Antku, co znaczy wydalić z duszy ludzkiej samolubstwo, wszystko, co podłe, wszystko, co nikczemne, wszystko, co nędzne? Wówczas... zostałoby... tylko... dobro. A w duszy każdego człowieka jest dobro. Jest, rozumiesz, jest! Tylko ludzie to dobro, które w ich duszy jest, usypiają paleniem tytoniu, pić wódki, tysięcznymi rozrywkami, tańcami, strojeniem się, żarciem, balami i lichu wie czym... Ale jeśli to złe wydalić, zostanie tylko dobro. Ludzie będą dobrzy, Antku. Rozumiesz? Ludzie będą się kochali, wszyscy ludzie, rozumiesz? Będą sobie braćmi, rozumiesz? Nie będzie samolubstwa ani podłości, rozumiesz, Antku?

W oczach starca-wariata świeciły łzy, na policzkach pomarszczonych zapłonęły rumieńce.

Antkowi serce mocno biło w piersi.

— A ty pytałeś mnie, jak usunąć ten osad zła? Powiedziałem ci, że to jest moje odkrycie. Właściwie to nie jest odkrycie jeszcze, ale przypuszczenie. Ale tu potrzebne są liczne doświadczenia, próby, potrzebne mi są pracowni, pomoc uczonych, odpowiednie

<sup>71</sup> *Wiktorii*, właśc. *Aleksandryna Wiktorii* (1819–1901) — królowa angielska (1837–1901) i cesarzowa Indii. Okres jej panowania jest nazywany epoką wiktoriańską. [przypis edytorski]



urządzenia, środki materialne — pieniądze. Ja w tych warunkach nie mogę pracować, ja dopiero zebrałem sobie materiały. A zbierałem je lat czterdzieści. I boję się, że umrę, i to wszystko zmarnieje, zginie... Zapisalem swoje zbiory i notatki Akademii Krakowskiej, ale oni powiedzą, że to notatki wariata i zniszczą to, spalą. Nie mam nikogo, kto by się zajął po mojej śmierci tą sprawą... O, Antku, jak ja boję się śmierci... Zostań ze mną, będziemy razem pracowali. Tyś dziecko jeszcze prawie, ja ciebie nauczę tego, co umiem. Ja niewiele umiem. Sam się uczyłem. Ojciec mój — chłop. Bił mnie, gdym brał się do książki. Uciekłem z domu, tułałem się. Nikt mi nie dopomógł. A jednak, widzisz, gdybym miał fundusze, byłbym największym w świecie człowiekiem.

Wyprostował się dumnie, aż głową pułapu dostawał, oparł rękę na ramieniu Antka. Antkowi serce mocno biło.

— Ty powiesz, może, Antku, że nie potrzeba żadnych płynów, że i tak, bez chemicznych sposobów, można wyrwać zło z duszy człowieka. Masz słusność. Jak ci powiem, na czym polega moje odkrycie, to zrozumiesz mnie lepiej... Masz słusność... Sama dusza pod wpływem bodźców duchowych oczyszcza się ze zła, jak ten płyn, który ci pokazałem, z trucizny. I może to zrobić wychowanie w dzieciństwie, a cierpienia w wieku starszym. Tak, ale kto ma wychowywać? Rodzice? A ich kto wychował? Tak, więc to zło z duszy rodziców sączy się w duszę dzieci. I widzisz, Antku, nie wszyscy cierpią tak, jak należy. Bo nie każde cierpienie oczyszcza duszę z trucizny; są takie, które bardziej ją jeszcze zatrują... A mój wynalazek zamieniłby od razu ludzi w aniołów. A tak, kto wie, ile wieków zło z dobrem, podłość z cnotą walczyć jeszcze będzie musiało. A tak kto wie, ile miliardów ofiar zabije podłość, nim cnota zwycięży wreszcie.

I łzy zaszklily się w oczach obłąkanego.

Pochwyił szybkim ruchem pustą flaszeczkę opuścił głowę i łzy mu do flaszeczki spływały, a on ją podsuwał na przemian do prawego i lewego oka, i zbierał łzy, i żadnej z nich nie uрониł na podłogę.

— Szesnaście łez — rzekł po chwili i roześmiał się.

Antek patrzył zdziwiony i boleśnie dotknięty.

„Wariat!” — pomyślał sobie.

Starzec spojrział na niego, myśl jego odgadł.

— Nie, nie wariat — rzekł poważnie. — Zaraz mnie zrozumiesz... Pytales mnie, jak zło osadzone w duszy rozpuścić i potem na zewnątrz wydalić. Otóż mnie się zdaje, że wiem: przez łzy. I zdaje mi się, że ta praca wydalania z duszy trucizny odbywa się sama przez się, bez pomocy tego płynu, który chcę wymyślić, odkryć, tylko że sama przez się odbywa się ona strasznie powoli. Widzisz, mnie się zdaje, że zło wychodzi z duszy *przez łzy*. Żeby to stwierdzić, potrzeba więcej nauki, niż ja posiadam, więcej pomocy, urządzeń, no i dziesiątków lat pracy. Ja zbierałem tylko materiały.

Wyjął z kieszeni kluczyk, otworzył niską szafkę i Antek ujrzał kilkanaście półek wypełnionych setkami maleńkich flaszeczek, poustawianych rzędem, zakorkowanych szczelnie, zalakowanych i opatrzonych numerami.

— Widzisz, Antku, to są wszystko łzy. Łzy najrozmaitszych ludzi, najrozmaitsze gatunki łez, od najczystszych łez dziecięcych do najciemniejszych łez zazdrości. Oto owoc mojej czterdziestoletniej pracy. Siedm tysięcy sześćset siedmdziesiąt pięć gatunków łez... Patrz, co za wspaniały materiał dla badaczy. Chciałbym jeszcze doczekać chwili, gdy stu uczonych pod moim kierownictwem weźmie się do badania tych łez... Pisałem listy do wszystkich milionerów świata, do wszystkich uczonych. I co chcesz? Nawet Pasteur<sup>72</sup> mi nie raczył odpowiedzieć. A przecież prosta grzeczność nakazywała odpisać. Jestem wariat? Doskonale. Ale i względem obłąkanych obowiązują przecież jakieś względy grzeczności. Zobaczę, co mi Wiktoria odpisze.

Usiadł wyczerpany i drżący i mówił dalej głosem skargi.

— Przecież tu nie idzie o drobiazg, ale o rzecz pierwszorzędną wagi. I pisałem im, że nie żądam żadnego wynagrodzenia, nawet sławy. Niech weźmie on i niech on się wslawi. Może nie chcą, by Polak rozgłosił swe imię po świecie całym. Więc niech będzie Anglik, Niemiec, mnie wszystko jedno... Przecież ja w to życie włożyłem.

<sup>72</sup>Pasteur, Ludwik (1822–1895) — fr. uczony, odkrywca mechanizmu procesu fermentacji. Wynalazca pasteryzacji, czyli sposobu oczyszczenia produktu spożywczego z bakterii bez pozbywania się witamin. Badacz chorób zakaźnych. [przypis edytorski]

Opuścił głowę na piersi, zadumany.

Antkowi mocno serce biło.

— Poczekaj, zaraz: przekonam cię, co tu pracy włożyłem.

Zbliżył się do szafki, wyjął flaszeczkę z numerem 745. Wziął gruby, obdarty zeszyt, poźółkły, zapisany drobnym, równym pismem i zaczął czytać:

„54 krople łez. Otrzymałem je od sąsiadki, szwaczki, lat 28. Są to łzy matki. Lekarz powiedział jej w szpitalu, że dziecię jej może ocalić od śmierci tylko wiejskie powietrze, dobre mleko, a przede wszystkim suche mieszkanie. Gdym wszedł do jej wilgotnej stacji, dziecię spało, ona płakała”.

— Teraz przyjrzyj się tej flaszeczce Nr 814.

„19 kropli łez od opuszczonej, uwiedzionej dziewczyny. Ma lat 17. Rodzice wyrzucili ją z domu. W łzach tych powinien się znajdować ból, zawiedzione nadzieje, żal do ludzi, współczucie dla dzieciny, której życie dała”.

Antkowi przyszło na myśl, że współczucie dla dziecka opuszczonego nie jest przecież trucizną duszy; ale nie chciał starcowi przerywać.

— Patrz, Nr 1015.

„Aresztanta prowadzono na stację. Odprowadzało go wielu ludzi. Skazany był za morderstwo na ciężkie roboty. Kiedy pozwolono mu się żegnać, zdjęto mu kajdany, całował się ze wszystkimi. A gdy pochwycił go w swe objęcia przyjaciel jego lat dziecinnych, zbrodniarz zapłakał. Zbliżyłem się z moją buteleczką. Roześmiał się i zawołał: »A i ty, wariacino, jesteś. No nie pożałuję ci łez«. I chociaż się śmiał — płakał. Ale łez nie liczyłem. Musi być ze czterdzieści”. Naczelnik oddziału, widząc, jak on mi łzy wplakiwał, również łzę uronił. Prosiłem, żeby mi do buteleczki napłakał, ale nie chciał: wstydił się widocznie”.

— Patrz, to znów łzy radości. Nr 4043.

„Ma lat 36, żonę i czworo dzieci. Wpadł w dług lichwiarski. Wystawiono mu na licytację warsztat cały. Gospodarz nasz, zacny człowiek, zapłacił za niego dług. Będzie mu się spłacał po 5 rubli miesięcznie. Rodzina ocalona. Gdym go odwiedził wieczorem, siedział na łóżku i szlochał. Prosiłem, żeby mi dał kilkanaście łez. Był tak szczęśliwy, że wariatowi nie chciał nawet odmówić przysługi”.

— A to łzy dziecka Nr 1126.

„Stolarzowa wmówiła w siebie, że dziecko, oddane swojego czasu »na mamki«, zamieniono jej. Nie wiem, skąd sobie uroiła, ale za nic nie chce wierzyć, że pięcioletni Jaś jest jej dzieckiem. Katuje dziecię, bije i głodzi. Dzisiaj pochwyciła rozpalony pogrzbacz i uderzyła dziecko trzykrotnie po nagich plecach. Gdym wziął Jasia do siebie, zapłakał dopiero. Zebrałem 34 łzy małego męczennika”.

— A to znów łzy zawiści. Jeden mam tylko podobny egzemplarz. I ten otrzymałem podstępem, Nr 794.

„32-letnia żona naszego rządcy płakała z zazdrości, że sąsiadka jej kupiła sobie pluszowy żakiet. Rozwścieczyła się, gdym ją prosił o łzy (byłem u męża jej, bo on interesuje się moim odkryciem). Dopiero, gdym obiecał, że zniszczę kwasem ten żakiet znenawidzonej sąsiadki, udobruchała się. Dała mi czternaście łez”.

— To znów łza dziecka. W ogóle, najwięcej mam łez dziecięcych. Bo dzieci najłatwiej mi łzy swe ofiarowują i najwięcej cierpią. I dlatego są one lepsze od starszych ludzi, i można je uczynić aniołami, gdyby się było tylko komu wziąć do wychowywania dzieci.

Machnął ręką.

Obląkany marzyciel i dziecko ulicy — zrozumieli się, przyłgnęli do siebie.

— Tak, Antku, ty możesz być szczęśliwszy ode mnie, bo ty masz już to, na co ja życie całe pracowałem. Ale musisz wziąć się do pracy, musisz uczyć się, aby więcej umieć ode mnie, aby mojemu odkryciu dać ściśle naukową podstawę. Cóż, zgadzasz się?

— Zgadzam — rzekł Antek.

— Więc daj rękę na zgodę i przyjaźń.

Przycisnął głowę Antka do piersi, Antek, sam, nie wiedząc czemu, rękę starca do ust przycisnął i... zapłakał.

Obląkany, jakby iskrą elektryczną tknięty, drgnął, wyjął z kieszeni buteleczkę i zawołał:

— Antku, bój się Boga, w buteleczkę płacz, a nie na ziemię.

I Antek śmiał się przez łzy, i teraz, zbierając słone krople łez do butelki, poczuł, że ma dla starca tyle życzliwości, ile jej nie miał jeszcze dla nikogo w życiu...

I zaczęła się nauka. Były to strzępy wiedzy z najrozmaitszych dziedzin, była to nauka, czerpana z najrozmaitszych źródeł, wypowiedana w formie pogawędek, które trwały długie godziny. Była to wiedza samouka czerpana z książek popularno-naukowych, z gazet, dzienników i tygodników, broszur i świstków, wiedza złożona z prawdy i fantazji, odzwierciadlająca się w umyśle chorym, zaprzątniętym jedną myślą górującą nad wszystkimi innymi: wydalenia za pomocą cudownego płynu zła z duszy ludzkiej.

Chłopca zajmowały rozmowy właśnie przez ten podkład poetyczny, przez to *coś* tajemniczego, koło czego krążyły ich rozmowy.

A potem długie godziny spędzał na pisaniu. O ile łatwo wchłaniał wszystkie wiadomości podawane mu przez niezwykłego opiekuna, o tyle pisanie było dlań pracą nad wyraz ciężką.

Ale starzec był nieubłagalny: żądał, by spadkobierca znakomitego odkrycia był wykształcony, uczony nawet.

A te długie wędrówki wspólne — po łzy.

Antek nie wierzył w tajemniczą własność łez, a jednak myśl o nich natrętnie go prześladowała. Gdy przypominał sobie dzieciństwo swe, zawsze dłużej zatrzymywał się myślą na tych momentach, gdy płakał. Gdy widział na ulicy przechodniów, pragnął wiedzieć, czy oni płakali często i w jakich warunkach łzy im z oczu płynęły. Gdy przypominał sobie postacie, z którymi się spotykał w swych tułaczkach po ulicy i zaułkach, zawsze myśl jego bezwiednie działała w tym kierunku.

— Szkoda, że nie mamy łez Maślارza, Bzika...

A starzec obłąkany nie wszystkie łzy uważał za godne swoich zbiorów. Szło mu o zebranie materiału niezwykłego, ciekawego. Gdy przyjeżdżał do Warszawy znakomity muzyk lub śpiewak, starzec składał mu wizytę, zostawał nieprzyjęty najczęściej, czasem wypadkowo<sup>73</sup> uzyskiwał posłuchanie, i wówczas, zamiast łez, otrzymywał mniejszy lub większy zasilek pieniężny.

— Ale to tylko pożyczka — mówił.

Notował sobie dokładny adres „wierzyciela”, zapisywał do książki nazwisko, jemu wydawał kwit z pieczętką: „pracownia chemiczno-psychiczna”, kupował w aptece najrozmaitsze zioła, które potem gotował na swojej maszynie naftowej, zamawiał nowy zapas butelek z małym dnem, szerokimi bokami w formie lejka i wąską szyjką. Reszta pieniędzy szła na chleb i kartofle. Sam nic więcej nie jadł, chyba że go poczęstowano, a znajomych miał wielu, i wielu lubiło jego opowiadania. Antkowi jednak nakazał żyć się lepiej.

— Tyś młody, tobie siły potrzebne, bo masz przejść to wszystko, com ja już przeszedł. Rozumiesz?

Poza tym pisywał prośby, trochę leczył, trochę radził i zarabiał kilka rubli miesięcznie. Więcej nie było mu potrzeba.

Antek znalazł przystań. Dobrze mu było teraz, lepiej niż kiedykolwiek w życiu.

Całe dni spędzał w małej izdebce wariata z książką w ręce. Nie uczył się, ale czytał, a czytał wszystko, co znalazł w mieszkaniu opiekuna swego, co dawano mu w czytelnicy.

Oderwał się od ulicy i bał jej się, bał się, że snem jest wszystko, co z nim się dzieje, że znów obudzi się w szulerni na ulicy Topiel, w sklepie z cygarami, w cukierni, w piwnicznej izbie Maślarza, pod krypą, pod murem domu, lub pode drzwiami fanciarki, którą mieli z Bzikiem zabić.

I dreszcz nim wstrząsał.

Mijały tygodnie i miesiące, a w ich cichym życiu nie zaszła zmiana.

Antek się rozwijał. Jeśli obserwował on życie i ludzi od bardzo dawna, to czynił to bezwiednie wówczas, odruchowo. Teraz począł uświadamiać sobie, czego on szuka, na co patrzy.

Między przeszłością jego i terażniejszością stała postać starca, obłąkanego marzyciela, który łzy zbierał, by je badaniu poddać i wykryć skład tych łez. W umyśle Antka układało się wszystko bezładnie, chaotycznie. Czasem, gdy w nocy, leżąc na sienniku rzuconym na podłogę, wpatrywał się w szafkę stanowiącą muzeum starca, zdawało mu się, że jakiś szept

<sup>73</sup>wypadkowo — dziś: przypadkowo. [przypis edytorski]

tam słyszy. Z początku przerażał go ten szept, potem przywykł do niego, ale zrozumieć go nie był w stanie.

Mijały tygodnie i miesiące, a w ich cichym życiu żadna nie zaszła zmiana. Życie Antka związane było z życiem starca-wariata, a starzec żył złudzeniem.

Dlaczego Antek nie uciekł od niego? Dlaczego nie pociągała go teraz ulica? Dlaczego on bał się nawet ulicy, która go wychowała, bał się nerwowo, silnie?

Gdy wczytał się w książkę, której treść przewyższała siły jego umysłu, gdy wsłuchał się w zawrotną mowę swego mistrza — ogarniało go przerażenie przed tym dawnym życiem, z którym nie zerwał jeszcze, które mogło znów go wciągnąć i wchłonąć.

Był to stan bolesny, maligniany, chorobliwy niemal. Antek przeczuwał, że musi nastąpić chwila przesilenia, i obawiał się jej całą duszą. Przyszłość stawała przed nim w kolorach ciemnych, niemal czarnych.

Co zrobi po śmierci swego chwilowego opiekuna?

Na to, by prowadzić dalej dzieło wariata, czuł się zbyt zdrowym umysłowo; na to, by je rzucić, czuł się za słaby.

Antek zaczął myśleć o przyszłości.

Więc nie był już dzieckiem, podczas kilkumiesięcznej nauki zatracił najbardziej charakterystyczny rys dzieci ulicy: nieopatrzność, owo: „Dziś do mnie należy, a co będzie jutro, zobaczę, gdy to jutro nastąpi”.

Dziecko ulicy, prawdziwe dziecko ulicy, nie zna wyrazu: jutro. Wszystkie jego czynności, wszystkie myśli skierowane są ku płynącemu: dziś. Zgodnie z tą zasadą, wydaje się *dziś* wszystkie pieniądze, które jutro mogą być na chleb dla dzieci potrzebne, zgodnie z tą zasadą, wydaje się *dziś* czyn, za który jutro odpowie się całym życiem.

„Myśmy wolni, mówi dziecko ulicy, bo nie boimy się ani nędzy, ani śmierci”.

Antek myślał o przyszłości. Antek już się się zmienił.

Jeśli w książkach jest kultura, to Antek się zaraził tą kulturą, obcą mu po dziś dzień.

I chłopiec, po raz pierwszy od lat całych, powrócił myślą do Zaruczaju, do Mańki, do pokoju z łóżkiem żelaznym, z bielizną czystą, z tą wielką salą pełną książek, z tym płótnem, na którym widział obrazy, które tak go wówczas wzburzyły.

Antek wyrwać się chciał tam, gdzie widział przyszłość swą, taką czy inną, ale zapewnioną, odciętą raz na zawsze od „ulicy”, która wytrzeszczała nań swe ślepie jakby z zapytaniem: „Kiedyż to, dziecię moje, powrócisz do mnie, matki twej, piastunki i wychowawczynie?”.

Zrazu nieświadomie myśl ta błędziła w jego głowie, ale coraz natrętniej go napastowała.

A starzec przykuwał go do siebie, miał prawo żądać od niego zapłaty za swą pracę, za opiekę nad nim. To go gniewało. Czuł, że obowiązkiem jego było mieć wdzięczność dla maniaaka, a nie zmienić się aż tak bardzo, by wdzięczność nie miała mu być wstrętnym ciężarem.

Bo dziecię ulicy nienawidzi tych, którzy za swe dobrodziejstwa żądają wdzięczności. Wykpić, zdobyć oszustwem lub kradzieżą, wyżebrać wreszcie, ale raz tylko, by później nie widzieć swego dobroczyńcy. Bo wdzięczność to ciężar nad siły dziecka ulicy.

Od chwili, kiedy Antek rozumiał jasno, że starzec ma prawo narzucić mu swą wolę w imię tego, co dlań uczynił — starzec stał mu się niemiłym i w myśli jego powstał projekt: uciec.

Myśl ta przyczepiła go się jak zmora, nie odstępowała go ani na chwilę. A jednak walczył z nią, nie poszedł za pierwszym podszeptem swej woli, swego chcenia.

Antek się zmienił.

Przerzucając podczas walki duchowej różne plany, zatrzymał się na dwóch: albo pod nieobecność starca podpalić jego izbę, aby i jego muzeum, i wszystko zniszczyć za sobą, aby nic go już nie wołało w te strony, albo powiedzieć mu, że chce iść, zażądać jego pozwolenia, aby on sam dał mu prawo zerwania obowiązku... wdzięczności.

Chciał wyjść stąd zupełnie czysty, bez skazy albo popełnić wielką podłość.

Antek niezupełnie się jeszcze zmienił.

A starzec miał baczne oko, znał on charakter dzieci ulicy, dzieci, które rodziły się, wyrastały, żyły w nędzy i opuszczeniu i umierały pod jego wzrokiem. Spostrzegł on, co

Przemiana

chłopcu odebrało humor i sen, co mu po nocach spać nie daje, co nie pozwala mu ani mówić swobodnie, ani śmiało w oczy mu spojrzeć.

Czekał: ludził się, że Antek zapłacze i spłynie z duszy jego część trucizny. Ale Antek nie płakał...

Cicho i smutno było w izdebce wariata. Tylko w szafie, stanowiącej muzeum jego, coś szeptało. A może to myszy szelest sprawiały.

Antek siedział nad zeszytem i pisał streszczenie przeczytanej książki. Właściwie, nie pisał, lecz siedział oparty i pióro trzymał w ręce.

Przed oczami jego przesuwiał się znów obraz Mańki. Czy ona wiele łez wylała od chwili, gdy się rozstali? Co ona tam robi? Co robi Jędrzek? Oni się wówczas już uczyli w spokoju, gdy on biegł za posyłkami w sklepie, nalewał „kropelki” w cukierni.

I w Antku wybuchła gwałtowna chęć prześcignięcia ich.

Starzec gotował na swej maszynie naftowej swoje proszki. Siedział zadumany na swoim ceratowym fotelu.

Przez drzwi, z korytarza, dobiegały przekleństwa wypowiedane głosem basowym, piackim. To kowal gromił swą żonę i dzieci.

W zaułku podwórza, przez szyby, widać było gromadę dzieci oblegających cuchnący ustęp. Tu było stałe miejsce ich zabawy; tu mogły robić, co chciały, niczyje oko ich nie śledziło. „Wariat się nie liczył, bo co on tam wie?”

— Antek — zaczął starzec.

Chłopiec drgnął.

— Jeżeli ci u mnie bardzo źle, to ja ciebie nie chcę zatrzymywać... Po co masz uciekać, powiedz mi lepiej. Co, chcesz iść?

— Tak — szepnął ledwie dosłyszalnym głosem.

— Kiedy, jutro?

Chłopiec skinął głową.

— Ano, trudno... Był tu u mnie przed tobą niejeden... Może znów znajdę kogoś... na dłużej. Bóg cię prowadź. A opowiadaj o mnie, opowiadaj o moim odkryciu. Może znajdzie się ktoś, co myśl moją podchwyci.

Tego wieczora nic więcej nie mówili do siebie.

Antek położył się i zasnąć nie mógł, bo w szafie tak głośnie grało.

Gdy pierwsze promienie słońca zabłyśły na niebie, Antek uniósł się na swym sienniku.

— Idziesz? — zapytał starzec.

— Idę.

— Chcesz mi powiedzieć, dokąd?

— Do Zaruczaju.

— Napisz do mnie, Antku; jeżeli ten hrabia jest rozsądnym człowiekiem, to może jemu zapiszę swoje zbiory, swoje materiały do studiów, notatki i szkice. Napiszesz?

— Napiszę.

Antek ubrał się. Kwietniowe słońce odbijało się o mur i przez zakurzone szyby zakratowanego okna sączyło się nikłym światłem do izdebki.

A w szafie grało.

— Do widzenia — rzekł Antek.

Starzec przycisnął go do nagiej piersi. Antek nie ucałował ręki jego na pożegnanie.

— A tu masz na drogę.

Chłopiec wziął woreczek i szybko wyszedł.

Starzec obłąkany załkał. Zerwał się z łóżka, stanął bosymi, cienkimi nogami na podłodze, sięgnął po buteleczkę pustą i siedział tak długo w koszuli opadającej mu z ramion, i zbierał łzy swoje...

„A jednak nie muszę ja być taki wariat, kiedy mu dobrze było ze mną przez rok cały” — myślał smutnie.

---

Antek przeszedł ciemny korytarz. Zatrzymał się i spojrzał na podwórze. Myśli łamały się w jego głowie.

Znów jest wolny i znów sam.

Nie, nie jest wolny. Tam, w izbie, starzec trzyma nic jakąś, która się za nim snuje. Tam, w szafce, są lzy jego.

Wychodzi na ulicę. A nic snuje się dalej.

Pędzi go dziś ta sama siła, która nim miota od tak dawna. Co to za siła?

Antek rozgląda się. Niby nic się nie zmieniło, a jednak wszystko wydaje mu się innym, niż było. Jakieś uczucia nieznanne pierś mu rozpierają. Pragnie wlecieć w górę ptakiem, w górę, aż pod obłoki. Chce uczynić coś bardzo wielkiego, jakieś odkrycie znakomite, chce jakąś budowlę wznieść, chce mówić do kogoś, kochać kogoś. Co to wszystko znaczy?

Doznaje uczucia, jakby się zbudził ze snu ciężkiego, z maligny ciężkiej, dręczącej, jakby teraz dopiero przejrzał, jakby w samo słońce patrzył.

— Dlaczego ten wariat chce świat uszczęśliwić, kiedy on i tak jest piękny, radosny?

Usiadł na samotnej ławce skweru.

Pojedzie tam, do hrabiego. Zobaczy Mańkę. Musiała się zmienić. A może umarła? Nie, czemu miała umierać? Żyje, urosła, musi umieć więcej od niego. A może uciekła? Ale dokąd by? Zobaczy ją, na pewno zobaczy, będzie z nią rozmawiał. Ona zdziwi się, że i on nie taki prostak... Biedny wariat. I jakże on, Antek, mógł mu wierzyć? Z początku sądził, że to wszystko prawda, że można złą z duszy ludzkiej wydalić za pomocą związków chemicznych. Śmieszny był... Tak, Mańka musiała urosnąć. Chyba jej tam dobrze było. Lepiej niż jemu... Zobaczy go, pozna, ucieszy się... Będą razem...

Antek marzył. Nic dziwnego: miał lat szesnaście. Natura związała marzenia z wiekiem młodzieńczym, a nie ze stanowiskiem społecznym... Gdybyśmy chcieli wsłuchać się w rojenia „dzieci ulicy”, nie byłyby one nam tak obce... To, co stary ślusarz fabryczny nazywał chorobą, to, co Zośkę pchnęło na drogę upadku, co Józka Bzika pędziło do Ameryki w nieznanne światy — to był głód wrażeń zbudzonej duszy, która wzlotów pożąda, do podniebia dąży, na szczyty pędzi. Byle ręka bratnia, byle serce życzliwe, umysł kierujący, a w duszę zbudzoną kłaść skarby uczuć i myśli można.

Antek marzył. Przed oczami jego przesuwały się obrazy coraz piękniejsze. Skąd się to brało, nie wiedział. Widział i dawniej coś podobnego. Czasem, podczas czytania, zamykał oczy i widział wyraźnie osoby, o których czytał, ale dziś inaczej jest jakoś.

Był tak spokojny, a pełen uniesień, pewien siebie, a pełen oczekiwania, wesoły, a zadumany.

Biedny ten wariat pocziwy. Może hrabia weźmie go do siebie? Niechby sobie zajął jeden pokój i pitrasił do końca życia.

Antek wstał i poszedł na dworzec. Długo przeglądał nazwy stacji, nim przypomniał sobie nazwę tej, od której droga prowadziła do Zarucza.

Pociąg odchodził za dwie godziny.

Antek szedł plantem, między szynami. Widział nad sobą wielki kawał nieba, wokoło wielką przestrzeń. A jednak i tu odczuwał ścieśnienie. Pamięta, jak ciasno mu było w tych sklepach, gdzie służył jako chłopiec na posyłki. Ale tam był sklep duszny, zakurzony, a tu jest pole szerokie.

Oto drzewo rośnie przy drodze. Schodzi z nasypu, siada pod drzewem na kamieniu. Po chwili pociąg przelatuje.

Antek przypomina sobie, że kiedyś widział coś bardzo podobnego. Kiedy to było?

I wówczas pociąg biegł, a on z dołu przyglądał się. To było wieczorem. Tak, wieczorem. Okna wagonów były oświetlone.

Dreszcz nim wstrząsnął. Wie już. Po spotkaniu się z ojcem, biegł do Józka Bzika wtedy, do karczmy na szosie.

I to, co w myśli jego tkwiło jako maligniane, ciężkie wspomnienie, stanęło mu przed oczami wyraźnie.

Maślarz, dzieci pod krypą, ojciec Maślarza w piwnicy, szulernia, fanciarka. Jak żdźbło piasku i liście zeschnięte, pędzone wiatrem, zaczęły tańczyć przed nim wszystkie postacie, które widział. „Chwyciło go”.

Powstał z kamienia i szedł szybko. Wracił w stronę miasta. Chciał wyjechać natychmiast, bo czuł, że go ciągnie ta „siła” do piwnicy Maślarza, do Bzika, do szynku, pod krypę. Czuł, że jeśli teraz na krok oddali się od dworca, jeśli jeden kieliszek wódki wypije, to już nigdy Mańki nie zobaczy, to pozostanie tu na zawsze.

Bał się, bo czuł, że siła, która go pcha, mocniejsza jest stokroć od nici, którą związany jest z Zaruczem, tam, i izbą wariata, tu, na Pradze. Chodził szybko i głośno stąpał po podkładach, bo chciał zagłuszyć swe myśli i strach.

— Jezus, Maria! — szeptał — ratuj, ratujcie!

W skroniach krew mu biła. Co serce głośno uderzy, to w moment później puknie w skroniach i gorąca fala mózg zalewa.

— Jezus, Maria! ratujcie mnie!

Już stoi na peronie, jedna sala dzieli go od ulicy. Czy przejść tę salę, czy zostać? Zatrzymał się przed drzwiami i patrzył. Tam, za rzędem dorożek, widnieje szyld: „Sprzedaż wódek”. Iść tam, czy nie?

Nagle tragarz odpycha go na bok.

— Nie stać na drodze!

Odsuwa się. Obok niego przechodzi konduktor.

— Panie konduktorze, mogę bez biletu?

— Dokąd?

Wymienia nazwę stacji.

— Idź do służbowego.

— Gdzie?

— Ostatni. Tylko tamtą stroną.

Antek przeskakuje przez wagon. Zachodzi od strony przeciwnej.

A! nareszcie. Odetchnął. Jeszcze drżał ze strachu.

— Boże, jakie to straszne było! — szepce.

Pierwszy, drugi, trzeci dzwonek.

Jadą.

Konduktor wchodzi. Zaczynają rozmawiać.

— Do rodziców jedziesz?

— Tak.

— W terminie jesteś?

— Tak.

— Ile masz do wyzwolenia?

— Dwa lata.

— I puścili cię?

— Matka chora.

— U stolarza?

— Nie, szewca.

Antek kłamał, czynił to prawie bezwiednie. Tak mu odpowiedzi same się tworzyły.

— Może już matka umarła?

— A może.

— A braci, siostry masz?

— Pięcioro.

— No, siedź tu, tylko się nie wychylaj. Rozumiesz?

— Rozumiem.

Antek wdzięczny jest konduktorowi, że się nim zajmuje, że wypytuje go, że opiekę nad nim roztacza.

W głosie konduktora brzmi nuta życzliwości.

### XIII. MAŃKA

Co przez lat cztery, podczas których Antek wałęsał się po ulicach Warszawy, walczył, rozwijał się, słuchał i patrzył w życie — co porabiała Mańka?

Pozostawiliśmy ją w pałacu zaruckim wpatrzoną w jasne koło płótna, na którym przesunęły się przed jej oczami obrazy zła i dobra.

Nie mylił się wówczas Antek, gdy mówił, że to „trajlowanie” musiało wyrzucić na niej wielkie wrażenie. Tak jest. Mańka w jednym z dzieci opuszczonych poznała siebie, w tańczącej pijaczce matkę swoją, poznała i opiekuna swego — ojca Antkowego — i wiele innych postaci. I strach ją ogarnął, i ból silny wstrząsnął jej dziecięcą pierśią, bo zrozumiała, jak bardzo pogardzają tu światem, z którego ona przyszła, w którym żyła.

Milcząc, powróciła do swego pokoju, rzuciła się na łóżko, ukryła twarz w poduszkę. Nie płakała, ale wiele myślała.

Po co ją wzięli, po co ją tu przywieźli?

Byłaby sobie sprzedawała kwiaty z Antkiem, a potem, gdyby już Antek od niej odszedł, byłaby się powiesiła... jak Staśka. A tak... Antek gniewa się na nią — i za co? Co ona mu złego zrobiła? Że się ubrała w czystą sukienkę? Myślała, że go ucieszy. Szelma jest Antek, jak oni wszyscy. A mało się ona napatrzyła, może nie wie? Jak Bolkowa kochała swego męża, pracowała na niego, a on tylko papierosy palił i chodził z wizytami; a może on jej kiedy dobre słowo powiedział, co? Wszystkiego mu było za mało. Pieniądzy chciał, a skąd ona weźmie, wszystko mu było jedno. Z kolegami pijatyki urządzał, jeszcze ją bił. Wszyscy oni tacy. I nagle przyszło Mańce na myśl, że i ona pozwoliłaby się także poniewierać przez Antka, byle jej nie rzucał, byle jej nie zostawiał samej. Bo ci... ci „państwo” muszą ją strasznie nienawidzić i tylko z początku są pewnie tacy dobrzy.

Gdyby żył jej ojciec, gdyby matka nie była pijaczką, mogłaby sobie razem z nimi być, jak tyle dzieci.

Wszystko przez matkę, wszystko przez nią.

Zacisnęła ręce.

Uniosła głowę i spojrzała na krzyż zawieszony nad łóżkiem. Wpatrywała się uporczywie w twarz Ukrzyżowanego, w Jego pochyloną głowę, w oczy, o których trudno było powiedzieć, czy są zamknięte, czy też otwarte. A taki wielki smutek bił z tej twarzy.

Mańka chciała się nad kimś litować, chciała widzieć kogoś nieszczęśliwego, kogoś, kto cierpi, bo bezmiar uczuć żalu, czuła w sobie. Rozejrzała się trwożliwie, uklękła i złożyła pocałunek na stopach Chrystusa.

— Tobie jest źle, prawda? — pytała. — Ciebie boli, prawda? Dlaczego Ciebie tak dręczą? Ty mnie kochasz, prawda? Ty będziesz dobry dla mnie, Ty mi nie pozwolisz źle robić?

Tę rozmowę przerwało jej raptowne wejście Ireny.

Dziewczynka zmieszana się.

— Dobrze, dziecię moje — zaczęła Irena.

— Co „dobrze?” Ja nic nie robiłam.

— Dlaczego kłamiesz, Maniu, to źle. Dlaczego wstydzisz się swoich uczuć szlachetnych?

Mańka zmarszczyła brwi.

— Ja nie kłamię wcale.

— Czemu uklękłaś?

— Bo chciałam... bo myślałam, że po ścianie pluskwa chodzi.

Zdumiała się hrabianka.

— Maniu, ty nie chcesz mi prawdy mówić?

— Ja mówię prawdę.

Irena sądziła, że tak prędko zyska sobie miłość i zaufanie krzywdzonego tylekroć, poniewieranego dziecka ulicy. Bajeczkę jej powiedziała, kilka słów rzuciła w duszę chorą i chciała widzieć plony.

Wysła zniechęcona.

Wiadomość o wyjeździe Antka jeszcze bardziej oddaliła dziewczynkę od jej opiekunów.

Dlaczego nic jej nie powiedzieli? Ona chce wrócić z Antkiem do Warszawy. Dlaczego Antek nie pożegnał się z nią? Ona nie chce tu być sama.

Mańka nie była tak odważna jak Antek, nie mogła się zdobyć na powiedzenie swym opiekunom prawdy, na powierzenie im swych myśli i uczuć. Zacięła się w sobie i postanowiła milczeć. Za słaba się czuła, by otwartą walkę im wypowiedzieć.

Była samotna, opuszczona, nieszczęśliwa.

Na próżno hrabianka kołatała do jej serca. Na próżno pragnęła wmówić w siebie, że kocha to dziecię, które brat powierzył jej opiece. Ustępowała wobec fantazji brata, obawiając się, by on znów nie zachorował, by nie wyrwał się po raz wtóry i nie poszedł w świat, aby powrócić jeszcze bardziej złamanym.

A Mańka zrozumiała to, zgadywała myśli Ireny, dosłyszała w jej słowach rozdźwięku i za obtudę płaciła niechęcią.

Cierpienie



Hrabia pojechał do Warszawy po Jędrka.

Mańka przyjęła chłopca obojętnie. Ten dziewięcioletni mizerny chłopczyzna, z wielkimi gorączkowo palącymi się oczami, z bezkrwistymi wargami, wielką głową i drobnymi rękami, przypominał jej ciągle Antka zwinnego, silnego Antka-opiekuna. I żał miała do chłopczyzny, że miejsce Antka zajął.

Jędrzek wziął się do nauki, do czytania. Godzinami całymi pragnął słuchać hrabiego, Ireny, lekarza. Mówili oni jeszcze piękniej niż Suchy Felek na swej krypie.

Hrabianka zaczęła uczyć Mańkę. Nauka szła bardzo tępo, lekcje były dla niej długie i nudne. Powtarzać ciągle jakieś znaczki, których się nie rozumie, być bezustannie poprawianą.

— Nie, Maniu, powtórz jeszcze raz. Uważaj, nie myl się.

Mańce krew napływała do skroni. Często umyślnie myliła się i czyniła to tak, by hrabianka wiedziała, że ona to czyni naumyślnie.

— Dlaczego ty mi na złość robisz, Maniu?

— Ja nie robię na złość.

— Ty możesz przeczytać ten wyraz.

— Nie mogę.

Hrabianka wzdychała, Mańka się uśmiechała i całą siłą powstrzymywała się, aby nie wybuchnąć płaczem.

Opiekunowie dziewczynki nie byli w stanie jej zrozumieć. Czuli, że w dziecku jest dusza, przeczuwali jej głębię, a nie mogli się w nią wkraść. Gdy Mańka w nocy leżała czasem z szeroko otwartymi oczami, wpatrzonymi w przestrzeń, oni widzieli, że w oczach tych kryje się wiele treści, ale odczytać nic nie mogli, a gdy hrabianka wchodziła do jej pokoju, ona zamykała powieki, udawała, że śpi i nie odpowiadała na żadne zapytania, nie wzruszała się przemowami Ireny.

Bo jej serce zdobyć można było tylko szczerą, bezinteresowną miłością, nie miłością wypływającą z poczucia obowiązku, z ukochania idei jakiejś.

Nikt w domu nie wiedział, że Mańka najwięcej życzliwości czuła dla starego Grzegorza.

— Jak panu na imię? — zapytała go raz.

— Grzegorz — odpowiedział stary sługa.

— Grzegorz? — zapytała Mańka.

Tak się jej ojciec nazywał.

I nie zadawała mu więcej żadnego pytania, ale wpatrywała się w jego postać innym wzrokiem, niż na wszystkich patrzała.

Nic się nie zmieniło przez całą jesień i zimę. Mańka nauczyła się czytać, ale poza lekcją z Ireną, nie czytywała. Siedziała przy oknie najczęściej, wpatrzona w śnieg biały, cicha, milcząca.

Z wiosną hrabia zajął się gorączkowo swoim majątkiem i nie tylko swoim. Odbывał długie narady z sąsiadami, a owocem licznych zjazdów i rozpraw było to, że hrabia postanowił założyć w majątku swoim szpital, pozakładać w kilkunastu sąsiednich majątkach ochrony i szkółki, zaprowadzić melioracje. W swoim majątku począł budować wielki gmach szkoły rzemieślniczej z muzeum etnograficznym, z czytelnią, salą zabaw.

Zjechali się architekci i rzemieślnicy. Przyjechał korespondent jednego z większych dzienników. W pałacu nastąpił ruch, zawrzało życie. Hrabia pragnął rozpocząć działalność na wielką skalę, miał ogromny majątek, miał środki po temu. To też wszystkie projekty jego z błyskawiczną szybkością wcielały się w czyn.

Korespondencja z władzami, narady, sprowadzanie rzemieślników i robotników, budowanie dla nich baraków — myśli hrabiego, skierowane dotychczas w jeden punkt, teraz rozproszyły się w wielu kierunkach.

Mańka czuła się swobodniejszą. Rozejrzała się w życiu nowym, pokochała nawet swoją samotność, opuszczenie i myśli. Nie lubiła książek. Było w nich wiele rzeczy, których nie rozumiała, wiele rzeczy, które jej nie obchodziły, i wiele kłamstw. Podsuwano jej powiastki o biednych dzieciach i dobroczynnych opiekunach, dziewczynka szukała ich w pamięci i nie znajdowała.

Owszem, mieszkała w ich domu jedna kobieta. Mąż jej był pijakiem nałogowym, ona zajmowała się praniem rękawiczek. Miała sześcioro dzieci. Pewnego razu zjawiła się do niej „pani baronowa w wielkim kapeluszu z piórami”, poradziła jej, aby mężowi odnajęła

Spolecznik

gdzie indziej pokój. Kobieta ta tak zrobiła. I „pani baronowa” zaczęła jej prośby pisać do rozmaitych litościwych osób, dawała jej adresy rozmaitych dobroczynnych towarzystw. I zaczęło się chodzenie i jeżdżenie do niej. Zajechała kareta, wyszedł lokaj, zaniósł na tacy pięć albo dziesięć rubli. Kobieta z dziećmi wybiegła dziękować, wówczas pani albo panienka z karety całowała dzieci, dawała im jeszcze po rublu, czasem cukierki albo zabawki. „Pani baronowa w kapeluszu z piórami” brała połowę, a połowę ta niby opuszczona przez męża. I przestała pracować, dzieci chodziły latem „w bucikach”, dumne były. Na całej Wiślanej ulicy nikt na Wielkanoc nie miał ani prosiaka, ani indyczki, tylko ona miała. A mąż jeszcze bardziej się upijał. Potem jakiś pan zaczął przychodzić do niej. A te dzieci, jak się rozpuściły, jak nauczyły się skomleć tylko „lizać po łapach”... Fe!

Mańka nie lubiła powiastek. Wolała ona sama tworzyć. Mańka zaczęła pisać powieść, już miała plan gotowy. Opisać chciała siebie: że jest córką hrabiego, że Antka spotyka raz na ulicy i wychodzi za niego za mąż, że potem jest wojna, Antek zostaje zabity, a ona idzie za nim, zastępuje go, prowadzi wojsko, zwycięża i umiera.

Historia z jej niezwykłymi przygodami, wojnami, królami, zwycięstwem i śmiercią najsilniej przemawiała do wyobraźni dziewczynki.

I to była druga nić, która ją z Grzegorzem wiązała.

Gdy wieczorem mogła wyrwać się na godzinę do izdebki Grzegorza, była szczęśliwa. Siadała mu na kolanach, oplatała rękami jego szyję i słuchała, i sama mu opowiadała o Antku, o sobie, o ojcu swoim.

— Mój ojciec także był Grzegorz. Taki był dobry. Ja go prawie wcale nie pamiętam, ale wiem, że był dobry. Wie dziaduś (Grzegorz kazał się „dziadusiem” nazywać), gdyby ojciec mój żył, toby zupełnie było inaczej. Jak mnie raz matka zbiła, to on mnie wziął, poszedł ze mną na spacer, kupił mi pierników. Ale więcej nic nie pamiętam. Tylko im niech „dziaduś” nic nie mówi: bo, wie „dziaduś”, ja ich nie lubię. Ja nikogo nie lubię.

Grzegorz słuchał szczebiotu dziecka, niespokojnie poruszał węsami. Łza mu często błyskała w oku, nie spływała na policzki, ale i nie osychała. — Może o swym życiu smutnym myślał?

Wiedziała hrabianka Irena o wizytach Mańki u starego Grzegorza, próbowała poznać treść ich rozmów, ale stary okazał się niewzruszonym.

— Że ja dziecku nic złego nie powiem, to jasna panienka chyba sama rozumie, a co mówimy, to już niech między nami zostanie.

Najwcześniej zaczął działać na wsi żłobek i ochronka. Był to parterowy budynek murowany, z sześciu pokoi złożony, zaopatrzone we wszystko, co przewidują zasady higieny i pedagogiki, a co za pieniądze, których hrabia nie miał potrzeby żałować, kupić było można.

Dziewczynka teraz dopiero czuła się szczęśliwą. Zarządzała ochroną i żłobkiem nauczycielka z matką. Mańka im pomagała. Podziw wzbudzała ta dziesięcioletnia dziewczynka swoją dzielnością. Nowa praca odpowiadała jej upodobaniom, a kierowniczkę pracy podobały jej się bardzo. Dnie całe, prócz dwóch godzin nauki, spędzała w żłobku wśród dzieci. Tu była łagodna, uległa, troskliwa, posłuszna. Roboty najmniej miłe spełniała z uśmiechem na ustach.

Ale stosunek jej do „państwa” niewielkiej uległ zmianie. Okazywała im wiele szacunku, postępowała z rozwagą.

Czemu hrabianka Irena nie była z niej zadowolona? Czemu w głębi jej serca krył się żal, że dziewczynka uśmiechy i pocałunki ma dla innych, dla innych ma wesołość, rozmowy, zwierzenia, a dla niej tylko spokojny szacunek?

Zastanawiała się nad tym zagadnieniem długo i doszła do wniosku, który dziewczynkę zupełnie rozgrzeszył, a ją winą obciążył.

„Tak — myślała z gorąco — teraz rozumiem, gdzie tkwił błąd w moim postępowaniu. Ja chciałam oszukać Mańkę, chciałam wziąć od niej z lichwą zapłatę za to, co jej dawałam”.

Dziwny to był wniosek, niezwykła jego formuła: „jestem lichwiarką filantropijną”.

A jednak lichwa w filantropii — to zjawisko codzienne, to prąd czasu popierany przez dziesiątki pism, powieści, artykułów. Lichwiarska jest owa chęć kupienia sobie całej duszy nędzarza — za okrucy, rzucane mu w ponizaniu go, to wymaganie wdzięczności, samolubne, gorszące, brudne. Jeśli dobrze czynię, to nie dlatego, by odebrać zapłatę w postaci wdzięczności, ale dlatego, by to dobro innemu oddane było. Mańka przytułek i strawę

Praca u podstaw,  
Społecznik

odbierała we dworze, ale dług zaciągnięty spłacała z olbrzymim procentem w żłobku, w ochronie. Część jej serca otrzymał posiwiący, opuszczony Grzegorz, resztę otrzymały dzieci.

Mańka nic nie była winna hrabiemu i hrabiance, bo nie *pożyczała* nic od nich, a *otrzymywała na własność*, a własności swej nie trwonila.

Zaledwie uświadomiła sobie Irena tę prawdę, zmienił się jej sposób zapatrywania na wiele rzeczy, zmienił się jej stosunek do Mańki.

Gdy myślała teraz o szpitalu i szkołach, które otwierała z bratem, widziała nie dzień, w którym nastąpi uroczyste poświęcenie budowli przy udziale duchowieństwa, licznych obywateli i gości zaproszonych z Warszawy, ale dzień, kiedy pierwsze promienie wystrzelą z nowego gmachu na strzechy wieśniacze, na okolicę, kto wie, może na kraj cały. Może drgną inne serca, może wytworzy się prąd silny, rwący, prąd uspołeczniania mas ludowych.

Irena czuła się szlachetniejszą, weselszą. Mańkę uważała nie za istotę, której łaskę wyświadczyła, a tym samym kupiła ją sobie, pęta niewoli moralnej na nią włożyła, ale za towarzyszkę pracy.

W rozmowaniach swoich zbliżyła się bardzo do przekonań wariata-marzyciela z Pragi.

Poczęła traktować Mańkę nie jako przedmiot, na który splywa jej dobrodziejstwo, ale jako istotę, która ma z nią i po niej pracować.

I zdziwiła się bezgranicznie, gdy zauważyła, że Mańka od razu, bez wyjaśnień i tłumaczeń, ją zrozumiała, zwróciła się do niej i serce jej swe otworzyła. Więc od razu otrzymała tę życzliwość, o którą daremnie poprzednio walczyła. Dziwne!

W zeszycie, w którym spisywała Irena swe spostrzeżenia i uwagi, dodała takie zdanie: „Najtrudniejszą sztuką jest świadczyć ludziom dobrze. Kto dobrze czyni, spełnia powinność swoją. Kto żąda wdzięczności, zawsze niewdzięczność otrzyma i niechęć; będzie się wiecznie rozczarowywał. Dobro winno być bezinteresowne, powinno władną<sup>74</sup> siłą odśrodkową. Nie znałam prawdy tej po dziś dzień”.

W tym duchu przemawiała hrabianka podczas wieczery, uroczystości, podczas poświęcania wszystkich zakładów otwartych w szerokim promieniu okolicy.

Mańka była obecna, słuchała ze skupieniem, starała się zrozumieć i zapamiętać każdy wyraz z przemowy hrabianki.

A gdy wieczorem, znużona tyłoma nowymi wrażeniami, kładła się do łóżka hrabianka Irena, po raz pierwszy zaszła do jej pokoju Mańka.

— Chcesz mi coś powiedzieć? — zapytała Irena.

— Tak — odpowiedziała z mocą dziewczynka.

— Co powiesz mi, dziecko?

— Chcę pani powiedzieć, że tak jest właśnie, jak pani mówiła. Ja już od dawna wiedziałam, że pani tak myśli.

— A jak ja myślę? — zapytała, obejmując ją i przyciągając ku sobie.

— Że jeżeli pani robi komu coś dobrego, to nie dlatego, żeby pani dziękowali i po rękach całowali, ale żeby ten, któremu pani coś dobrego zrobiła, znowu dwom innym dobrego coś uczynił, a ci dwaj czterem i tak dalej.

Irena posadziła dziewczynkę na kolanach i złożyła na jej czole pierwszy, serdeczny pocałunek.

— A dlaczego ty mi dawniej tego nie powiedziałaś?

— Bo nie lubiłam pani.

— A dlaczego mnie nie lubiłaś?

— Bo pani chciała, żebym panią lubiła.

— A czy w tym było coś złego?

— Tak, bo pani chciała, żebym panią lubiła nie tak sobie, za nic, ale za to, że pani mi jeść daje z łaski.

— Ależ nie, ty pracujesz.

— Ja wiem, że teraz tak nie jest, ale dawniej... A my tego okropnie nie lubimy, bo u nas nie ma żadnych podziękowań i wdzięczności. A „państwo” to zaraz chcą, żeby ich

<sup>74</sup>władnąć (daw.) — dziś popr.: władać. [przypis edytorski]

„lizać” za wszystko. I dlatego nikt porządny żadnej „łaski” nie chce, a jak musi przyjąć, to jest zły.

— Masz słuszość, Maniu — szepnęła w zadumie Irena. — I właśnie wy dobrze robicie. Tak właśnie być powinno... A powiedz teraz, Maniu, czy ci tu dobrze?

— Jak w raj — szepnęła Mańka, patrząc jej w oczy.

— A czy ty się nie za bardzo męczysz w żłobku?

— O nie, ja to lubię.

— A powiedz, Maniu, czy ciebie nauka nudzi?

— Nie, ja bym chciała dużo umieć i dużo wiedzieć, tylko nie lubię się uczyć.

— Dlaczego?

— Bo co mnie tam obchodzi, czy „woda” jest rzeczownik czy podmiot? Ja wiem, że woda jest do picia i już.

— No tak, masz słuszość. A to jest ważne jednak.

— A czy ludzie od tego lepszymi się stają?

Irena nie umiała odpowiedzieć na to pytanie.

Na pożegnanie Mańka ucałowała Irenę. I ten pocałunek dziecka szczerzy, nieządany, sprawił Irenie więcej rozkoszy niż wszystkie hymny, które słyszała z ust dziennikarzy i sąsiadów.

Mańka pracowała, Jędręka uczył. Pochłaniał on z gorączkową niecierpliwością nauki, sam proces uczenia się sprawiał mu niewysłowione zadowolenie. Często długo w noc siadywał nad atlasem, odczytywał dziesiątki nazw miejscowości, powtarzał je, starał się spamiętać. Chciał wszystko wiedzieć. A gdy kładł się wieczorem na spoczynek, wirowały mu w mózgu te nazwy, powtarzał je znów wiele razy. Od razu zerwał z przeszłością. Nie myślał o swej rodzinie, o ojcu z miotłą w ręce, matce przy balii i rodzeństwie. A jeśli przychodzili mu na myśl, nie miał dla nich ani jednego silniejszego uderzenia serca, ani jednej łzy. Ale tak było tylko z początku.

Jędręka urodził się jak gdyby dla książki, Mańka — dla ludzi.

Ale chłopiec był chory. Często kaszel suchy wstrząsał jego piersią, gorące rumieńce uderzały mu na policzki i wówczas czuł ból dolegliwy.

Przez długi czas ukrywał swe cierpienia, a bez trudności mu to przychodziło, bo hrabia mniej miał teraz czasu, zajęty tyloma instytucjami, którym dał życie.

Ruch panował we dworze nieustanny. Zbierano się codziennie dla omówienia tylu spraw ważnych, zaradzenia trudnościom, które się piętrzyły, rozszerzenia lub ulepszenia tego, co jeszcze nie weszło na drogę właściwą.

Lud nie wszystko witał z jednakowym zadowoleniem i sympatią. O ile ogrodnik, szkółki jego, pogadanki o roli, żywe budziły zaciekawienie, o ile żłobek podczas żniw zwłaszcza chętnie bywał zapełniany niemowlętami, o tyle szkoła rzemiosł mniejszą cieszyła się popularnością.

Aby pusty gmach szkoły rzemiosł zapełnić, należało udać się do Warszawy po dzieci; hrabia bronił się zrazu, bał się nowych zawikłań, obawiał się dzieci ulicy, bo poznał, że trudna z nimi praca. Ale nie było innej rady. Wysłał więc nauczycieli swoich — rzemieślników — do miasta. Zaludniła się szkoła. Obawy okazały się płonne. Dzieci w otoczeniu natury poprawiały się na zdrowiu, korzystały wiele, okazywały wpływ dobry na otoczenie. Pod ich wpływem dzieci wiejskie nabierały więcej zręczności, sprytu, ci znów brali ze swych towarzyszy wzór pracowitości i tego zdrowego rozumu, który cechuje dzieci wsi. Jedne znały naturę, drugie ludzi.

Spokojnym trybem płynęło życie. Każda z nowych instytucji przynosiła swoje korzyści, miała swoje dobre strony. W okolicy zaznaczyło się pewne ożywienie. Już projektowano wspólnymi siłami przeprowadzić kolejkę podjazdową.

Mańka i Jędręka przestali być osią, około której koncentrowały się myśli hrabiego. A jednak myśl jego, by z obserwacji nad dwojgiem dzieci wyprowadzić wnioski, ile działań może zmiana warunków i odpowiednia opieka w wychowaniu dziecka, nabierała cech rzeczywistości. Dziś już mógł twierdzić stanowczo, że wśród „dzieci ulicy” są materiały na cennych ludzi, byle opieka nad nimi istniała. Mańka rozwijała się uroczo w korzystnych warunkach życia, jakie jej stworzono, ale Jędręka słabł coraz bardziej. W suterynie wilgotnej zakradł się do słabego jego organizmu zły wróg, który go trawił, toczył przez

Praca u podstaw

całe lat trzy, aż go na łóżko powalili i śmierć w oczy mu zajrzała. Jędrkowi z rąk wypadła książka, źrenice mu się zamgliły, na ustach pokazała się krew.

Przez całą zimę nie opuszczał łóżka. Mańka żal czuła do siebie, że nie okazywała mu życzliwości i pragnęła teraz wynagrodzić choremu swą obojętnością. Czytywała mu całymi godzinami, a Jędrzek z przymkniętymi oczami słuchał ją i tylko od czasu do czasu unosił się na posłaniu, otwierał szeroko oczy i mówił:

— Prawda, jakie to piękne?

Nie pomagały lekarstwa. Jędrzek gasł.

Tak minęła cała zima.

Nadeszła wiosna, a z nią ciepło. Ale Jędrkowi nie przyniosła ulgi. Skazany był na śmierć.

Piękny kwietniowy ranek siał tyle promieni. Okno pokoju chłopca było otwarte. Leżał błąd jak chusta, drobny jak kilkuletnie dziecko, choć miał lat trzynaście.

Mańka siedziała na krześle, czytała głośno i często wzrok odrywała od książki, by spojrzeć na biały domek, który wznosił się niedaleko, za rzeczką. Mur ponury, który oddzielał dwór, zniesiono dawno i nic nie krępowało jej wzroku, który swobodnie biegł w dal i zatrzymywał się na gmachu ochrony. Tak już tam dawno nie była.

Dziewczynka przez lat cztery zmieniła się bardzo. Na twarzy jej smagłej igrały rumieńce, znikł z niej wyraz niemego gniewu i bolesnej zaciętości, urosła, rozwinęła się jak kwiat wiosni. Tylko w oczach jej pozostał ten sam odcień powagi i zadumy, wyraz głębszego wmyślenia się w rzeczy.

W ostatnich czasach tak często budziła się w jej sercu tęsknica.

W tej chwili myślała o Antku, o Antosiu.

— Co się z nim teraz dzieje, gdzie przebywa?

Jędrzek, zdziwiony milczeniem jej, uniósł głowę, oparł się na poduszce, wpatrywał się w Mańkę i rzekł nagle przyciszonym głosem:

— Jakaś ty śliczna, Maniu.

Dziewczynka oblała się rumieńcem.

— Skąd ci to przyszło do głowy? — zapytała z uśmiechem.

— Nie wiem sam. Ale wiesz, ja co innego chciałem powiedzieć.

— Co?

— Chciałem powiedzieć, że pragnę, żebyś ty była bardzo szczęśliwa.

— Ja szczęśliwa?

— Czemu nie?

— Nie, mój kochany, ja nigdy nie będę i nie chcę być szczęśliwa. Za wiele wiem, za wiele już cierpiałam. Ja mogę być tylko dobra.

— I jesteś nią.

— O, nie.

Nagle Mańka zmrużyła oczy, wstała, wychyliła się przez okno i znów wpatrzyła się w jeden punkt z zajęciem.

— Na co patrzysz, Maniu?

— Poczekaj. Zdaje mi się, że ktoś idzie.

Drogą szedł ktoś szybko, rozglądał się, przystawał. Zatrzymał się i o coś pytał przechodzącego włościanina. Znów szedł.

— Kto idzie? — zapytał Jędrzek.

Ale Mańka nie odpowiadała. Ręce jej drżały, gdy oparła się o parapet okna.

— Kto idzie? — zapytał chłopiec powtórnie.

— Nie wiem, ale zdaje mi się... Tak, to on.

Zerwała się, wybiegła z pokoju, trzasnęła drzwiami, biegła aleją ku szosie. Zwolniła biegu, zawahała się, przystanąła.

Ku Mańce szedł chłopiec w wytartej marynarce, w czapce z daszkiem.

— Antek! Antos! — zawołała dziewczynka.

— Mańka... czy...

— Wiedziałam, że wrócisz.

Pochwyciła jego ręce, pocałowała go w usta. I nagle stanęła onieśmielona, zawstydzona, ze łzami w oczach.

Słońce rzuciło na dzieci promienie, otoczyło je światłem. A one stały szczęśliwe i trwożne.

— Mania, więc to ty? — zapytał Antoś.

— Nie poznajesz mnie?

— Tak, ale bo ja wiem. Tak jakos... No, no...

Oboje czuli się tak szczęśliwi.

## XXV. „NA LUDZI”

— Niech się pan nie trudzi, panie doktorze — szeptał Jędrzek cichym głosem, ze smutnym uśmiechem na białych wargach — mnie już nic nie pomoże, ja muszę umrzeć. Ja wiem, że pan będzie mnie pocieszał. Kiedy ja się nie martwię, proszę pana. Ja wam wdzięczny jestem za wszystko, coście dla mnie zrobili. Byłem przez te kilka lat bardzo szczęśliwy.

Patrzył na słońce, które przez zielony dach liści spływało na jego drobną, białą, pokrytą niebieskimi żyłkami, rękę, przebierał cienkimi palcami. Nieokreślony uśmiech igrał mu na ustach.

— Jaka to piękna rzecz słońce, cisza i śmierć, prawda, panie doktorze?

Lekarz siedział na ławce obok fotelu, na którym spoczywał Jędrzek, oparł czoło na rękę, był zamyślony i smutny.

— Dlaczego nazywasz śmierć piękną rzeczą?

— Bo ona robi nam wiele dobrego. Pomyśl pan, panie doktorze, jakby źle było na świecie, gdyby nieszczęśliwi... gdyby biedni nie umierali? Jak źle byłoby na świecie, gdyby wszystkie takie jak ja dzieci rosły na ludzi i żyły... Nie wystarczyłyby żadne przytulki, żadne szpitale... żadne więzienia.

— Chłopcze, głupstwa pleciesz — obruszył się lekarz.

— Nie, panie, nie głupstwa, ale najprawdziwszą prawdę... No tak, pan nie wie, czym jest głód, czym jest opuszczenie... Czytałem tak wiele w ostatnich czasach. Ja wiem, że wy pozwalacie mi wszystko teraz czytać, bo wiecie, że umrę niezadługo... Więc czytałem i zastanawiałem się nad tym, jak wy fałszywie zapatrujecie się na nasz głód. Wam się zdaje, że być głodnym, to znaczy upaść na ulicy i umrzeć; a kiedy zaczniecie krajać kiszki, to przekonacie się, że tam wcale nie było pokarmu. Wy nie wiecie, że stać przed sklepem z wędlinami i patrzeć na wystawione w oknie szynki, serdelki, kielbasę — to znaczy również być głodnym. A ja tak często stałem i wpatrywałem się w okna sklepów. W cukierniach znów leżą torty, placki, ciastka. Ja wiedziałem, że to źle, że tak być nie powinno, że nie mam prawa gniewać się na tych, którzy wychodzą z paczkami od cukiernika, albo wchodzą do restauracji i śmieją się... Nie, panie, śmierć dla dzieci ulicy to dobrodziejstwo. Albo chłód: podług<sup>75</sup> was na współczucie zasługuje dziecko, które marznie na śniegu i umiera... A nie wiecie, że najbardziej odczuwa się zimno w nocy, w łóżku. Troje nas razem spało pod chustką; każde ciągnie chustkę w swoją stronę, na siebie; powstają kłótnie i bójki. Wyprostować się nie można, bo nogi spod chustki wychodzą i ziębną, a skurczyć się, to Broniek albo Wikta wołają, że ich kopiesz, że się pchasz. Ojciec nas przykrywał kożuchem, ale jak zadzwonili w bramie, to musiał iść otworzyć i brał kożuch. Drżeliśmy tymczasem. A jak ojciec wracał i znów nas przykrywał, to kożuch był zimny jak lód. Byliśmy zaspani, chcieliśmy zasnąć, ale nie można, bo co chwila to inną szparą leci taka nitka zimnego powietrza, że aż strach... A robactwo, pluskwy... Nie, panie, śmierć to piękna rzecz.

Jędrzek nie odrywał wzroku od tych jasnych kólek, które migaly mu na ręce przy najdrobniejszym powiewie wiatru.

— Albo senność — pomyśl pan tylko. My nigdy prawie nie byliśmy wyspani. Ciągłe nas w nocy budzono. A o czwartej, piątej rano, matka nas spędzała ze stołków, bo brała się do prania. Co dzień inne miało prawo kłaść się do ojca, ale w godzinę później i ojciec wstawał. Znów budzenie. I to tylko co trzy dni, bo tak to szło się do kąta, byle miejsce przy piecyku znaleźć, siedziało się i drzemało. Ale żelazny piecyk rozgrzewał się do czerwoności i parzył, więc trzeba było odsunąć się, to znów zimno było.

Jędrzek zakasłał się. Lekarz podał mu łyżkę z lekarstwem.

— Tak, proszę pana — śmierć jest dobra i piękna. Tylko że ona nie dla każdego

Śmierć

Bieda, Głód

Śmierć

<sup>75</sup>podług (daw.) — według. [przypis edytorski]

łaskawa... Raz podrzucono w naszym domu dziecko... Ojciec... już nie pamiętam, jak to było, dość, że byłem z ojcem w grabarni w szpitalu, wie pan... za Dzieciątkiem Jezus. Idzie się przez takie wielkie podwórko. Wchodzi się na lewo, zdaje mi się. Niewielki pokoik i na pryzkach leżą umarli. Było ich, pamiętam, dużo. Jakiś starzec miał długą ciemną brodę, pamiętam, i zupełnie białe włosy. On mi się nieraz śnił potem. I wie pan, ile razy mi się śnił, to mnie zawsze coś smutnego spotykało. Chociaż może mi się tylko tak zdawało. Bo nie było dnia i tak, żebym choć raz nie płakał... Obok starca leżała kobieta zupełnie sucha, oczy miała otwarte. A obok leżało coś z pięcioro dzieci, w koszulkach, w czepkach; a do każdego czepeczka przyszyta była wstążeczka niebieska. I wszystkie dzieci miały takie wesołe twarze, zupełnie jakby chciały się śmiać albo cieszyć bardzo. Ja wcale tych dzieci nie żałowałem. I wtedy przyszło mi na myśl, że śmierć jest dobra... nawet często, no tak, nie od wszystkich, ale od wielu, bardzo wielu ludzi — lepsza. Ja się wcale nie boję śmierci. Może Pan Jezus przebaczy mi moje grzechy, może dopuści mnie do Siebie. To ja... będę go prosił, żeby... moim rodzicom i siostram... i braciom... dał lepsze... żeby im lepiej...

Jędrak nie mógł dokończyć.

— Więc ty myślałeś czasem o nich? — zapytał lekarz.

— Ciągłe, co dzień, co chwila.

— Dlaczego nam nic nie mówiliście o tym?

— Bałem się.

— Czego?

— Że hrabia gniewać się będzie. On i tak tyle ma ze mną kłopotów. I bałem się, że on... że mnie odesła znów do domu. A ja nie mogę już do nich wrócić. Ale chciałbym ich jeszcze chociaż jeden raz... zobaczyć. Bo ja tak bardzo ich kocham.

Jędrak zagryzł wargi, twarz mu się wykrzywiła, na czoło wystąpiły krople potu.

I załkał nagle. Płakał i kasłał. Pochwycił kurczowo lekarza za rękę, drugą ścisnął sobie szyję. Struga krwi spływała mu na palce.

— Ja... bym...

— Nie mów już, chłopcze, bój się Boga.

— Ja... zły... Boże... mój... Ja... tutaj...

Zemdlał.

Gdy go ocucono i złożono na łóżku, leżał cicho z szeroko otwartymi oczami, w których odzwierciedlał się cały bezgraniczny ból duszy zbudzonej, przerażonej ogromem niedoli.

Gdy Mańka i Antek weszli do jego pokoju, chłopiec się uśmiechnął, a uśmiech zastąpił mu w bolesnym warg skrzywieniu.

Wyciągnął rękę do Mańki, głaskał jej palce i szeptał:

— Dobra, dobra, dobra...

Natychmiast wysłano do Warszawy po rodziców Jędraka.

Przyjechała tylko matka. Ojciec nie mógł domu zostawić.

Marcinowa przez całą drogę zawodziła.

— Oj, moiście wy państwo kochani, czy Jędrak aby nie umrze? Bo to jedyna pociecha nasza.

Wierzyła w swoje słowa.

Gdy weszła do pokoju, gdzie leżał Jędrak, osłupiała.

— Jędrak, bój się Boga. A tobie co się zrobiło?

Na próżno usiłowano ją uspokoić.

— Oj, to tak cię wykierowali? To na to ja ciebie z domu na zatracenie wydałam...

Taki był zdrowiuteńki, taki rześki. Oj, Jędrak, Jędrak.

Na twarz chłopca wystąpiły krwawe rumieńce.

— Nie przywita się mama ze mną? — zapytał.

— A toć żegnać mi chyba ciebie trzeba. Toć ty już trupek zupełnie. A miałam takie złe sny o tobie.

Krzywiła się, chcąc płakać.

— Niech mama nie krzyczy — rzekł Jędrak.

— A co nie mam krzyczeć, kiedy mi dziecko zabili.

— Mamo, ciszej. Choroba mnie zabija, a nie ci dobrzy państwo.

— A tak, tak, choroba. Rozumie się, że choroba. A w domu to nigdy nie słabowałeś. Oj, dolo moja.

Matka

Jędrzek przymknął oczy i nie odpowiadał. Tak inaczej wyobrażał sobie swą matkę. Wiedział dobrze, że te krzyki mają na celu wyłudzenie od „opiekunów” kilkunastu rubli. Ciemno, czarno mu się w duszy zrobiło. Wyśnił sobie matkę tak inną: głodną, nieszczęśliwą, w parze wilgotnej, przy balii, ale cichą i smutną, nie tak krzykliwą, nie tak prostą, ordynarną. Sądził, że i ona przez te lat kilka powinna się była zmienić. Ale teraz przypomniał sobie, że ona biła go, gdy on brał za książkę, że lubiła kieliszek, że... I matka obca mu była w tej chwili, przykreść sprawiała mu jej obecność.

A ona nie odstępowała go ani na chwilę. Czowała, że ma prawo do tego domu, w którym „zabito” jej dziecko.

Jędrzek konał. Konanie trwało całe dwa tygodnie. Zmieniano się przy chorym, który ciąglej wymagał opieki. A Marcinowa chciała leczyć go swoim sposobem i napelniała wrzawą bezustanną dom cały.

Nastąpiła ostatnia noc. W kącie pokoju paliła się lampka nocna. Przy chorym zebrali się wszyscy. Mańka siedziała na łóżku Jędrka i trzymała go za rękę.

Jędrzek chwilami drzemał, to znów się budził i mówić zaczynał.

— Ja myślę, że każda matka powinna być aniołem — szeptał — bo inaczej, to strasznie będzie zawsze.

I po chwili znów dodał:

— Bo inaczej to dzieci zawsze będą nieszczęśliwe, a ludzie, którzy z tych dzieci będą wyrastali, będą źli. Bo widzicie, ja dawniej nie myślałem o tym wcale... Antoś, powiedz mi jeszcze raz, opowiedz mi o tym wariacie, który łyzy zbierał... Powiedz, czy on naprawdę jest wariat. Dlaczego nie chce tu przyjechać? Czy on bardzo stary?

Antek po raz dziesiąty począł opowiadać choremu o „wariacie, który łyzy zbiera”.

— Tak, masz słuszność: on naprawdę jest obłąkany. Ale on prawdę mówił, co? I co on jeszcze mówił o „dzieciach ulicy”?... Wiesz, gdybym ja wyzdrowiał, ja bym te łyzy zbierał. Potem napelniałbym nimi dzbanki i posyłał w podarunku tym, którzy o nas nie myślą, nie chcą myśleć, nie widzą nas... Całe dzbanki łyz... I ty myślisz, Antek, że długo trzeba by zbierać takie dzbanki?

Znów zamilkł. Zdawało się, że zasnął. Ale on tylko myślał.

— Wiecie, ja bym do każdej butelki wina szampańskiego wlewał łyżeczkę łyz. Prawda, że można tak zrobić... Albo... Czy to prawda, że umarli często w kącikach oczów mają łyzy? Ja bym chciał tak właśnie umrzeć. To musi bardzo ładnie wyglądać.

Nad ranem przyjechał ksiądz. Mańka i Antek wyszli do ogrodu. Usiedli na ławce. Byli znużeni.

Słońce rumiane, wesołe, podnosiło się na skraju horyzontu i rzucało skośno promienie na gmachy szkółki, ochrony i żłobka, i odbijało się w białym ich murze. Gmachy kąpały się w zieleni i świetle.

— Patrz, Antoś! — rzekła Mańka.

— Jak we śnie, prawda?

Nic więcej nie mówili, wpatrzni oboje w jeden obraz.

Słońce podnosiło się ku górze, wielkie, uśmiechnięte, białe.

— Antoś, czy ty myślał kiedy, że z nami tak być może? Powiedz, jak myśmy mogli tak żyć? I tam są nasi towarzysze, oni do dziś dnia i całe życie tak samo. A przecie my nie lepsi od nich. Pamiętasz Władkę? Antoś, tylko...

— Pamiętasz Zośkę garbatej? — zapytał Antek.

— Bo co?

Chłopiec o niej jednej nie wspominał Mańce ani razu. Dlaczego, sam dobrze nie wiedział. Czy obawiał się, że Mańka przeczuje, że sprzeniewierzył jej się w swych uczuciach, czy też to wspomnienie było dla niego najbardziej bolesne.

— Nic, tak tylko się pytałem.

— Co, czy i ona już?...

— Tak.

— A garbata?

— Otruła się.

— Naprawdę?

— No, tak.

Zawołano ich do Jędrka.

Matka

Łzy



Hrabia, Irena, lekarz i matka Jędrka zebrani byli w pokoju konającego.

— Całą noc nie spaliście przeze mnie. Ale już niedługo.

I znów głośną rękę Mańki delikatnie, ostrożnie, jakby obawiając się, by się nie płynęła.

— Dobra, dobra jesteś, Maniu — szeptał.

Zamknął oczy. Przez powieki napływały mu łzy. Oddychał teraz bardzo wolno.

Cisza panowała w pokoju. Tylko przez okno otwarte dochodził szczebiot ptaków.

Jędrak oddychał coraz wolniej. Westchnął.

Skonał. W kącikach oczu lśniły łzy.

Marcinowa poczęła płakać głośno, zawodzić, przemawiać do zmarłego.

W dwa dni później odprowadzono zwłoki na cmentarz. Marcinowa otrzymała na pocieszenie sto rubli i propozycję przeniesienia się na wieś z pozostałymi sześciorgiem dzieci i mężem, który miał dostać miejsce stróża w szkole rzemieślniczej.

Wróciło wszystko do dawnego stanu.

Mańka objęta dawne czynności w żłobku.

Antek wziął się do nauki.

Boczna nauka pod kierunkiem wariata przygotowała go do systematycznej pracy. Nabral pewnego pojęcia o wszystkim, należało tylko odrzucić to, co było urojeniem, od tego, co było rzeczywistością.

Wysłany został na prowincję do nauczyciela gimnazjum...

Treścią powieści naszej są „dzieci ulicy”. Antek teraz dzieckiem ulicy być przestał i dlatego nie będzie się rozwodził nad tym, jak łamał się nasz bohater z przeszkodami, które mu się nasuwały na każdym kroku.

Pracował usilnie, pchało go coś w stronę tej wiedzy, u której podnóża się czołgał. A chwytął wszystko mocno i wchłaniał. Historia była dlań panoramą postaci, które widział. Utwory pisarzy starożytnych były dla Antka niewyczerpaną skarbnicą zachwyty.

Świeży, nieznużony umysł trawił wszystko zadziwiająco.

Antek po trzech latach nauki otrzymał patent i wstąpił na wydział prawny.

Powracał do Warszawy.

Gdy myślał dawniej o tym, ani przerażała go myśl ta, ani dziwiła. Miał czas żyć się z nią, przyzwyczaić do niej. Ale gdy chwila stanowcza nadeszła, dreszcz trwogi nim wstrząsnął.

Jak będzie chodził teraz po ulicach, po tych samych ulicach, które dawniej przebiegał jako łobuz nadwiślański, jako „andrus z Powiśla”?

Gdy znalazł się w gronie nowych kolegów, czuł się onieśmiałym i obcym. Wynajął pokój na jednej z oddalonych ulic, uczęszczał na wykłady, poza tym nie wychodził z domu, nie przyjmował nikogo, do nikogo się nie zbliżał. Otrzymał miano odludka.

Nie lubiono go i on nie lubił nikogo. Tak czuł się od nich różnym, mimo jednakowej pozycji społecznej.

„Jak oni mało wiedzą!” — myślał często, dumny, że wiedział to, czego inni nie wiedzieli, że widział to, czego oni widzieć nie mogli. Przysłuchiwał się czasem rozmowom kolegów i wyraźnie odróżniał prawdę od frazesów. Wiedział, że często ani ich cele, ani przekonania nie są tak mocne, nie są oparte na prawdzie, na rzeczywistości.

Aby otworzyć im oczy, musiałby zdradzić swe pochodzenie, a duma zacięta, silna, nie pozwalała mu tego uczynić. Wolał być nieznanym i nielubianym niż tolerowanym przez „wrozumowanie”. Miał swój świat odrębny i mroczny.

Czasem późnym wieczorem zimowym wychodził z czapką nasuniętą na oczy, z wysoko podniesionym kołnierzem palta, na Powiśle. Były to chwile, gdy pragnął cierpieć. A chwile się takie zdarzały. Pragnął zobaczyć kogoś ze swych dawnych znajomych, ale nie chciał być poznanym. Drżał na myśl, że może go zaczepić kiedyś na ulicy jakiś obdarty człowiek i zawołać:

— Antek!

Drżał na myśl, że może spotkać ojca.

Stosunek jego do Mańki również uległ zmianie. Mańka pisała mu w listach o jego obowiązkach, o pracy, o poświęceniach, a on musiał przed nią usprawiedliwiać się ze

swego zamknięcia, odosobnienia i bezczynności. Musiał kłamać, bo nie chciał otworzyć przed nią swej duszy. A bólu w niej był bezmiar cały.

Wychodził Antek na ulicę Topiel, zatrzymywał się przed domem, gdzie była szulernia, i patrzył. Potem chodził po znajomych mu ulicach i wracał do domu rozstrojony, złamany.

Niejednokrotnie już, już miał wejść do domu na Pradze i zapytać stróża, co stało się ze starcem-wariatem, ale się cofał.

Raz szedł z postanowieniem silnym, że się nie cofnie. Na rogu Zjazdu spotkał złoczyńców prowadzonych pod konwojem do więzienia. Szli, otoczeni przez żołnierzy, ze swymi tobołkami na plecach lub w rękach, ślizgając się po zamrzniętym śniegu. Było ich około pięćdziesięciu. Szczękały ich kajdany głośno, a sylwetki ciemne znaczyły się na czarnym tle pochmurnego wieczoru.

Antek chciał ich wyminąć, ale czuł, że nie może, że musi iść krok w krok za nimi i patrzeć.

Skazani szli spiesznie drobnymi krokami, jedni ustawiali na chwilę, wówczas inni ich wyprzedzali. Sprawiało to wrażenie bezustannego ruchu.

Za posępnym pochodem jechały dwa wozy; na jednym z nich siedziała kobieta i dwoje dzieci; trzecie trzymała na ręce.

Antek oczu oderwać nie mógł od obrazu. Patrzył na kobietę, pragnął ujrzeć jej twarz. A potem pobiegł wzrokiem ku przednim szeregom. I doznał wrażenia, jak gdyby ten wąż długi nie kończył się wcale, jak gdyby ciągnął się i ginął w bezkresie. Tam, tam, na moście, widzi ich i dalej za mostem, i dalej, dalej, dalej, bez końca.

Czuł silny ból. Dusił go łzy, które nie płynęły z oczu kroplami, ale przelewały się pod powiekami; czuł przy mruganiu, że łzy te unoszą się i znów spływają pod dolną powiekę, i nie wysychają.

I nagle zdało mu się, że to nie ludzie dorośli, mężczyźni i kobiety, idą, ale dzieci, małe, drobne, obdarte, głodne i drżące. Widział ich postacie nikle, ich posiniałe drobne rączka. Nie niosły one tłumoków, worków i kufrów, ale dzbanki łez. Nieskończony szereg dzieci szedł, a żelazo grało, i każde uderzenie huczało mu pod czaszką jak odgłos grzmotu.

Widzenie potęgowało się. Ponad tłumem dzieci, które dzbanki niosły, unosił się inny tłum, niemniej liczny. To jakieś widma, upiory, kotłowały się w powietrzu. Między upiorami rozpoznawał męskie postacie i kobiece. Biegły parami, płynęły w powietrzu. Antek dostrzegł ich twarze, pokurczone były i straszne, dostrzegł ich oczy — paliły się jak główne. Widział wyraźnie te oczy, szeroko otwarte, bez powiek, niemrugające, wielkie, ogniste, rozpaczą zięjące. Poznał, że tyle par płynęło nad tłumem, ile dzieci szło w szeregach — więc to rodzice skazanych.

Nagle poczuł dziwną chęć zmieszania się z tym tłumem; chciał również nieść dzbanek i widzieć nad sobą parę rodziców — upiorów.

Widzenie było męczące, obłądne. Niebo chmurami pokryte. Rzeka czarna jak węgiel.

Począł rozpoznawać twarze tych ludzi, widział między nimi przedstawicieli wszystkich narodowości, wszystkich ras i pokoleń. Szereg nie kończył się.

Antek zgarnął z żelaznej poręczy mostu garstkę śniegu i począł nim skronie nacierać.

Tak silnie, tak świadomie, nigdy jeszcze nie cierpiał. A jednak mógł uwolnić się łatwo od dręczących przywidzeń, zawrócić i wyjść na Śródmieście.

Nie, poszedł aż do samego gmachu więziennego, widział, jak otworzyła się brama, jak garść skazanych popłynęła w ciemny otwór bramy i znikła.

Poszedł dalej. Wszedł spokojnie do szynku na rogu i poprosił o butelkę wódki. Siedzący przy stolikach w izbie zakopcanej, zamglonej, ciekawie patrzyli na niego. Antek wzrok ich pytający wytrzymał. Zapłacił należność, wyszedł, siadł do sanek, butelkę ukrył w bocznej kieszeni, wskazał adres.

jechał tą samą drogą, nie widział już upiorów — widzenie rozpełzło się i znikło. Tylko na śniegu znaczyły się jeszcze ślady stóp ludzkich. Przejeżdżał przez Krakowskie Przedmieście i Nowy Świat. W oknach wystawowych paliły się światła. Między sklepami rozpoznał jeden: był to skład cerat i tapet. Odwrócił głowę.

Gdy wszedł do swego pokoju, nie zapalił świecy, tylko wyszukał po omacku szklanekę, usiadł na łóżku, wepchnął palcem korek do butelki, nalał pełną szklanekę wódki i wypił, nalał drugą i wypił, trzecią już do ust niósł, ale nagle wstał, otworzył lufcik i rzucił ją

Cierpienie, Dziedzictwo,  
Wizja

na podwórze; to samo uczynił z butelką. Szkło z głośnym łoskotem uderzyło o asfalt. Zatrzasnął lufcik, usiadł znów na łóżku, nie poruszał się z miejsca. Sprawiało mu ulgę obserwowanie siebie, tego, jak powoli alkohol działać zaczął.

Z początku czuł, jak mu coś w piersiach zakipiało, potem pojedyncze krople gotującego się w piersiach płynu poczęły mu pryskać na twarz, na ręce; poczuł, że włosy poruszają mu się na głowie, kołyszą łagodnie jakby się włos z włosem całował i tańczył. Potem para z gotującego się w piersiach płynu poczęła unosić ku głowie, przez policzki.

Przechylił głowę w tył, potem naprzód, potem w prawo i w lewo, potem całym korpusem począł wykonywać ruch kołowy. Wreszcie oparł się o ścianę i zasnął...

Od tego wieczora Antek zaniechał wycieczek wieczornych, a gdy w trzy miesiące później Mańka doniosła mu w liście, że otrzymała wiadomość o śmierci starego wariata z Pragi i o testamencie, w którym zastrzegł, że zbiory swe zapisuje hrabiemu Zaruckiemu, a hrabia prosi, aby Antek zajął się przewiezieniem do Zarucza szafki starca — powierzył sprawę całą adwokatowi, zapłacił ma z własnej pensji, którą ma hrabia przysyłał, ale sam na Pragę nie poszedł.

Antek zamknął się w książkach i kursach, a gdy na lato wyjeżdżał do Zaruczaju — zabierał ze sobą kilkanaście dzieł specjalnych i uczył się. W wolnych chwilach studiował języki, znał francuski, niemiecki, angielski i włoski, pracował nad hiszpańskim i węgierskim. Poza książkami nie chciał, bał się całą duszą widzieć cośkolwiek, czuł się słaby, bezradny i głupi.

Po skończeniu uniwersytetu wyjechał za granicę.

Postanowione było, że Antek (od dawna już pan Antoni) praktykować będzie w Warszawie, a po śmierci hrabiego obejmie dozór nad całą kolonią zarucką, która rozwijała się, podnosiła, nabierała znaczenia. Przybywały tam nowe gmachy, obok szkoły rzemiosł powitała szkoła ogrodnicza, niższa rolnicza, instytucja poprawcza dla dziewcząt, przytułek dla sierot.

Dzięki bocznicy kolonia połączona została z siecią kolejową, związana została ze światem.

Hrabia pragnął utworzyć uzdrowisko dla dzieci ubogich, ale obawiał się, że nie pozostanie mu dość środków na to, aby byt ich na przyszłość zabezpieczyć. Należało obliczyć swe siły poważnie, ażeby uniknąć katastrofy.

Aby opisać życie kolonii zaruckiej, należałoby poświęcić temu przedmiotowi niejedną tom powieści, Może kiedyś, po latach, wrócimy do niej jeszcze. Teraz powróćmy do pana Antoniego — młodego adwokata, który ma bronić pierwszej sprawy w swym życiu. A sprawa jest ciekawa, zajmuje się nią całe miasto. Idzie o obronę zbrodniarza, który zamordował służącą znakomitej aktorki.

## XV. ECHO ZBRODNI

Po sprawdzeniu obecności świadków przewodniczący zaczął zadawać oskarżonemu pytania.

— Imię?

Żadnej odpowiedzi.

Tłumacz przetłumaczył pytanie.

— Nazwisko?

Żadnej odpowiedzi.

— Wyznanie, wiek?

Oskarżony żadnym ruchem najdrobniejszym nie zdradził się, że słyszy i rozumie pytania skierowane do niego.

Siedział w swej kurtce szarej na ławce drewnianej, w obecności dwóch żołnierzy z gołymi szablami, w obliczu sądu, pod strzałami paruset ciekawych oczu publiczności. Trącono go, żeby wstał — wstał.

Wezwano pierwszego świadka. Był to kąpielowy z tej samej łaźni, w której oskarżony pracował.

— Czy oskarżony od dawna był kąpielowym?

— Od pół roku.

— Czym zajmował się poprzednio?

- Nie mówił nam o tym nigdy. W ogóle on bardzo mało mówił.
- Życia jego prywatnego nie znaliście zupełnie?
- Wiedzieliśmy, że chodzi do jakiejś dziewczyny.
- Czy nie bywał nigdy pijany, nie wydała się, nie „znikał” nagle na dni kilka?
- Owszem, pił, ale rzadko. Zdaje mi się, że dwa, trzy razy „wszystkiego”.
- Gdzie i z kim przebywał wówczas?
- Nie wiem.
- Czy podczas półrocznego pobytu nie zaszedł w zakładzie kąpielowym żaden wypadek kradzieży?
- Nie. Tylko na parę dni przed tym właśnie wypadkiem — to jednemu gościowi zginęła papierośnica, ale ją zaraz znalazł.
- Gdzie znalazł?
- Zostawił ją w palcie, w kontramarkarni<sup>76</sup>.
- Więc nie było możliwości, żeby ją oskarżony miał podrzucić?
- Nie, żadnej.
- Przewodniczący zwrócił się do adwokata:
- Nie ma pan jakich pytań?
- Tak. Niech mi powie świadek, kogo na razie podejrzewano o kradzież papierośnicy?
- Jego.
- Jak on się zachowywał w czasie przed znalezieniem papierośnicy w palcie?
- Nie rozumiem.
- Czy był zatrwożony?
- Nie uważałem.
- Czy po znalezieniu papierośnicy mówił coś?
- Nie pamiętam.
- Czy świadek przypomina sobie dobrze, że miało to miejsce na *parę dni* przed zbrodnią? Czy on nazajutrz po osądzeniu go o kradzież był jeszcze w zakładzie?
- Nie pamiętam.
- Proszę sobie dobrze przypomnieć.
- A nie, racja! Nie był. Tak, właśnie. Tak... tak... dwa dni go nie było, a trzeciego dnia dowiedzieliśmy się o zabójstwie.
- Skończyłem.
- Zeznania drugiego kąpielowego wyjaśniły, że oskarżony na dwa tygodnie przed spełnieniem zbrodni ostatni raz „znikł” na dwa dni, że miał być nawet wydalony z tego powodu, ale że go „panowie” lubili, więc go zostawiono.
- Czy po znalezieniu papierośnicy przez „gościa” oskarżony mówił coś? — zapytał znów adwokat.
- Ale co?
- Czy nie groził, nie przeklinał?
- Owszem, powiedział coś.
- Proszę sobie dobrze przypomnieć.
- Jakieś tam słowo powiedział.
- Jakie?
- Powiedział: „A ty ścierwo jedne”.
- Czy głośno to powiedział?
- Nie, cicho.
- Nic więcej nie mówił?
- On nigdy nic nie mówił.
- A za co go „panowie” lubili?
- Mocny chłop był, dobrze mył i „gniótł” po łaźni.
- Trzecim świadkiem była aktorka.
- Szmer rozległ się na sali. Panie, które nieco zażenowane się czuły, teraz podniosły lornetki do oczów. Panowie uśmiechali się na myśl o zakłopotaniu „pięknej pani”.
- Jak długo służyła u pani zmarła?
- Dwa lata.

<sup>76</sup>kontramarkarnia — szatnia. [przypis edytorski]

— Czy oskarżony był od dawna u niej?  
 — Od roku.  
 — Czy pani wiedziała o tych odwiedzinach?  
 — Wiedziałam.  
 — Jak często przychodził?  
 — Z początku dość często, wieczorami zwykle, kiedy wychodziła do teatru. Od czasu, jak przyjął obowiązek, przychodził zwykle w dzień i rzadziej.  
 — Co robili oni razem?  
 Wesolość na sali.  
 — Czytywali książki.  
 — Czy oskarżony umie czytać?  
 — Nieboszczka go nauczyła.  
 — Czy zwierzała się przed panią ze swoich uczuć dla „swego kawalera”?  
 — Powiedziała mi raz, gdy ją pytała: „To biedny chłopiec, proszę pani”.  
 — Czy pani nie obawiała się, że mogą panią okraść?  
 Oskarżony spojrzął na przewodniczącego przelotnie. Spojrzenie było krótkie i silne.  
 — Nie, oboje sprawiali na mnie dobre wrażenie.  
 — Czy pani zwykle powoduje się w swych czynach wrażeniami?  
 Wesolość na sali.  
 — W tym wypadku tak.  
 — Czy pani stanowczo twierdzi, że nic z kosztowności ani pieniędzy nie zginęło pani?  
 — Stanowczo.  
 — Czy zbrodniarz mógł być spłoszony przez kogoś?  
 — Nie, ja wróciłam dopiero o dwunastej z moją pokojówką, a zbrodnia popełniona została podobno o dwie godziny wcześniej. Tak twierdzą lekarze.  
 — Gdzie pani ma schowaną biżuterię i pieniądze?  
 — W biurku i w stoliku przy łóżku.  
 — Czy listy żadne nie zginęły pani?  
 Na sali zainteresowanie, szmer.  
 — Żadne listy mi nie zginęły.

Zdziwienie.

Pokojówka druga, która towarzyszyła aktorce do teatru, zeznała mniej więcej to samo. I znów wesolość ogarnęła publiczność, gdy subretka<sup>77</sup> zeznała, że „u nas to tam nie ma tego, żeby pani „szkodził kawaler” służącej; pani ma swoich gości, a my swoich”.

Zeznania szynkarza były nie mniej ciekawe.

Oskarżony był w jego „zakładzie” dość często, ale od jakiegoś roku — zupełnie się prawie usunął od „kolegów”. A przez ostatnie pół roku nie był ani razu. Pewnie dlatego, że oskarżony był człowiek „bardzo honorowy”, a towarzysze śmieliby się z niego, że jest kąpielowym, bo oni nie lubią tego zajęcia i wyśmiewają. Dopiero „w ten wieczór właśnie” to przyszedł, był trochę pijany, ale nie znów tak bardzo, bo często bywa gorzej. Jak przyszedł, to wypił półkwaterek spirytusu i powiedział: „Pijmy, bo już niedługo”. A potem chciał grać w bilard i powiedział: „Muszę wygrać na zapłacenie, bo nie mam ani grdyka<sup>78</sup>”. I wygrał, a potem jeszcze pił. I tak aż do zamknięcia „zakładu”. „Potem wszyscy razem wyszli, no, i złapali go, gdzie panowie wiedzą”. A żeby go pytano, co znaczy to „pijmy, bo już niedługo”, tego świadek nie słyszał. A że tam mówił coś, to „nie dziwota, zwyczajnie, jak nie po trzeźwemu”. O zbrodni nie wspominał. Świadek nie pamięta również, żeby mu mówiono: „A widzisz, zeszedłeś na psy ze swoją Julką” (tak nazywała się nieboszczka). Nie pamięta również, aby miał na to oskarżony odpowiedzieć: „Stul pysk z Julką, bo możesz flaki policzyć”. W ogóle trudno znów tak słuchać wszystkiego, co goście mówią. „Człowiek ma swoją robotę”.

Towarzysze ostatniej biesiady znali poprzednio oskarżonego, bo się z nim „czasem piło po pracy”. Razem łód kiedyś łamali, to znów piasek wozili „rozmaicie”. Żaden z nich rzemiosła nie ma, a zarabiają „co się da”. Jeden z nich jest „wiązaczem” świń, drugi był

<sup>77</sup>subretka (z fr. *soubrette*) — aktorka, która grała sprytne pokojówki w komediach i farsach. [przypis edytorski]

<sup>78</sup>grdyk, grdyni (gw.) — grosz. [przypis edytorski]

w restauracji stróżem jakiś czas, to znów „trochę” furmanił. Czy oskarżony mówił: „Pijmy, bo już niedługo” — tego nie pamiętają. A wreszcie on miał zawsze swoje „szpasy”<sup>79</sup>. Nazywano go kiedyś „Józkiem Bzikiem”.

Adwokat drgnął. Po raz pierwszy w dniu dzisiejszym słyszał głośno wypowiedziane to imię, tak dobrze mu znane, dźwięczące mu w uszach od tygodni, od dnia, kiedy w oskarżonym, którego miał bronić, poznał w więzieniu towarzysza lat dziecięcych. Gdy w ciemnej celi więziennej poznał go po kolorze stalowych oczu i po brakującym palcu, burza podniosła się w jego umyśle. Zadał kilka pytań, na które mu Bzik nie odpowiadał, wyszedł, zataczając się na ulicę, wsiadł do dorożki, powrócił do domu, zamknął się w swoim pokoju, oparł o framugę okna i zadał sobie pytanie:

— Co teraz zrobić?

Noc całą bezsennością przeleżał w gorączce i nic więcej nie mógł wymyślić nad jedno pytanie:

— Co teraz robić?

Nad ranem wyszedł z domu, zaszedł do Łazienek, usiadł nad stawem i pytał:

— Co teraz robić?

Czy uważać chwilę tę jako epizod w swym życiu, czy jako zdarzenie przełomowe? Czy pójść za popędem głosu, który mu mówił: „Radź się uczucia”, czy za głosem drugim, który mówił: „Radź się rozumu”. Czy posłuchać głosu, który woła: „Postąp tak, jakby postąpiło dziecko ulicy, którym jesteś z urodzenia i pierwszych kilkunastu lat życia”, czy posłuchać głosu, który mówił: „Jesteś człowiekiem kultury, wykształconym, z pozycją, z patentami”.

— Co teraz robić?

Antek, zadając sobie pytanie podobne, dawno przestał już być „dzieckiem ulicy”, poznał rachować, rozważać, zastanawiać się, namyślać.

Widział przede wszystkim dwie drogi: skorzystać z tego, że Józiek go nie poznał, rzec się obrony, znaleźć pierwszy lepszy powód i wyjechać. Sprawa głośna, każdy z kolegów chętnie go zastąpi.

Albo: wyznać w obronie, że...

Nie, tego nie zrobi stanowczo.

Nie, nie, nie! To byłoby straszne. Być przedmiotem sensacji, „bawić” swoją osobą miasto całe. Nie, nie! Dowiedzieliby się o nim wszyscy jego dawni znajomi i przyjaciele, zjawiliby się jego ojciec. Antek adwokat zadrżał. Spotkać się oko w oko z ojcem, którego cień odpychał od siebie, którego widmo samo go przerażało. Nie, nie! Wówczas, z tą butelką wódki, którą wyrzucił przez luźnik, pękło ostatnie ogniwo łączące go z „dawnym światem”. Nie, za nic w świecie.

Ale może bronić Bzika, nie ma obawy, aby Bzik go poznał. Inna rzecz on. Szedł do więzienia w tym przeświadczeniu, że może spotkać kogoś ze swych przyjaciół młodości, więc poznał Bzika. Ale Bzikowi ani przez myśl przejść nie może, że on Antek jest adwokatem, że jest „panem”.

Owszem, powinien nawet bronić przyjaciela. Obronę opracuje do najdrobniejszych szczegółów. Postara się dowieść, że Józiek działał pod wpływem uniesienia. Łagodząca będzie okoliczność, że zbrodnia była dokonana nie w celu rabunku. Kto wie, może uda się go uwolnić od Syberii, może parę lat więzienia tylko.

Uspokoił się, zjadł śniadanie, obiad, zagłębił się w kodeksy, a gdy wieczorem oczekiwał przybycia hrabiego do Warszawy, był już zupełnie spokojny.

Kultura „zrobiła swoje”.

Hrabia miał bawić dziesięć dni w Warszawie, przedłużył jednak pobyt o dni kilka, aby posłuchać obrony swego wychowawca.

Gdy młody adwokat zadawał świadkom pytania, słyszał głos wewnętrzny, który mówił mu: „Odważnie, panie Antoni!”, gdy posłyszał z ust ostatniego świadka głośno wypowiedziane imię: „Józiek Bzik”, coś załamało się w jego istocie i głos wewnętrzny zawołał: „Antku!”.

Mowa prokuratora była krótka. Zbrodnia jest oczywista, pobudki jasne: „ograbić!” Być może, iż w ostatniej chwili zbrodniarz sam przeraził się ohydy swego czynu: on za-

<sup>79</sup>szpas (z niem. *Spass*: żart) — tu: dziwactwo. [przypis edytorski]

mordował istotę, która go czytać nauczyła, która ukazała mu drobne światełko z jasnego świata nauki, podzieliła się z nim tą ubożutką cząsteczką światła, które jej dostało się w udziale. Ohydna zbrodnia! Kara zastosowana być winna z całą surowością.

„Antku, Antku! — wołał teraz głos duszy. — Antku! nie *licz*, nie *rachuj*, boś ty dziecko ulicy. Nie licz, Antku, a idź za popędem tego *coś*, co ci mówi: »Tak, a nie inaczej«”.

Gdy wstał dla wypowiedzenia swej obrony, był blady, wziął do ręki zapisany arkusz, ręka ma drżała, chciał zacząć mówić, usta odmawiały posłuszeństwa.

„Antku! Nie licz!”

Teraz miał przed sobą tylko dwie drogi: powiedzieć, że wobec oczywistości przestępstwa zrzeka się obrony, prosząc o uwzględnienie okoliczności łagodzących: niski poziom umysłowy i...

Nie, to będzie podłe, tego nie wolno mu zrobić.

Więc?

Obrony, którą z takim mozolem wypracował w domu, w której tyle pięknych zwrotów pomieścił, nie wolno mu odczytać, bo... sam nie wiedział, czemu. Każdy inny adwokat miałby prawo to uczynić, on nie. Popęniłby podłość, oszukując samą siebie, zamaskowaną.

„Antku, Antku!” — wołał głos znajomy.

— Czekamy — rzekł przewodniczący.

— Na ulicy Czerniakowskiej, w ubogiej izbie na facjacie, mieszkał starzec, stróż nocny, Wojciech Mazur; Wojciech Mazur miał córkę, dziecię to przywiózł ze stron dalekich, wychował je, strzegł, drżał o nie. Dziecię wyrosło na piękną dziewczynę...

„Jeszcze masz czas się cofnąć” — szeptał głos kultury „pana” Antoniego.

„Antku, Antku!” — wołał drugi głos, wrodzony.

— Córka Wojciecha zbyt była piękna, ażeby mimo czujności starca nie mogła zwrócić na siebie uwagi jednego z możliwych świata... Wnukiem starego Wojciecha, synem jego córki, jest siedzący w tej chwili na ławie oskarżonych Józiek Bzik.

Oskarżony skierował na swego obrońcę wzrok zdziwiony i gniewny.

W Antku zamilkł głos pana Antoniego: Widział przed sobą wielką salę, zapełnioną „rozbawioną” publicznością, miał bronić „dziecka ulicy”. Należał teraz duszą do zbrodniarza o ziemnistej cerze, o palących się gniewem i gorączką oczach, chudego, w szarej kurtce więziennej — nie do panów. Myśli rozpieły mu mózg, uczucia pierś rozsadzały.

Głośno, dobitnie, powoli opowiadał dzieje pierwszych lat życia Józka.

Zamilkł na chwilę.

— Kiedy poznałem Józka, sam dobrze nie pamiętam. Zeszliśmy się na czas dłuższy w dzień stypy po Franku mularzu. Potem mieszkaliśmy razem u Bronka kelnera i Andrzeja kucharza.

Józiek wstał i zajął w oczy swojemu obrońcy.

— Tak, Józku, to ja, Antek — rzekł obrońca.

— Ty?

Żołnierze niespokojnie się poruszyli.

— Siadaj.

Józiek posłuchał ich rozkazu.

— Znów rozstaliśmy się. Spotkałem go, ratującego dziecko z palącej się fabryki, spotkałem go znów, opiekującego się głodnymi dziećmi spod krypy. Znów zeszliśmy się.

O zabiciu Bronka zamilczał — była to tajemnica zmarłego, o kryjówce Maślarza nie wspomniał — była to tajemnica zawodowa obowiązująca aż do mogiły.

— Razem broniliśmy się od głodu, razem postanowiliśmy zabić fanciarkę z ulicy Topiel. Już staliśmy przy drzwiach, już nam drzwi otworzyła. W porę je zatrasnęła. Umarła z przerażenia. Sędziowie, i ja jestem zbrodniarzem.

Straciłem Józka z oczu, spotkałem go w więzieniu i nie zdziwiłem się.

Są dzieci, które, gdy się rodzą, to aniołowie załamują ręce, Bóg płacze. Czarne mroki snują się nad głowami sierocymi. Zbierają one z życia wszystkie cierpienia, wysysają wszystkie gorycze, imię ich — legion.

Znam duszę oskarżonego i jej głosem się spowiadam. Józiek nie był stworzony do petzania, wlotów mu było potrzeba... Ja umiałem czytać, on — nie. Gdym czytał, on słuchał i drżał, i nienawidził mnie, że ja czytać umiem, i pięście zaciskał... Gdy w lat

dziesięć później dziewczyna jakaś uczyć go zaczęła, a w zamian za tę przysługę żądała, aby on mył panów w łaźni, znenawidził ją, choć wpięrow ją kochał. Ja to rozumiem... Jakim poświęceniem dla dziecka ulicy jest poświęcenie swej dumy, swego „honoru”, zrozumieć ten tylko może, kto wie, że dziecko ulicy nic prócz „honoru” swego nie posiada. Tam w imię „honoru” najwięcej zbrodni się spełnia... Wyrwał się z jarzma, biegł do szynku, ale tam spotykał się z drwinami. Zająęcie jego budziło pogardę... On, który był pierwszy, teraz stał się ostatnim, on, który nikomu się nie kłaniał, musiał być teraz uniżony dla gości, on, który nikomu niczego nie zawdzięczał, teraz był uczniem dziewczyny, „baby”. Pragnął się wyrwać z zakłętą koła, nie miał dość siły, chciał ulec, bunt podnosiła natura. Zamknął się w sobie i milczał... Posądzono go o kradzież, miarka się przebrała... Postanowił zerwać z dążeniem „do słońca”, którego ucieleśnieniem była ta dziewczyna. Ale ciągnęło go coś do niej. Poszedł żądać, by go uwolniła z sieci, ona nie chciała się zgodzić. I nadeszła chwila, gdy uświadomił sobie, że ona to ideał jego, a szynk to jego rzeczywistość. Pochwylił nóż i zabił... W świecie kultury jest to morderstwo, w jego duszy było to zrezygnowanie z dążeń podniosłych, strącenie posągu, sponiewieranie, spopielenie zapałów... Nie wiem, czy się jasno wypowiedziałem...

Widzę tu wielu zbrodniarzy: ojca Józka, tych wszystkich, którzy w tułaczkach jego nie dostrzegli go, tego pana, który posądził go o skradzenie papierośnicy, widzę tysiące zbrodniarzy, których postawiłbym przed wami, sędziowie, w imię *ἀγραφοι νόμοι*<sup>80</sup> — „praw niepisanych”. „Pisane prawo” jego nakazuje sądzić.

Skażcie go, sędziowie. Jego już żadna kara nie dosięgnie.

Cisza zaległa salę.

Po chwili przewodniczący wyrzekł:

— Czy oskarżony nic nie ma do powiedzenia?

Żadnej odpowiedzi.

Sędziowie wyszli.

Antek odczuwał zadowolenie spełnionego obowiązku i niechęć piekącą dla zebranego w sali tłumu, który w odświętnych strojach przybył przyglądać się zabójstwu człowieka jak widowisku.

Oparł się o pulpit i czekał na wyrok.

Myślą pogrążył się w zawrotne otchłanie doli ludzkiej, tej doli, której żaden błysk jasny nie opromienia.

Wśród publiczności szept przyciszony szemrał. Zdawać by się mogło, że ci wykwinłni również oczekują wyroku, że grozi im wyrok w imię *ἀγραφοι νόμοι*...

Gdy po długiej przerwie sędziowie weszli na salę, sala zamarła w ciszy...

„Cztery lata więzienia. Zbrodnia dokonana była w przystępie najwyższego rozdrażnienia”.

— Tylko... Więc nie ciężkie roboty.

Swobodniej odetchnęły panie i panowie.

Józiek pod eskortą wyszedł wolnym krokiem z sali.

Do Antka zbliżył się hrabia, uczepił się jego ramienia i rzekł drżącym głosem:

— Chodź, Antosiu, chodź prędko.

Młody prawnik wstrząsnął się. Obudził się z zamyślenia, wypłynął z głębin.

Szli środkiem rozstępującego się przed nimi tłumu.

Bohaterowie dnia, będą o nich mówili, pisali przez całe trzy dni!

Hrabia skinął na dorożkę.

— Do hotelu! Prędko!

Upadł na poduszkę siedzenia. Twarz mu się wykrzywiła, wargi mu się trzęsły, dreszcz nim wstrząsał co chwila.

— Co się panu stało? — zawołał niespokojnie wychowaniec.

— Zaraz... zaraz... tylko do... jedzie... my. Boże mój!

Antek wpatrywał się w zmienioną maskę twarzy hrabiego. Było w niej coś nad wyraz bolesnego i odrażającego zarazem.

— Niech mnie wyniosą, ja sam nie mogę.

<sup>80</sup>*ἀγραφοι νόμοι*, właśc. *αγραφοι νομοι* (gr. *ἀγραφοι νόμοι*) — prawa boskie mające wyższość nad ludzkimi. [przypis edytorski]



Dwóch posługaczy hotelowych wniosło go do numeru.  
 — Po doktora! — zawołał Antek.  
 — Nie... Niech idą... Zamknij drzwi.  
 Zostali sami.  
 — Czy dobrze zamknięte?  
 — Dobrze.  
 — Przybliź się.  
 Antek nachylił się nad chorym, który mu cicho szepnął do ucha:  
 — Ten, wiesz, to jest mój syn... Jakem przyjechał do stryja, tu, ta dziewczyna z Po-  
 wiśla... Ja się chciałem ożenić... Ja nie zbrodniarz, Antosiu... Ja się bałem, ja drżałem, ja  
 przeczuwałem. Oj, boli! Co ja teraz mam zrobić? Ty mnie nienawidzisz, przyznaj się.  
 Antek zmarszczył brwi. Teraz miał prawo sądzić podług praw „niepisanych”. Jaki wy-  
 dać wyrok?  
 — Dlaczego pan tego tam, na sali, w sądzie, nie powiedział?  
 — Bo się bałem.  
 — I teraz pan się boi?  
 — Nie wiem. Sam mi radź. Nie wiem. Całe życie poświęciłem, żeby tę winę zatrzeć.  
 Skąd mogłem wiedzieć? Radź mi, tyś młody.  
 Bezradny, z wystraszonymi oczami, drżący, budził litość starzec nieszczęśliwy.  
 — Antosiu, powiedz, przecież ja zrobiłem chyba i coś dobrego, co?  
 — A teraz?  
 — Radź mi.  
 Zastukano do drzwi. Wszedł lekarz.  
 Zapisał krople, które uspokoiły hrabiego.  
 — Lepiej mi... Słuchaj, ja chcę jutro. Wiesz, może da się co zrobić. Założę apelację,  
 złożę kaucję. Tymczasem wywieziemy go do Zaruczaju. Chyba go uwolnią, co? Przecież  
 już siedział. Jak myślisz? Bóg pozwoli mi krzywdę tę wynagrodzić.  
 — Nie, panie hrabio, nawet w drobnej części nie.  
 — Ty masz żal do mnie, Antosiu. Ale pomyśl sam...  
 Mówił długo jeszcze.  
 Zasnął.  
 Antek wyszedł na balkon.  
 — Więc tak się skończyło! Więc jutro, pojutrze najdalej, zaczną odwiedzać go jego  
 dawni znajomi, przyjaciele, przyjdzie ojciec.  
 Ojciec!  
 Nie przerażała go myśl ta.  
 A może nie żyje?  
 Począł obliczać, ile ojciec jego może mieć lat teraz. Stary, schorowany zapewne. Czuł  
 dla niego życzliwość pewną.  
 Ostatnim razem... Tak, wtedy... Zostawił go w rynsztoku.  
 To było podle. Nie miał prawa znęcać się wówczas nad nieszczęśliwym.  
 Serce młodego prawnika, Antka, dziwnie się uspokajało. Z nocy letniej wiał czar.  
 Gwiazdy lśniły tak łagodnie, takie powiewy szły ku niemu wiosenne, kwietne, że pomyślał,  
 iż pod niebem tak czystym nie mogą żyć ludzie źli.  
 Jest dobro, tylko go ludzie nie umieją szukać, znajdować, rozwijać i wspierać.  
 Przyszła mu na myśl Mańka. Teraz ma prawo spojrzeć jej w oczy śmiało, ma prawo  
 kochać ją, W rzeczy samej są pewne dane, że uda się Bzikowi jeszcze skrócić czas kary.  
 Czy będzie można doprowadzić go do równowagi dziś jeszcze? Tak, tak, stanowczo.  
 Pod niebem tak czystym nie mogą być ludzie źli.  
 Jest dobro, tylko go szukać trzeba, wspomagać, a przede wszystkim kochać to dobro  
 duszy ludzkiej, najbiedniejszej, najsmutniejszej, najbardziej stroskanej, sponiewieranej  
 duszy...  
 Wczesnym rankiem hrabia wstał. Czuł się zdrow zupełnie. Cały zajęty był myślą jedną:  
 iść i wykupić syna. Przycisnąć go do serca. Dziecię swoje, własne, utracone, odzyskane!  
 Chciał go widzieć. Wczoraj nie śmiał nań patrzeć, dziś ma już prawo do tego. Dziś  
 jest już ojcem jego.  
 Pojechali.

Gmach więzienny, wielki, murem otoczony, grubym, wysokim.

Spóźnili się.

„Józef Mazur, aresztant... celi, powiesił się w nocy na kracie, skreconą koszulą i paskiem. Rano o 6-ej znaleziono go już nieżywego”.

Tak brzmiał raport.

## ZAKOŃCZENIE

Pan Antoni z narzeczoną swą, panną Marią, zeszli po drabiniastych schodach do suteryny, przez długi ciemny korytarz, przez niskie drzwi weszli do izby małej, wilgotnej i brudnej.

Ojciec Antka siedział na tapczanie i kołysał dziecko, które matka-współlokatorka powierzyła mu, idąc na mularkę, na dzień cały.

Ujrawszy przybyłych, zmarszczył brwi i nie odpowiedział na ich powitanie.

— Przyszedłem teraz z Manią, po raz drugi prosić ojca, dzisiaj ślub nasz ma się odbyć. Dlaczego ojciec tak się zaciął? Co było, to puśćmy w niepamięć. Już to się nie odstanie. Wyjedźcie ojciec razem z nami na wieś, odpocznie, poprawi się, zajęcie się znajdzie — będziemy razem pracowali.

Zbliżył się, chciał ująć jego rękę.

— Nie, nie potrzeba. Nie całowałeś ty mnie, jakeś był mały, to się i teraz obejdzie.

— Niech nam ojciec nie odmawia — szepnęła Mańka. — Ojciec wielką Antosiowi przykrość sprawia.

— Wy wiecie jedno, a ja wiem drugie — rzekł ojciec.

— Może ojciec myśli, że w kościele będzie wiele osób. Nikt, tylko my dwoje, hrabia i jeszcze świadek jeden. A potem zaraz wyjedziemy. Dlaczego ojciec ma tu żyć w wilgoci i brudzie, kiedy może...

— I to małe tu żyje, i ja tak długo żyłem.

Dziecko zapłakało cicho. Stary dał mu kartofel do ssania.

— Postanowiliśmy z Antosiem nie wyjść stąd, dopóki ojciec z nami nie pójdzie.

— Sprzedałem was i już, i... e! co tam gadać. Wy wiecie jedno, a ja wiem drugie.

— Ha, więc będziemy czekali.

Usiedli na drugim tapczanie.

Płynęły chwile nad wyraz bolesne.

Rozumieli dobrze, iż ojciec nie zechce z nimi wyjechać. „Honor” mu nie pozwalał, to było jasne. A jednak nie chcieli pogodzić się z myślą, że zostawią z takim trudem odszukanego człowieka, który bądź co bądź nie był im obcym. Więcej rozumem niż uczuciem widzieli się przywiązani do niego.

— A kiedy ten wasz ślub?

— Za cztery godziny, o szóstej.

— Ano, dobrze, niech i tak będzie.

— Więc idzie ojciec z nami?

— Nie, sam przyjdę.

— My się nie zgadzamy na to.

— To wcale nie przyjdę.

— Może ojciec chciałby ubranie inne? Przyniosę ojcu.

— Nie potrzeba nic przynosić. Tak pójdę, jak jestem.

Wyszli cicho i smutnie.

— Jak myślisz, Antosiu, czy przyjdzie?

— Nie, Maniu, nie przyjdzie.

— Co robić?

— Spróbuję jeszcze raz z hrabią nakłonić go. Może jemu się uda.

Ojciec Antka siedział przez chwilę nieruchomo. Potem wstał, przerzucił przez ramię swą torbę zebraczą, wziął kij w rękę, wyszedł, rozejrzał się, wrócił do izby, wziął niemowlę, wstąpił do stróżki i zostawił je.

Na ulicy jeszcze raz się podejrzliwie rozejrzał i wolnym krokiem skierował się naprzeciwko do szynku. Wypił, położył pieniądze.

Błogosławieństwo,  
Modlitwa, Ojciec

I cicho, ukradkiem, przeciskał się pod murem w stronę kościoła. Stał za węglem ulicy, zasłonięty wystającym kantem muru, i oczu nie odrywał od drzwi wchodowych kościoła.

Nogi drżały pod nim. Zbliżył się stójkowy.

— Czego stoisz?

— Niech mi pan pozwoli, ja nie żebrzę teraz, ja tu chcę coś zobaczyć.

Stójkowy machnął ręką, wrócił na swój posterunek i tylko od czasu do czasu podejrzliwie nań spoglądał.

Oczy zażawily się starcowi z wysiłku, głowa mu się trzęsła.

Nagle wyprostował się. Na czoło pot mu wystąpił.

Przed kościół zajechała karetą. Wysiadł jakiś starzec siwy, potem ten... ten... poznaje go. Taki sam wysoki, jak był, tylko starszy. Tak, to oni. Antek wysiadł i Mańka.

To oni.

Przytulił się do muru całym ciałem, oparł rękę na kiju i patrzył.

Weszli.

Westchnął.

— Jak ta Mańka urosła. A Antek, Antek! Pan! Tak, tak. A niech im Bóg błogosławi, niech im lepiej się dzieje niż mnie. Niech im Bóg Najwyższy błogosławi. Niech im... niech im...

Nie mógł znaleźć innego błogosławieństwa.

Modlić się zaczął.

„Ojcze nasz, któryś jest w niebiesiach... Niech im Bóg błogosławi... Święć się Imię Twoje. Przyjdź Królestwo Twoje... Niech Bóg Najwyższy im błogosławi...”

Przeplatał modlitwę błogosławieństwem.

— O, wychodzą. Dlaczego Mańka w czarnej sukni?

Pchała go siła jakaś w stronę karety, całą duszą pragnął uścisnąć swe dziecię jeden... ostatni raz.

— Nie!

Odjechali.

Stał chwilę jeszcze.

Przeżegnał się i poszedł w stronę rogatki.

— Trzeba mi precz z Warszawy. Tu by mnie ciągle nachodzili, a ja... Niech im Bóg błogosławi!

Przeszedł aleje, wyszedł za miasto. Po prawej stronie szosy pole, po lewej szereg domów.

Na polu, tuż obok drogi, leży koń i zdycha.

Gromada dzieci otoczyła kołem konające zwierzę. Koń sapie ciężko, oczy bielmem mu zasłyły. Chwilami dreszcz wstrząsa skórą.

Purpurowe słońce oświetla konia i dzieci.

Dzieci milczą. Patrzą na męki zwierzęcia i współczują, ciekawe są, jak to się skończy; chcą pochwycić ostatni oddech jego.

Bosa dziewczynka o bladej twarzyczce, teraz oblanej słońca szkarłatem, z którym się klóci sieć żył niebieskich na gołej szyi, twarzy i skroniach — bosa dziewczynka się przeżegnała, owinęła mocniej chustką niemowlę, które trzyma na ręce. Łzy w czarnych jej oczach błyszczą.

Dzieci milczą i patrzą. Któreś się zaśmiało. Niski, piegowaty chłopiec, z błyszczącymi, biegającymi małymi oczami, zbliża się, pociąga konia za ogon.

— Patrzcie, co z tego wędek można zrobić.

Koń tylnym kopytem poruszył.

— Tańcować ci się chce. Poczekaj, to ci zagram.

Znow konia za ogon pochwycił. Począł kręcić ogonem jak korbą katarynki.

— Dylu, dylu, na badylu, nie potrzeba smyczka... — śpiewa.

Dzieci się śmieją. Niektóre chciałyby, żeby on nie robił tego, ale boją się odezwać.

Występuje chłopiec, rozpycha dzieci, zbliża się do dręczyciela, twarzą niemal twarzą jego dotyka, patrzy mu w oczy swymi czarnymi oczami, zaciska pięści.

— Zostawisz go, szczeniaku, czy nie?

- A bo co?
- Bo ci tak mordę zmielę, że ci kasza z gęby wyleci.
- Boję się ciebie?
- No, rusz konia.
- Jak zechcę, to ruszę.
- Spróbuj.

Chłopiec mruknął coś pod nosem i odszedł stropiony. Zwycięzca stał dumny i smutny.

Ojciec Antka patrzył na blade, obdarte dzieci otaczające konające zwierzę, patrzył na chłopca-obrońcę, któremu paliły się oczy czarne i wargi drżały, patrzył na czerwone słońce i nie mógł sobie przypomnieć, gdzie i kiedy w życiu był świadkiem podobnej sceny, nawet sam brał w niej udział. Musiało to być bardzo dawno. Pracował myślą. Kiedy to było.

Przypomniawszy sobie. Dawno, wyrostkiem był jeszcze. Szła ulicą wariatka. Dzieci biegły za nią, śmiały się, rzucały kawałkami zeschniętego błota. Wariatka była brzemienna. Wówczas on *palnął w pysk* tego, który biegł na czele, rozpędził gromadę, sam ukrył się między belkami, nad Wisłą, i płakał.

Ojciec Antka nie uświadamiał sobie, że w mózgu jego odegrał się zawiły proces myślowy: porównał siebie z tym dzieckiem, obrońcą konającego konia, pomyślał o jego przyszłości, o tych dzieciach, które tu widzi, złych i dobrych, a z dobrych tyle skazanych na zagładę...

Westchnął, poprawił worek zebraczy na plecach i ruszył w drogę.

Kondycja ludzka

---

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z *Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur*.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na *Licencji Wolnej Sztuki 1.3*.

Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w *Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur*. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/korczak-dzieci-ulicy/>

Tekst opracowany na podstawie: Janusz Korczak, *Dzieci ulicy* : powieść Janusza Korczaka, wyd. A. Pajewski, Warszawa 1901.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska, Biuro Rzecznika Praw Dziecka

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>) we współpracy z Biurem Rzecznika Praw Dziecka.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Aleksandra Sapiaska, Paulina Choromańska, Sylwia Głuszak, Wojciech Kotwica.

ISBN 978-83-288-0378-7

*Wesprzyj Wolne Lektury!*

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

*Jak możesz pomóc?*

Przeznacz 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przeznacz darowiznę na konto: [szczegóły na stronie Fundacji](#).